

DALLAS SCHULZE

**Domek
pod różą**

BYŁA SOBIE RAZ...

Była sobie raz kobieta, która żyła w domku oplecionym różami. Była osobą ciepłego usposobienia i życzliwego serca, o włosach koloru nocnego nieba i oczach barwy łagodnego zmierzchu - oczach, za którymi kryły się niezbadane sekrety i bliskie sercu marzenia.

Całe życie spędziła w małym miasteczku, w którym się urodziła, otoczona opieką rodziny, bardziej troskliwą niż to zwykle bywa, gdyż doznali kiedyś nieszczęścia, które położyło się cieniem na ich losie, i bali się jego powrotu.

Z miłości przywiązali ją do siebie więzami strachu i winy.

Z miłości zgodziła się na nie, chociaż czuła, jak z każdym rokiem krępują ją coraz mocniej.

Żyła bezpiecznie, otoczona murami różanego domku, marząc o dalekich podróżach i egzotycznych miejscach, których nigdy nie miała zobaczyć, a także o przygodach, których nigdy nie miała przeżyć. A jeżeli - od czasu do czasu - marzyła o mężczyźnie o sercu tak wielkim i silnym, że mógłby wyrwać ją

z opiekuńczych więzów - cóż... pozostawało to jej sekretem, o którym nie mówiła nikomu.

Tutaj było jej prawdziwe życie i w końcu nikt nie wiedział lepiej od niej, że życie to nie bajka.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Neill Devlin nie wierzył w piekło, przynajmniej nie w piekło pełne ognia i siarki, w którym pokutują potępione duszyczki. Piekło mogło być metaforą, morałem, którym można zwieńczyć opowieść o nieudanym życiu, ale nie było dla niego czymś bardziej realnym od czarownic latających na miotłach czy wrózek płasających po płatkach jaskrów. Owszem, piekło istniało, ale nie była to żadna mroczna kraina w zaświatach, wypełniona wrzącą lawą i graniastymi skałami o ostrych krawędziach.

Piekło było tutaj, w samym środku Indiany, pośród bezkresnych pól kukurydzy ciągnących się po obu stronach drogi wiodącej donikąd, pod sierpniowym żarem lejącym się z nieba - gdzie jedynym towarzyszem był jego stary, rozgrzany słońcem motocykl.

- Następnym razem, kiedy wpadnie ci do głowy równie ciekawy pomysł na wakacje - zamruczał do siebie pod nosem - zaoszczędź trochę czasu i zarezerwuj po prostu miejsce u czubków.

Trudno było mu nawet teraz przypomnieć sobie, jak doszło do tego, że ta wyprawa wydała mu się tak wspa-

niałym pomysłem. W ciągu ostatnich ośmiu lat napisał trzy świetnie sprzedające się dokumentalne kryminały. Miesiąc temu skończył czwartą książkę i zarówno agent, jak i wydawca zgodnie orzekli, że to najlepsza z jego prac i że ma szansę poszybować na sam szczyt listy bestsellerów „New York Timesa”.

Bardzo chciałby podzielać ich entuzjazm, ale po dwóch latach spędzonych na zgłębianiu, w jaki sposób szaleństwo doprowadziło pewną kobietę do zamordowania własnych dzieci - i to z imieniem Bożym na ustach oraz głębokim przeświadczeniem, że oddaje się w ten sposób spełnieniu jakiejś niezwyklej misji - jego przekonanie, że to co robi, ma jakiś sens, gwałtownie osłabło. Podobne wątpliwości miał zresztą również co do otaczającego go świata.

Prawda była taka, że mając trzydzieści pięć lat i spędziwszy całą ostatnią dekadę na penetrowaniu mrocznych zakamarków ludzkiej psychiki, Neill czuł się wypalony i dramatycznie potrzebował odmiany.

Miał już też dosyć deszczu, który ciągle padał w Seattle, manii „zdrowej żywności”, jaka ogarnęła to miasto, i wszechobecnej muzyki *grunge*. Marzył o tym, by trafić gdzieś, gdzie mógłby po prostu zamówić kawę, nie odpowiadając za każdym razem na pytanie, czy nie ma zamiast niej ochoty na bezkofeinowy napój ze spienioną śmietanką i plasterkiem cytryny do smaku. Miał ochotę zamówić soczysty, krwisty stek, by poczuć uginające się pod widelcem prawdziwe mięso,

a nie hamburgera z soczewicy; nie chciał sosu *bearnaise* ani sałatki z awokado posypanej pistacjami - po prostu nieupiększony niczym plaster mięsa, gdzie jedynym szaleństwem byłyby dwa rzucone na niego nie dbale listki pietruszki. I nie miał już więcej ochoty wysłuchiwać ludzi zachłystujących się cudami Zachodniego Wybrzeża. Jeśli chodzi o niego, całe to przekłete miejsce mogłoby jeszcze dziś wieczorem pograżyć się w oceanie. Było tak nasiąknięte deszczem, że i tak mieszkańcy nie zwróciliby na to uwagi.

Jego rodzice po przejściu na emeryturę przenieśli się na Florydę, do Fort Lauderdale, gdzie jedynym intruzem odciągającym od czasu do czasu ich uwagę od lazurowego nieba był jakiś zabłąkany huragan. Już sama myśl o tym miejscu powodowała, że robiło mu się ciepiej. I gdy wyglądał przez okno swojego wynajętego mieszkania w Seattle, przyglądając się sączącemu się ponuro z nieba deszczowi, wpadł mu do głowy pomysł, który spowodował, że nie zastanawiając się długo, chwycił za słuchawkę, żeby zarezerwować bilet na samolot. Za dwadzieścia cztery godziny - albo i mniej - mógłby leżeć wyciągnięty gdzieś na rozgrzanym piasku koło basenu, pozwalając, by słońce Florydy wygrzało z jego przemarzniętych kości chłód i wilgoć - Seattle.

Poza tym pracował jak szalony przez ostatnie trzy miesiące, nie dosypiając i utrzymując się przy życiu dzięki dużej ilości rozpuszczalnej kawy, hamburgerom

i gotowym chińskim daniom. Sceny z książki, którą pisał, ciągle jeszcze stawały mu przed oczami. Podobne doświadczenia, które przeżył już kilkakrotnie, mówiły mu, że musi teraz pozbyć się napięcia i przekłuć szpilką balon, pozwalając ujść sprawom, które nagromadziły się w nim przez ostatnie miesiące niczym trujący gaz.

Gdyby jednak pojechał teraz do rodzinnego domu, matce wystarczyłoby jedno spojrzenie na jego podkrążone oczy, by zaczęły się utyskiwania i zmartwienia, na które odpowiedzią było zwykle gotowanie i pieczenie - lekarstwo pomagające podobno na każde zło tego świata. Ojciec natomiast zaciągnąłby go do garażu zamienionego w warsztat stolarski, wcisnął do ręki młotek i zagonił do roboty nad kolejnym projektem, który niedawno wpadł mu do głowy - Brandon Devlin głęboko wierzył w terapeutyczne skutki pracy fizycznej. Po kilku dniach zmartwień, nie wypowiedanych głośno, lecz dających o sobie znać w postaci olbrzymich obiadów i pohukiwania ojca w warsztacie, Neill przybrałby pięć kilo na wadze, miał całe ręce w pęcherzach i zaczął szczerze zazdrościć przyjaciołom, którzy przestali w ogóle widywać swoich rodziców.

I wtedy właśnie przyszedł mu do głowy ów pomysł. W małym garażu, w podziemiach budynku, stał motocykl z lat trzydziestych, który Neill kupił sześć miesięcy temu i na który nie miał nawet dotąd czasu spojrzeć. Wsiądzie na motor i przejedzie nieznanymi sobie

drogami przez kilka stanów, aż na Południe. Tego właśnie było mu trzeba - kilku tygodni na drodze, braku zobowiązań, widoków, które zapierają dech w piersiach i niemyślenia o niczym - z wyjątkiem tego, gdzie zatrzymać się na noc.

Nikt nigdzie teraz na niego nie czekał. Neill miał do dyspozycji cały wolny czas. A niech to, pomyślał. Mógł przecież spędzić w drodze nawet cały rok, gdyby przysłała mu taka ochota. Może urodzi się z tego nawet jakaś nowa książka, coś innego niż dotychczas, co nie wymaga grzebania się w ekskrementach ludzkiej psychiki i małych oraz dużych ludzkich podłościach?

Załatwienie wszystkiego, co trzymało go dotąd w Seattle, zajęło mu niecały tydzień - rezygnacja z mieszkania, które wynajmował, spakowanie i przeniesienie garstki rzeczy, którą zebrał przez ostatnie dwa lata, kilka telefonów do ludzi, którzy mogli zdziwić się jego nagłym zniknięciem. W pięć dni później, czując się trochę jak *easy rider*, a trochę jak Alexis de Tocqueville, Devlin pozostawił za sobą szare, zasnutę mżawką niebo Seattle i wyruszył na Południowy Wschód, w poszukiwaniu słońca, wolności i przygody.

Po upływie trzech tygodni doszedł niestety do wniosku, że mocno przecenił uroki życia w drodze. Przejechał szmat kraju i zobaczył wiele pięknych miejsc, ale już po tygodniu każdy kolejny wspaniały zachód słońca wydawał mu się podobny do poprzednich. Już tylko zwykła upartość powstrzymywała go od tego, by

zwinąć manatki i skręcić w autostradę prowadzącą do najbliższego lotniska.

Miał już dosyć życia Beduina. Dosyć moteli z cienkimi jak papier ścianami i ciepłą wodą z bojlera, która kończyła się, nim zdążył porządnie umyć pokryte grubą warstwą kurzu ciało. Dosyć „domowej kuchni”, polegającej na podgrzaniu zawartości wymieszanych ze sobą kilku puszek. Pośladki miał zdrętwiałe, a nogi wykrzywione od siedzenia w tej samej pozycji od trzech tygodni.

Awaria motocykla była kroplą, która przelała czarę. Był głodny, chciało mu się pić, a przeklęty motor, pchany wzdłuż drogi, z każdą minutą stawał się coraz cięższy i cięższy. Spocona koszula przykleiła mu się do pleców i czuł, że na lewej pięcie zaczyna się robić paskudny odcisk. Potrzebował czegoś zimnego do picia, gorącego prysznic i jakiegoś posiłku, który nie okazałby się kolejną puszką makaronu firmy Chef Boyardee. Marzył o łóżku, na którym mógłby wyciągnąć się, czując pod sobą materac młodszy od niego przynajmniej o jedno pokolenie. No cóż, materiał na książkę byłby z tego taki, że bez wątplenia zmieniłby gatunek i zaczął pisać horrory.

Lekki podmuch wiatru musnął go po twarzy - anemiczne tchnienie, które zaszeleściło w polu kukurydzy i ucichło. Gdy przed chwilą pomyślał „horror”, przed oczami stanęła mu jedna ze scen, które zapamiętał ze „Strefy zmierzchu” i przez moment poczuł się, jak je-

den z tych nieszczęśników, których Billy Mummy wysyłał na rozpalone kukurydziane pola.

- Nic dziwnego, że byli tacy przerażeni - wymamrotał. - To musiało się dziać nie gdzie indziej, ale właśnie w Indianie.

Ciszę przerwał nagle dobiegający z oddali odgłos parskającego silnika. Na drodze zamajaczył mały prostokącik wolno poruszającego się samochodu i Neill natychmiast wyobraził sobie zatrzymującą się obok niego limuzynę z siedzącą za kierownicą dziewczyną podobną do Cindy Crawford. Oczywiście świetnie by się składało, gdyby właśnie podążała w kierunku oddalonego o dwieście mil lotniska, a przez ostatnich kilka minut myślała o tym, że chciałaby podrzucić tam jakiegoś pisarza, który zabłąkał się w polu kukurydzy i postanowił zmienić swoje niemądre plany na wakacje. Po kilkunastu sekundach Devlin mógł już stwierdzić, że zbliża się do niego nie limuzyna, lecz poturbowany czerwony pickup. Jego nadzieja zamieniła się jednak w prawdziwy entuzjazm, gdy pojazd zwolnił na jego widok i wreszcie zatrzymał się z gwałtownym parsknięciem i zgrzytem hamulców.

- Jakież problemy? Podrzucić pana?

Na twarzy, która wychyliła się do niego z okna, znać było upływ czasu i długotrwałe działanie pięknego słońca. Znad długiego, haczykowatego nosa spoglądały przyjaźnie niebieskie oczy, a po obu stronach twarzy kręciły się zmierzwiłe bokobrody przechodzą-

ce w potężną wiechę wąsów prawie w całości zakrywających usta.

- Och, spadł mi pan z nieba. Czy znajdzie się z tyłu jakieś miejsce dla mojego motocykla?

Kierowca skinął głową i wyskoczył z samochodu, żeby pomóc mu załadować jego starą indianę.

Do diabła z Cindy Crawford, pomyślał Neill. Taka lala nie potrafiłaby przecież poprowadzić tego tracka.

- Wiesz co, Anno, gdybyś w swoim czasie kupiła sobie prawdziwy samochód, nie musiałybyś spędzać połowy życia w warsztacie Davida Freemana i drugiej połowy, harując na kolejne naprawy i przeróbki tego rzęcha.

Lisa Remington zwolniła, włączyła migacz i przepuściwszy rozpędzoną ciężarówkę, skręciła w lewo w kierunku stacji benzynowej.

- Kiedy Lucy jest prawdziwym samochodem - zaprotestowała Anna Moore.

- Wszystko zależy od tego, jak rozumiesz słowo „samochód” - mruknęła Lisa. - Osobiście byłabym skłonna sądzić, że w prawdziwym samochodzie powinno zmieścić się więcej niż półtorej osoby i powinien móc czasami pojechać szybciej niż pięćdziesiąt na godzinę.

- W Lucy mogą swobodnie zmieścić się dwie osoby.
- Raczej mocno pokrzywione - zachichotała Lisa.
- I można nim spokojnie jechać sto na godzinę.

- Jeżeli będzie go pchało dwóch twoich kolegów. Anna roześmiała się pojednawczo, a gdy zatrzymali się koło warsztatu, rozpięła pas i otworzyła drzwi. Jej samochód był stałym tematem ich przekomarzań i żadna nie oczekiwała ich rychłego zakończenia.

- Po prostu jesteś zazdrosna, bo wiesz, że Lucy ma osobowość i jest oryginalna.

- To samo można powiedzieć o oryginalności hipochondryka. Jak nie hamulce, to silnik! Albo jakieś przewody. Przecież kupiłeś tę kupę złomu tylko dlatego, że przez kilka miesięcy nie było na nią żadnego amatora.

Anna wzruszyła ramionami.

- No i co z tego? Ten samochód nie zasługiwał na wywiezienie go na złom.

- Tam właśnie jest jego miejsce.

- Przestań już zrzędzić, bo Lucy jeszcze się na nas obrazi. - Anna wskazała głową na garaż, gdzie w półmroku stał starożytny, garbaty volkswagen.

- Nie martw się, nic nie usłyszysz. Każda istota w jej wieku jest głucha jak pień. Gdyby to był pies...

- Ale to nie jest pies. Może wtedy bardziej martwiłabym się jego wiekiem - Anna postanowiła zakończyć temat. - Bardzo dziękuję ci za podwiezienie.

- Fiu, fiu! - Coś przyciągnęło nagle uwagę Lisy do tego stopnia, że skwitowała to pełnym podziwu gwizdnięciem.

Anna, trzymając już rękę na klamce, spojrzała na

Lisę z zaciekawieniem. Przyjaciółka wpatrywała się zafascynowanym wzrokiem w otwarte drzwi garażu, więc machinalnie podążyła za jej spojrzeniem.

Rzeczywiście „fiu, fiu”, pomyślała. Mężczyzna, który pochylał się nad otwartą maską garbusa, wyglądał niczym ożywiony obrazek z reklamy Marlboro. Wyblakłe, obciste spodnie zgrabnie opinały się na wąskich biodrach i uwydatniały długie, silne nogi.

- Gdybym była męskim szowinistą, usłyszałaabyś ode mnie teraz: „najzgrabniejsza dupcia, jaką widziałem od roku” - westchnęła z podziwem Lisa.

- Nie musisz wcale być szowinistą.

- Prawda? O rany, ten facet nie może być stąd. Wiedziałabym coś o tym. Taki tyłeczek nie uchowa się długo w miasteczku takim jak Loving - powiedziała z przekonaniem Lisa.

- Myślisz, że cała reszta jest na tym samym poziomie? - zażartowała Anna, nie zdejmując ręki z klamki, jakby zupełnie zapomniała, że ma wyjść z samochodu.

- Kto wie, kto wie...

Jakby w odpowiedzi na ich pytanie mężczyzna wyprostował się i odwrócił częściowo w ich kierunku. Półmrok panujący w garażu nie pozwalał wyraźnie ujrzeć rysów jego twarzy, ale to, co się ukazało, było zupełnie wystarczające.

Czarny podkoszulek modelował silny tors i podkreślał szerokie ramiona skonstrastowane ze szczupłą talią

i płaskim brzuchem. Facet był wysoki - mógł mieć metr osiemdziesiąt pięć wzrostu - i każdy cal jego ciała zdawał się pokryty wysportowaną muskulaturą. Gęste ciemne włosy opadały mu nieco na czoło i - nawet z tej odległości - promieniowała od niego aura silnej, nieskrępowanej męskości.

- Wygląda na to, że mamy tu przystojniaka - powiedziała Lisa.

- Skąd wiesz? Być może ma końskie zęby.

- Albo zeza.

- Albo jest gejem - zakończyła wyliczankę Anna, z miną dowodzącą głębokiego przeświadczenia o tym, że niemożliwe jest, by taka piękność bez skazy zabłąkała się na jej drodze.

Mężczyzna cofnął się tymczasem w głąb warsztatu, zniknął z ich pola widzenia i obie kobiety jak na komendę westchnęły.

- Ciekawe, kto to może być. - Anna uniosła lekko brwi.

- Może David znalazł wreszcie kogoś do pomocy z tym całym złomem w warsztacie. Odgrażał się przecież od dawna.

- Sądzę, że to raczej ktoś, kto po prostu zabłąkał się tu, przejeżdżając przez miasto - skomentowała Anna, naciskając po raz kolejny klamkę drzwi samochodu. Więcej ludzi wyprowadzało się z Loving, niż tu przyjeżdżało i nawet tych kilka chwil, gdy przyglądały się nieznajomemu, wystarczyło jej na konstatację, że w je-

go sprężystych ruchach i zachowaniu jest coś, co nie pasuje do sennej atmosfery miasteczka. - Czy przyjdziecie dzisiaj z Jackiem na kolację? - spytała, wyslizgując się w końcu z auta.

- Oczywiście. Gdzie indziej mogłabym liczyć na tyle krytycznych uwag pod swoim adresem i mieć pewność, że zaatakowane zostanie moje poczucie dobrego smaku? I to wszystko w ciągu jednego wieczoru z przyjaciółmi.

- Nie przesadzaj, nie jest chyba tak źle...

- Och, moja droga, przecież twoja matka mnie nie trawi. Krytkowała mnie piętnaście lat temu, kiedy żyła Brooke, a ja byłem jej najlepszą przyjaciółką, i nie przestała, kiedy przeprowadziłam się z powrotem do Loving dwa lata temu. Prawdopodobnie nie mogła się od tego powstrzymać, nawet za moimi plecami, przez te dziesięć lat, kiedy mieszkałam w Kalifornii. - Lisa wykrzywiła kąciki ust w wisielczym uśmiechu. - Jedynie, co trzeba jej przyznać, to że jest w tym bardzo konsekwentna.

- To nieprawda, że ona cię nie lubi - zaprotestowała dość słabo Anna. - Ona po prostu... po prostu martwi się, że...

- Że twojemu bratu przyjdzie do głowy poprosić mnie o rękę? - przerwała bez ceregieli Lisa.

- Przecież nie o to chodzi! - prawie wykrzyknęła Anna. Spojrzała jej prosto w oczy i dodała: - Przy najmniej nie tylko o to. Ona po prostu nie chce, żeby Jack...

- Popełnił tak fatalny błąd?

Tym razem twarz Anny zalał rumieniec.

- Nie przejmuj się - wypaliła Lisa. - Nie zrobię tego. Wiesz, co ona sobie myśli? Myśli, całkiem zresztą słusznie, że gdyby Jack ożenił się ze mną, pozostałby już na zawsze w Loving i pracował nadal jako szeryf, a tymczasem ona ciągle wyobraża sobie, że jej syn wróci na medycynę i zostanie światowej sławy chirurgiem, podobnie jak miał nim być twój ojciec. Na Boga, on ma trzydzieści pięć lat, czy ona nie może tego zrozumieć? - Wyczerpana tyradą Lisa westchnęła ciężko i przecesała ręką włosy, doprowadzając swoje rude kędziory do jeszcze większego chaosu.

Wiele rzeczy skończyło się raz na zawsze z chwilą, gdy umarła moja siostra, pomyślała tymczasem Anna, ale powiedziała tylko:

- No cóż, „pogodzić się” nie jest słowem, które mieści się w słowniku mojej matki.

- Bardzo delikatnie to ujęłaś.

Przez chwilę obie milczały, w końcu Lisa powiedziała na pożegnanie:

- No dobrze... Przygotuj szparagi, a ja przyniosę *chianti*. Powiedz swojej mamie, że postanowiłyśmy wyręczyć panią domu.

Anna, uśmiechając się, zatrzasnęła drzwi samochodu i powoli ruszyła w kierunku warsztatu. Znała Lisę prawie całe życie, jednak w dzieciństwie, gdy obecna przyjaciółka była najbliższą koleżanką jej starszej sio-

stry, dzieląca je sześćioletnia różnica wieku wydawała się nie do przeskokowania. Ich przyjaźń zaczęła się naprawdę dwa lata temu, gdy Lisa wróciła do Indiany z Kalifornii.

Z pozoru niewiele je ze sobą łączyło. Lisa była artystką, Anna pracowała jako sekretarka w banku. Lisa przeniosła się do Kalifornii, gdy miała dwadzieścia lat, wyszła za mąż za muzyka i objechała z nim prawie całe Stany. Kiedy się rozstali, zabrała połowę ich wspólnego majątku i wyjechała na sześć miesięcy do Europy. Jeśli zaś chodzi o Annę, to poza wyprawą do Disneylandu w dzieciństwie, nie zapędziła się nigdy poza Loving na odległość większą niż kilka godzin jazdy samochodem. Nie miała również żadnych poważniejszych związków z mężczyznami, jeżeli nie liczyć Franka Millera. Zresztą nazywanie tego, co było między nimi, „związkiem” budziło jej gwałtowny sprzeciw. W dwa dni po każdym spotkaniu, na jakie umawiali się od ponad roku, Anna nie pamiętała nawet jego twarzy - aż do momentu, gdy wrywała ją z tej amnezji kolejna żałosna randka.

Ale pomimo braku widocznych podobieństw - a może właśnie dlatego - Anna i Lisa zostały bliskimi przyjaciółkami. Natomiast fakt, że Lisa i Jack spotykali się ze sobą, czynił z ich przyjaźni prawie „rodzinny” związek. A właściwie czyniłby, gdyby nie nieprzejednany, choć nie naruszający towarzyskiej poprawności chłód jej matki.

Pograżona w rozważaniach podeszła do drzwi warsztatu i zanurzając się z ulgą w przyjemny, chłodny cień, weszła powoli do środka.

Może jednak Pan Bóg istnieje, pomyślał Neill, przyglądając się kobiecie, która właśnie przekroczyła próg. Po przejściu z zalanej słońcem ulicy w zacienioną część warsztatu zatrzymała się na chwilę, żeby przyzwyczaić oczy do półmroku. Być może sam przyjazd do miasteczka, zimna cola i paczka chipsów w zasięgu ręki nie były jeszcze wystarczającym dowodem boskiej interwencji, ale sprowadzenie zaraz potem ślicznej kobiety nie pozostawiało miejsca na wątpliwości - w niebie siedzi Pan Bóg i choć może tu, na ziemi, nie wszystko jest urządzone jak trzeba, Ktoś z góry przygląda się temu z uwagą.

Jej oczy, nie przywykłe do półmroku, jeszcze go nie spostrzegły i Neill postanowił nie robić niczego, żeby przyspieszyć ten moment. Opierając się o blat, na którym leżały porozrzucane w nieładzie narzędzia, z przyjemnością przyglądał się jej kolejnym ruchom.

Nie była zbyt wysoka - chyba niewiele ponad metr sześćdziesiąt wzrostu - ale bardzo zgrabna. Krótka, zwiewna sukienka odsłaniała nogi pokryte oliwkową opalenizną - rozkosznie długie nogi jak u tak niewysokiej dziewczyny - a i cała reszta była równie pociągająca. Miała rodzaj figury modny w latach pięćdziesiątych: dwie kragłe piłeczki biustu i zaokrąglone

biodra - być może odrobinę za obfite według dzisiejszej mody, ale Neill nigdy nie poszukiwał w kobietach tego, co reklamowały ostatnie żurnale. Gdyby miała upodobnić się do większości kobiet, które znał, być może powinna zrzucić jakieś trzy kilo, ale dla niego była w sam raz: miękka, giętka, wiotka, lecz przy tym bardzo, bardzo kobieca.

Ech, Devlin, minęło trochę czasu, odkąd stąpałeś mocno po ziemi, pomyślał i zaraz potem odwrócił się tyłem do drzwi, bo poczuł, że spodnie opinają mu się zbyt mocno na pewnych częściach ciała. No cóż, był już trochę starszy niż chłopcy, na których wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, że właśnie spodobała im się jakaś przechodząca obok dziewczyna. Ale bądź co bądź spędził ostatnie sześć miesięcy zanurzony w papierzyskach lub pochylony nad klawiaturą komputera i najbardziej fascynujące przeżycie cielesne z tego okresu polegało na żarłocznym wbiciu zębów w hamburgera.

Kobieta, jakby ciągle go nie zauważając, podeszła powoli do volkswagena. Po krótkim zastanowieniu pochyliła się lekko nad odkrytym silnikiem i bawełniana sukienka przyłgnęła miękko do jej ciała, opinając się rozkosznie wokół krągłych bioder i pośladków.

Neill zachłysnął się głośno kolejnym łykiem coca-coli, a wtedy Anna poderwała się gwałtownie znad samochodu i odwróciła w jego kierunku. Przycisnęła dłoń do piersi, jakby chciała powstrzymać walące ser-

ce, i lekko przymrużonymi oczyma zaczęła wpatrywać się w półmrok. Spozregła wreszcie postać, która odebrała się od warsztatu i powoli zaczęła zbliżać w jej kierunku.

- Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć - z ust nieznajomego dobiegło usprawiedliwienie. Głos był łagodny, lecz zarazem stanowczy i Anna w ostatniej chwili powstrzymała instynktowny odruch, by rzucić się do ucieczki. Uspokoiła nieco oddech i starając się zapanować nad sobą, wyprostowała się, po czym spojrzała w jego kierunku. - Domyślam się, że nie zauważyła mnie pani - dodał, zatrzymując się o kilka kroków i uśmiechając przepaszająco.

Czarny podkoszulek, wyblakłe dżinsy, znoszone czarne buty i ciemne, niedbale zaczesane włosy. Rozmowa z Lisa tak ją pochłonęła, że Anna zupełnie zapomniała o nieznajomym. Odetchnęła głęboko, czując jednocześnie wściekłość, że tak łatwo wpadła w panikę. Przecież to coś zdarzyło się tak dawno, wiele lat temu. Czemu więc serce wali jej jak młotem - tylko dlatego, że znalazła się nagle sam na sam z jakimś nieznany mężczyzną? Nie byli nawet tak naprawdę sami, obok w biurze siedzieli przecież jacyś ludzie, pomyślała, spoglądając na wszelki wypadek w kierunku sąsiedniego pomieszczenia.

- Davida wezwał ktoś telefonicznie - powiedział nieznajomy, wiodąc wzrokiem za jej spojrzeniem i domyślając się jej pytania.

Pozostał w odległości kilku kroków i starał się nadać swojemu głosowi łagodne, niskie brzmienie. Dziewczyna przestraszyła się nie na żarty i za nic w świecie nie chciał, by w jej oczy znów wrócił ten bolesny błysk przerażenia. Śliczne, szare oczy, którym rozszerzone źrenice nadały nagle głęboki, prawie czarny kolor. Ale nie tylko oczy - cała była śliczna, jak dziewczyna ze staroświeckiego obrazka na blaszanym pudełku biszkoptów. Wielkie, szare oczy, skóra, którą przyrównać by można do cielistego jedwabiu, włosy ciemne, lśniące, spadające uroczo na czoło, krótki, prosty nos i delikatna kreska ust, których dolna warga, nieco pełniejsza i lekko wydęta, przywozić musiała każdemu mężczyźnie pytanie, jak smakować musi spijany z niej nektar. W przeszłości miał co prawda skłonność do wysokich, długowłosych modelek, ale w tej chwili nie miał wątpliwości, że jego wyobraźnia nie sięgała po prostu odpowiednio daleko.

- To pani samochód? - spytał, wskazując głową na garbusa.

- Tak. Zostawiłam ją na przegład.

- Ją? - uśmiechnął się nieco rozbawiony, nadając jednak natychmiast swemu uśmiechowi przyjacielski charakter. - A jak jej na imię?

- Lucy - odpowiedziała automatycznie i zaraz zarumieniła się lekko. Nie każdy był przecież w stanie zrozumieć, że samochód wymaga imienia.

- Niektóre samochody wręcz domagają się, by je nazwać, prawda? - nieznajomy zdawał się wykazywać

zdumiewające zrozumienie. - Moja starsza siostra kupiła kiedyś volvo, które miało już wtedy chyba z tysiąc lat. Nazwała je Morris, a ktoś spełnił jeszcze dodatkowo jej życzenie i pomalował je na różowo. Kiedy byłem w pierwszej klasie, matka prosiła czasami Darcy, żeby pojechała po mnie i przywiozła mnie ze szkoły. Byłem wtedy przekonany, że matka mnie nienawidzi. Nie dość, że przysyłała pomnie do szkoły siostrę, to jeszcze ten różowy samochód...

- To musiało być wstrząsające - zgodziła się Anna, która uspokoiła się już zupełnie i zdawało się nawet, że poweselała.

Jak zresztą można było obawiać się mężczyzny, którego siostra jeździła różowym volvo o imieniu Morris? I ten ciepły uśmiech. W jego oczach pojawiały się figlarne ogniki nawet wtedy, gdy reszta twarzy pozostawała poważna.

Nie ma końskich zębów ani zęza. A sposób, w jaki na nią patrzy, sugeruje, że najwyraźniej mu się podoba. Nie jest więc nawet pedałem? - pomyślała z humorem. Denerwowało ją trochę, że nie udaje się jej wysledzić żadnej skazy na jego męskiej urodzie. Trzydzieści kilka lat, wysmukłe, sprężyste ciało, prawie czarne włosy, silny podbródek i te niebieskie, jakże niebieskie oczy. Chłopak jak z obrazka.

- Do tej pory nie wiem, co takiego mają w sobie te zabawne samochody, że ludzie tak wariują na ich punkcie - wskazał głową na garbusa. - Mój przyjaciel

dostał kiedyś garbusa na szesnaste urodziny. Nie było w nim klimatyzacji, ogrzewanie było jak kiepski żart, a kiedy wjeżdżaliśmy na jakiś większy pagórek, pasażerów proszono o wyjście z pojazdu i pomoc w wepchnięciu samochodu pod górkę. Ale on kochał to auto. Nie wiem, co zrobił z nim później, ale nie byłbym zdziwiony, gdyby z chwilą, kiedy garbus przestał już jeździć, ustawił go gdzieś na honorowym miejscu obok dziecinnych bucików, zdjęć od pierwszej komunii i innych pamiątek.

Neill usłyszał w odpowiedzi nieco roztargniony śmiech, któremu towarzyszyło pieszczotliwe pogładzenie maski samochodu.

- Lucy ma duszę - odpowiedziała Anna, spoglądając na niego spod oka.

Skinął potakująco głową i w jego oczach znów pojawiły się figlarne iskierki.

- Seth miał dokładnie taką samą minę, kiedy mówił o swoim aucie.

Wsadził ręce do kieszeni, a figlarne ogniki przemieniły się w uśmiech.

- Pomyślałem kiedyś, że może to być coś w rodzaju syndromu brzydkiego kaczątka. Trzeba kochać swoje brzydkie dziecko, bo nikt inny tego za nas nie robi.

- Oni chcieli ją rozebrać i sprzedać na części - powiedziała tonem skargi.

Spojrzał współczująco.

- Więc kupiła ją pani, żeby uratować jej życie?

- Tak chyba można powiedzieć - odparła, nie przestając pieszczotliwie gładzić karoserii i Neill nie mógł się powstrzymać, by nie wyobrazić sobie tych smukłych, delikatnych palców gładzących w podobny sposób jego skórę.

Zdecydowanie zbyt długo włączysz się już sam po świecie, pomyślał.

- Czy zatrudnił się pan u Davida? - spytała nieśmiało.

Myśląc później o tym spotkaniu, zdziwiona była łatwością i swobodą, z jaką toczyła się ta rozmowa. Nie należała do osób, które w łatwy sposób nawiązują pogawędki z napotkanymi po raz pierwszy ludźmi, a tymczasem ta rozmowa zdawała się przeczyć wszystkiemu, co Anna wiedziała o sobie na podstawie dotychczasowych, dwudziestopięcioletnich doświadczeń.

Neill potrząsnął przecząco głową.

- Mój motocykl wyzionął ducha na drodze, nie dalej niż parę mil od miasta - powiedział, wskazując czerwonosrebrny wehikuł stojący w głębi garażu. - Miałem szczęście, że udało mi się złapać okazję, bo sterczałbym dotąd w słońcu w samym środku pola kukurydzy. Gdy tam siedziałem i pot lał mi się strugami po plecach, oczyma wyobraźni widziałem już, jak wynurza się przede mną kaznodzieja Rod Serling i natchnionym głosem rozpoczyna kazanie, które ukazać ma mi całą moralną nicość i wszystkie winy, który ściągnęły na mnie tę karę.

Anna zaśmiała się, rozbawiona opowieścią.

- Jestem pewna, że David poradzi sobie z motocyklem bez trudu.

- Musisz uważać na pochopne obietnice, bo może się zdarzyć, że nie będę w stanie ich spełnić - tubalny głos Davida Freemana wypełnił warsztat, zanim jeszcze jego właściciel pojawił się w progu.

Freeman był niskim, silnie zbudowanym mężczyzną o brunatnych włosach i dosyć pospolitych rysach, jego twarz przyciągała jednak uwagę niezwykłym błękitem oczu. Neill polubił go od pierwszej chwili, a zaczął lubić jeszcze bardziej, gdy David poznał się na jego motocyklu i nie potraktował go jak pospolitego grata, lecz jako oryginalne urządzenie, które wymaga troski należnej osobie starzejącego się wirtuoza. To on napoił i nakarmił Neilla i obiecał przyjrzeć się motocyklowi, gdy tylko upora się z samochodem, który stał właśnie nad kanałem.

- Jak się masz, Anno? - przywitał się z nią.

- Dobrze. Ale poczuję się jeszcze lepiej, kiedy Lucy będzie już na chodzie i zasiądę z powrotem za jej kierownicą.

Anna, powtórzył w myślach Neill. Więc tak się nazywa. Imię wydało mu się nieco staroświeckie, lecz pasowało do niej jak ulał. Nie wymagało od niego wielkiego wysiłku, by wyobraził ją sobie stojącą przed nim w długiej sukni i pofałdowanym, koronkowym czepcu okalającym śliczną twarz. Chociaż... chyba jednak wo-

lę współczesną wersję, pomyślał i by utwierdzić się w tym przekonaniu, przesunął jeszcze raz z przyjemnością wzrokiem po jej długich nogach zakrytych w znikomym stopniu przez zwiewną sukienkę.

- Twoja Lucy jest już na chodzie - powiedział David, podnosząc głowę znad maski wozu. Neill uchwycił krótkie spojrzenie, jakie David rzucił w jego kierunku, i wydało mu się, jakby spostrzegł w nim ostrzeżenie. A może mu się zdawało? Czy w sposobie, w jaki ten mężczyzna położył rękę na ramieniu Anny, gdy tłumaczył, co już naprawił w stojącym w warsztacie samochodzie, było coś więcej niż tylko zwykły, przyjacielski gest?

Neill poczuł lekkie zdziwienie gwałtownością, z jaką zareagował na myśl, że Anna mogłaby być pod opieką jakiegoś mężczyzny. Był tu przecież tylko przejazdem. Jeżeli ma szczęście i mechanikowi uda się doprowadzić wszystko do porządku w ciągu najbliższych kilku godzin, nim zapadnie zmrok będzie z powrotem na drodze. Jeżeli nie, opuści tę miejscinę jutro lub w najgorszym razie pojutrze. Tak czy inaczej, nie zagrzeje tu miejsca tak długo, by troszczyć się o to, czy Anna o pięknych oczach i słodkim uśmiechu widuje się z jakimś mężczyzną.

Tak, tak, Devlin, już za długo jesteś samotny, pomyślał znowu, przyglądając się, jak dziewczyna wyciąga książeczkę czekową z torebki. Gdyby byli kochankami, nie płaciłaby mu za naprawę samochodu,

skonstatował, nie mogąc powstrzymać się od rozważań na temat, który, jak stwierdził, nie powinien mieć dla niego żadnego znaczenia. To normalne, usprawiedliwił się przed sobą. Jestem w końcu literatem i zupełnie automatycznie zastanowiam się nad wszystkim, co dzieje się między ludźmi.

Odchylił do tyłu głowę i wypił ostatni łyk coli, który pozostał w puszcze. Po chwili usłyszał głośnie trzaskanie bagażnika i zdążył jeszcze po raz ostani spojrzeć na olśniewająco długie nogi, które w następnym momencie ukryły się w samochodzie.

Kobieta zatrzasnęła drzwi i spojrzała na niego nieśmiało przez otwarte okno.

- Powodzenia z motocyklem - powiedziała.
- Dziękuję - odkrzyknął.

Zabrakło tylko kilku minut, pomyślał. Jeszcze parę chwil i usłyszałby własny głos zapraszający ją na spotkanie. Zbyt wiele już samotnych nocy, zbyt dużo czasu przed monitorem komputera, przy którym jedynym towarzyszem były jego własne słowa. Mimo wszystko nie mógł powstrzymać się, by nie podejść jeszcze do drzwi warsztatu i nostalgicznie popatrzeć, jak śmieszny, czarny samochodzik skręca w główną drogę i powoli oddala się w nieznane.

- Wybij to sobie z głowy - usłyszał za plecami cierpki głos Davida Freemana.

- Niby dlaczego? - Odwrócił się do mechanika, postanawiając stanąć oko w oko z wyzwaniem. Nie

chciało mu się nawet udawać, że nie rozumie, o co chodzi. - Czy ona kogoś ma?

- Nic o tym nie wiem, ale...

- To dlaczego mam wybić ją sobie z głowy?

David wzruszył ramionami. Jego czarne oczy wydawały się nieprzeniknione.

- Uwierz mi na słowo. Zresztą, jak nie chcesz, to nie wierz. Ale przecież to i tak bez sensu, skoro jesteś tu tylko przejazdem. Dobra, zabiorę się teraz za twój motor. Zobaczymy, co zmajstrowałeś.

David odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku opartego o ścianę motocykla. Neill pozostał w drzwiach warsztatu i powiódł jeszcze raz wzrokiem wzdłuż drogi, daremnie wypatrując czarnego pojazdu. Jednak Garbus, a z nim Anna, zniknęli bez śladu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Choć przydomek „stalowa magnolia” miał z pewnością inny pierwowzór, słowa te przysłyby z pewnością do głowy każdemu, kto poznałby Olivię Moore. Jedy-naczka, córka bogatego biznesmena z Atlanty, wychowana została w świecie bogactwa i przywilejów. Rodzice nie brali dla córki pod uwagę partii innej niż znakomita - najlepiej dżentelmen z Południa, o godnym statusie i stosownym majątku. Tymczasem Olivia, jakby uparła się zrobić rodzicom psikusa, zadurzyła się w prowincjonalnym doktorku bez pochodzenia, a w dodatku jankesie do szpiku kości.

Gdy okazało się, że rodzicom nie uda się wybić jej z głowy małżeństwa, urządzili wspaniałe wesele, na które stawiła się cała towarzyska śmietanka Atlanty. Wyasygnowali również niezależny miesięczny dochód, który zapewnić miał córce utrzymanie stylu życia, do którego przywykła w rodzinnym domu - nawet gdy opuściła już Atlantę i zamieszkała „za granicą”, tam, dokąd zabrał ją mąż.

Pieniądze zapewnić miały Olivii niezależność od dochodów męża oraz niedogodności, jakie mogły cze-

kac ją w nowym środowisku. Młoda żona urządziła od nowa dom, w którym zamieszkali, zamieniając go w pseudotudorowską rezydencję wypełnioną antykami, i zaplanowała regularne wyprawy do Nowego Jorku, by dwa razy w roku odnawiać garderobę. Miejscowe panie, żywo początkowo zainteresowane młodą żoną doktora Moore'a i chętne włączyć ją do towarzystwa, szybko odkryły, że Olivia nie przejawia w tym względzie żadnego zainteresowania.

W miasteczku, gdzie prawie wszyscy znali się ze sobą przynajmniej z widzenia, Olivia poczyniła co prawda pewne znajomości, ale nie zawarła prawdziwych przyjaźni. Nie martwiło jej to zresztą: perspektywa bliskich kontaktów z żonami farmerów i małomiasteczkowych urzędników nie mogła budzić w niej entuzjazmu. Mimo to poczułaby się lekko zdziwiona, gdyby usłyszała, że sąsiedzi uważają ją za snobkę. Wydawało jej się przecież tak oczywiste, że kilkunastotysięczne Loving, zagubione wśród pól Indiany, nie może dostarczać podniet towarzyskich godnych młodej lady z Atlanty, iż sądziła, że ta świadomość powinna rozszerzać się również na innych mieszkańców miasteczka, którzy po prostu zostawiają ją w spokoju. Udział w plebejskich barbecue urządzanych czwartego lipca na Dzień Niepodległości lub na zakończenie żniw wydawał się jej po prostu nie na miejscu.

Wiedziała jednak, że jest dobrą żoną. Poczuli się co prawda rozczarowani, gdy John odmówił pozosta-

nia w Atlancie, gdzie miała przyjaciół i rodzinę i mogła liczyć na życie towarzyskie, ale nie zrobiła wielkich wysiłków, by zmienić jego decyzję.

Starła się też nie narzekać na brak atrakcji. Jeśli nawet już po kilku miesiącach małżeństwa dostrzegła sensowność wielu słów, które kładli jej do głowy rodzice, duma nie pozwalała jej głośno tego przyznać! Rozwód był wykluczony - byłby przyznaniem się do porażki, a tego Olivia nie brała w ogóle pod uwagę. Nigdy zresztą nie przyszło jej na myśl, że sam John mógłby odczuwać w tym względzie jakiegokolwiek wątpliwości. W końcu to ona poświęciła mu tak wiele, podczas gdy on wygrał los na loterii. Zdobył żonę, która była nie tylko piękna, ale i pochodziła z towarzystwa, czy mógł więc patrzeć na nią inaczej niż patrzy się na księżniczkę z bajki?

Rozścieliła łóżko i po chwili zastanowienia odchyliła kołdrę i ułożyła się w wystudiowanej pozie. Gdyby jej mąż wykazywał jakiegokolwiek ślady ambicji, mogłaby, używając swoich znajomości i obycia, pokierować jego karierą. Ale dopóki tkwili na głębokiej prowincji, wszystkie jej możliwości pozostawały bezużyteczne. W tej sytuacji Olivia skupiła prawie całą swą uwagę na trójce dzieci.

Od samego początku starała się w nich zaszczepić poczucie własnej wartości. Było przecież ważne, by wiedziały, kim są naprawdę, i że prawdziwy świat, dla którego są stworzone, zaczyna się poza ciasnymi gra-

nicami Loving, w którym przyszło im się urodzić. Tym razem nie przyjęła już z niewzruszonym spokojem niezrozumiałej, choć kategorycznej odmowy Johna, który nie zgodził się posłać ich do ekskluzywnej szkoły z internatem. Wszystkie argumenty podkreślające, że ich dzieci zasługują na to, by zapewnić im przyzwoity start, który przygotowuje je do życia poprzez kontakt z właściwymi ludźmi, trafiały w próżnię.

Po wielu latach Olivia nie miała więc żadnych wątpliwości, czemu przypisać spartaczoną karierę ich dzieci. Jedyne dziecko nie wytrzymało długo na medycynie i rzuciwszy szkołę, po kilku próbach rozmaitych zajęć rozpoczął pracę jako miejscowy szeryf, obejmując stanowisko, z którym nie wiązał się ani status, ani jakiegokolwiek perspektywy. Ale czy można się było dziwić brakowi ambicji syna, który przyglądał się swemu ojcu? Gdyby John pokazał synowi, że można spróbować osiągnąć coś w życiu, wyjść poza opłotki prowincjonalnego miasteczka, w którym najbardziej ambitnym wyczynem było leczenie reumatyzmu i żyłaków u miejscowych farmerów...

Cóż, teraz Jack miał już trzydzieści pięć lat i tkwił w bezmyślnym zadowoleniu na stanowisku, które dla matki było prawdziwym utrapieniem.

Jakby nie dość tego, to właśnie za sprawą Jacka uwikłana została w bliskie stosunki z kobietą, z którą wcale nie miała ochoty się zadawać. Jej gust i wyczuwanie mody kojarzyło się Olivii z odpustowym jarmar-

kiem. Siedziały oto teraz naprzeciw siebie przy jednym stole, razem z młodszą córką, Anną, i matka nie mogła powstrzymać się od rzucania na nią co chwila ukradkowych, zniecierpliwionych spojrzeń. Wszystko u Lisy zdawało się nie na miejscu. Za wysoka, śmiejąca się z byle czego, o zbyt ostrych rysach i zbyt rudych włosach. Nawet jej ruchy wydawały się zbyt nagłe i kanciaste. Nie było w niej za grosz finezji ani elegancji. Spędziła dziesięć lat w Kalifornii, ale nie tłumaczyło to w najmniejszym stopniu tego, jak się ubierała. Miała na sobie idiotyczny turkusowy bezrękawnik o brzegach okolonych rzędem żółtych stokrotek, połączyła go z purpurową koszulką, dodając do tego wszystkiego dla większego efektu odblaskowe rajstopy i buciki od Mary Janes zwieńczone różowymi klamerkami. W uszach miała kolczyki we wściekłych kolorach, które wyglądały jak haczyki na ryby zgubione przez szalonego wędkarza, a nad całością górowała szopa jej rudych włosów.

To, że Lisa spędziła dzieciństwo razem z jej najstarszą córką, nie zmniejszało w żadnym stopniu odrzy, jaką Olivia czuła, myśląc o tym, że Jack zadurzył się w tej oto kobiecie. Traktowała przyjaźń córki z tą dziewczyną jak nieszczęście jeszcze wtedy, gdy żyła Brooke, a prawie piętnaście lat, jakie upłynęło od śmierci córki, nie zmieniło w żaden sposób jej opinii. Wielka szkoda, że cała ta Lisa nie została w Kalifornii, z dala od Jacka. To było kolejne nieszczęście, które

mogło spaść na jej syna. Nie była oczywiście tak lekkomyślna, by powiedzieć mu to wszystko prosto w oczy. Jack był aż za bardzo podobny do ojca - upartość i zawzięte przekonanie o własnej racji wzrastało w nim zwykle wprost proporcjonalnie do absurdalności decyzji, którą postanowił zrealizować.

Gdyby jego ojciec wypowiedział się na ten temat, Jack może wysłuchałby go z uwagą, ale John jak zwykle odmówił „mieszania się w te sprawy”. Zresztą, jak mawiał, lubił Lisę. „Ta dziewczyna potrafiła go rozśmieszyć.” Cierpka uwaga Olivii, że nie jest to najważniejsza cecha, której należy poszukiwać u żony swego dziecka, spotykała się ze wzruszeniem ramion lub roztargnionym spojrzeniem, które oznajmić miało, że uważa wszelką dyskusję na ten temat za niestosowną. Z wiekiem John rozwinał w sobie skłonność do dystansowania się coraz bardziej od rzeczywistości i izolowania od spraw, które działy się wokół niego.

Olivia pozostała więc sama w swojej walce i postanowiła początkowo ignorować całą sprawę, mając nadzieję, że Jack przechodzi być może przez wczesną fazę kryzysu wieku męskiego. Ale kiedy od momentu rozpoczęcia ich regularnych spotkań upłynęło półtora roku, doszła do wniosku, że sprawy zaszły za daleko i chowanie głowy w piasek nie doprowadzi do niczego dobrego. Pomysł, by Jack zaprosił Lisę do domu na niedzielną kolację, był jej inicjatywą. Miała nadzieję, że syn po raz pierwszy przyjrzy się tej dziewczynie

na tle spokojnej, wyciszonej elegancji ich rodzinnego domu i zobaczy, jak niestosowna jest obecność takiej osoby w otoczeniu, które bądź co bądź ma za sobą jakąś tradycję. Niestety, jej plan nie odniósł spodziewanego skutku. Olivia postanowiła więc, że nadszedł czas na bardziej bezpośrednie działanie.

- Zachodziłam ostatnio w głowę, gdzie też robisz zakupy, Liso? - rzuciła, wycierając delikatnie usta serwetką i posyłając w jej kierunku kąśliwy uśmiech. - Po przyzwyczajeniu się do Los Angeles wszystkie tutejsze sklepy muszą wydawać ci się strasznie nieciekawo, prawda? Zwłaszcza jeżeli ktoś wie tak dobrze jak ty, w co się ubrać.

Anna zamknęła na moment oczy i zacisnęła palce na ręczce widelca, który trzymała w ręce. Naiwnie pomyślała przed chwilą, że przejdą teraz w miłej atmosferze do deseru. Niemal zachłysnęła się kęsem, który miała w ustach, starając się jednocześnie pokryć zażenowanie niezgrabnym uśmiechem. Właściwie zdziwiona była tylko tym, że matce zajęło tak długo przygotowanie pierwszego, choć z pewnością nie ostatniego komentarza na temat stroju Lisy, który jej przyjaciółka włożyła na siebie z całą świadomością piorunującego efektu, jaki wyrze na gospodyni.

- To nie jest łatwe - odpowiedziała powoli Lisa, zdając się z wielką powagą przyjmować pozorne zażalenie Olivii. - Ale na szczęście mam przyjaciółkę w L.A., która przysyła mi różne rzeczy. Tę sukienkę

znalazła na przykład w niedrogim butikiu na Santa Monica Boulevard, który sprzedaje świetne rzeczy z drugiej ręki.

Lisa przesunęła z dumą palcami po ramiączkach turkusowego bezrękawnika.

- Oczywiście, wymagał małych zabiegów, żeby doprowadzić go do stanu świetności, ale nie można być zbyt wybrednym, kiedy dostaje się rzeczy z drugiej ręki.

Anna sięgnęła po szklankę i upiła szybko łyk mrożonej herbaty, starając się ukryć rozbawienie. Wiedziała doskonale, w jakich sklepach robi zakupy znajoma z Los Angeles. „Niedrogi butik” był oczywistym żartem, bo sprzedawał markowe rzeczy ze znanych kolekcji, które hollywoodzkie osobistości oddawały tam po dwukrotnym założeniu. Tymczasem z wypowiedzi Lisy wyłaniał się obraz przyjaciółki przebierającej z zatroskaną miną w wielkim pudle wypełnionym na chybił trafił szmatkami za pięć dolarów.

- No cóż, ja też uważam, że nie można pozwolić sobie na wybredność, kiedy kupuje się... używaną odzież - skomentowała Olivia, akcentując w szczególności sposób ostatnie dwa słowa. - Oczywiście, w sytuacji, kiedy musisz liczyć się z groszem, takie sklepy wydają się darem niebios - uśmiech matki krył w sobie złośliwość. - Domyślam się, jakie trudności mają twórczy ludzie, którzy zaczynają w końcu liczyć pieniądze. A propos, jak idzie twój mały interes, kochanie?

Uśmiech Lisy wyraźnie stężał, a w jej oczach błysnęła mały, niebezpieczny ogień. Osobiste ataki nie robiły na niej wielkiego wrażenia, jednak na punkcie spraw zawodowych jej odporność na złośliwości była mniejsza. Lisa traktowała swoją pracę poważnie i oczekiwała tego samego od innych.

- Bardzo dobrze, dziękuję. Wyeksponowałam właśnie w ubiegłym tygodniu kilka kolekcji do butików w San Francisco. Robię teraz specjalne zamówienie dla klientki z Manhattanu.

- To ten kapelusz w kwiaty? - wyrwał się nagle Jack, odzywając się po raz pierwszy od kilku minut. Kiedy Lisa przytaknęła ruchem głowy, kontynuował, nie kryjąc rozbawienia: - To najśmieszniejszy kapelusz, jaki widziałem w życiu. Wygląda jak owocowy koktajl wylany na odwrócony do góry dnem rondel - wyjaśnił przysłuchującej się z zaciekawieniem matce. - Prawdę mówiąc, zawsze uważałem, że branie pięciuset dolarów za coś, co jakaś damulka włoży dwa razy i schowa do szafy, powinno być zakazane w konstytucji.

- Projektowanie takich rzeczy to świetna zabawa - odpowiedziała Lisa cierpko, trącąc go jednocześnie łokciem w bok.

- To wspaniale! - powiedziała z udawanym entuzjazmem Olivia. - Sama zastanawiałam się kiedyś nad kolekcjonowaniem takich niecodziennych kapeluszy, które... niekoniecznie musiałabym sama nosić - za-

kończyła ironicznie. - Znałam kogoś, kto zbierał odłamki skał w różnych kolorach i nazbierał ich w końcu tyle, że wypełnił nimi cały pokój. Ludzie kolekcjonują tak dziwne rzeczy...

- Prawda? - zgodziła się z wyszukaną uprzejmością Lisa. - Mam tyle szczęścia, że znaleźli się ludzie, dla których moje kapelusze są równie ekscytujące, jak dla innych kawałki kamieni.

Kolejny wieczór spędzony w miłej atmosferze na łonie rodziny, pomyślała cierpko Anna. Równie przyjemną rzeczą mógłby okazać się tylko spacer po polu minowym pośród świstu przelatujących koło uszu kul. Przypomniała sobie, jak w dzieciństwie, oglądając kolejne odcinki serialu „Paczka Brady'ego”, zadawała sobie pytanie, czy rzeczywiście istnieją gdzieś rodziny takie jak ta, w telewizji. Czy istnieją rodziny, które rzeczywiście rozmawiają ze sobą, rodzice, do których przychodzi się, żeby opowiedzieć o swoich sprawach i znaleźć rozwiązanie problemów, nieważne - małych czy wielkich - i radę.

Wciąż było dla niej zagadką, na czym polega ten związek między ludźmi, który daje poczucie, że można bez obawy opowiedzieć sobie o wszystkim. To, że nie przychodzi to automatycznie wraz z urodzeniem się w jakiejś rodzinie ani z chwilą poślubienia jakiegoś mężczyzny, dowodziła jej własna matka i ojciec. Nie pamiętała niestety okresu w swoim życiu, kiedy czułyby, że może zwrócić się do nich z problemami, które

były dla niej ważne. I nie chodziło tu wcale o to, że w ich rodzinie nie było miłości. Oczywiście, kochali się. Kochali się być może tak, jak kocha się większość ludzi, którzy zdecydowali się spędzić razem życie. Anna już dawno wyrosła z oczekiwań, że będzie ono przypominać któryś z telewizyjnych seriali, które oglądała w dzieciństwie z wypiekami na twarzy, ale wciąż nie mogła przestać się zastanawiać, jak mogłoby wyglądać, gdyby znalazły się w nim chwile, na które zawsze liczyła.

W przeszłości nie musiała nawet spoglądać na swojego ojca, żeby wiedzieć, że choć siedzą razem przy jednym stole, on błądzi myślami gdzie indziej. Ta skłonność do „znikania”, do odchodzenia coraz bardziej od rzeczy i zjawisk, które go otaczały, była jej znana od dawna. Czasami zazdrościła mu tego, ale teraz, gdy spojrzała na niego, nagle przyszło jej do głowy, że musi chyba czuć się samotny.

A jej brat... Jack zawsze był dla niej zagadką. Gdy była jeszcze dzieckiem, prawie dziesięcioletnia różnica wieku, jaka ich dzieliła, dodawała mu w jej oczach tajemniczej, nieco mistycznej aury. Widziała w nim kogoś, kto porusza się w kręgu niedostępnych dla niej męskich spraw. Wysoki, szczupły, o włosach koloru słońca i ciemnoniebieskich oczach, wydawał się jej ideałem mężczyzny. Dopiero kiedy dorosła, zaczęła dostrzegać prawdziwą osobę za obrazem, który sobie stworzyła.

Zmarszczyła lekko brwi, gdy Jack podniósł się z krzesła, żeby rozlać do kieliszków resztę wina, która pozostała w butelce. Z pozoru wydawał się zadowolony ze swojego życia, ale Anna dostrzegała od czasu do czasu, jak spod błękitu jego oczu wyziera jakiś cień smutku.

- Anno? Zejdź na ziemię.

Wzdrygnęła się zaskoczona tym, że ktoś mówi do niej, i spostrzegła brata stojącego obok i pytającego spojrzeniem, czy dolać jej wina.

- Przepraszam, zamyśliłam się - skinęła twierdząco i Jack wypełnił jej kieliszek płynem w kolorze jasnego złota.

- Pewnie myślałaś o tym przystojniaku z warsztatu, co? - zażartowała Lisa.

- Nie - odpowiedziała krótko, choć wraz z pytaniem mężczyzna stanął jej przed oczyma jak żywy. Myślała o nim kilka razy tego popołudnia, zastanawiając się, skąd się wziął w ich w miasteczku i dokąd jechał. Czuła lekki żal, że nie spotka go znów któregoś dnia w progu warsztatu Davida Freemana. Czy mogłaby okazać się kobietą, dla której ktoś taki jak on zmieniłby swoje plany i zdecydował się pozostać w miasteczku - tylko po to, żeby poznać ją bliżej i spędzić z nią czas?

Lisa, widząc jak na policzkach Anny pojawia się lekki rumieniec, pochyliła się poufale i spytała:

- Rozmawiałaś z nim wtedy?

- Dlaczego nic nie rozumiem z waszego gadania?

- poskarżył się Jack. - O kim właściwie mówicie?

- Kiedy podrzuciłam Annę do warsztatu Davida, żeby odebrać stamtąd Lucy, trafiłyśmy na faceta, który okazał się największym przystojniakiem, jakiego widziałam od stu lat.

- Czy powinienem już czuć się zazdrosny?

- Może troszeczkę - Lisa uśmiechnęła się do niego szelmowsko. - To naprawdę było niezemskie zjawisko!

Odwróciła się z powrotem do Anny.

- Rozmawiałś z nim czy nie?

- Trochę - Anna uniosła w obronnym geście rękę, jakby chciała powstrzymać nadciągającą lawinę pytań.

- Popsuł mu się motocykl, ktoś podrzucił go do miasta i tak znalazł się u Davida, który obiecał zająć się tym wszystkim. Tyle wiem.

- Czy z bliska wyglądał równie oszałamiająco?

- spytała Lisa z nieukrywaną ciekawością.

- Teraz nie mam już wątpliwości. Jestem zazdrosny

- potwierdził Jack niepokojąco poważnym tonem.

- Jeżeli ten facet snuje się tu jeszcze, będę zmuszony wykurzyć go z miasta jak najszybciej.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że robicie sobie żarty na taki temat - rozdrażniony głos matki przeciął prekomarzania niczym ostry nóż. Anna spojrzała na nią zdziwiona i spostrzegła malującą się na jej twarzy prawdziwą złość.

„Nic nie postarza kobiety szybciej niż silne emocje, pamiętaj o tym, Anno. Może to dzisiaj niemodne, ale

dama zawsze powinna umieć utrzymać emocje na wodzy" - przypomniała sobie jedno ze zdań, które powtarzała jej matka.

- Żarty na jaki temat? - spytała, spoglądając na Olivię. Przeniosła wzrok na brata, ale Jack siedział ze wzrokiem utkwionym nieruchomo w stojącym przed nim kieliszku.

- Więc rozmawiałaś z nim w końcu czy nie? - przerwała Lisa niezbyt zręczne milczenie.

- Troszeczkę.

Poczuła nagle, jak coś ściska ją w żołądku, i splótła dłonie na brzuchu, chcąc opanować zakłopotanie, które - jak była pewna - jest już widoczne dla wszystkich. Przez chwilę poczuła się jak szesnastolatka, która wróciła zbyt późno ze szkoły i siedzi przed matką, wysłuchując jej histerycznych szlochów i wyliczania, co mogło się jej stać i jak bardzo martwiła się o jedyną córkę.

- Był bardzo miły - powiedziała w końcu, wiedząc, że sprowokuje w ten sposób kolejne pytania Lisy.

- To przecież nic nie znaczy - zachnęła się Olivia, odsuwając od siebie talerz zbyt nerwowym ruchem i potracając kieliszek, który zachwiał się i nie przewrócił na stół tylko dzięki szybkiej interwencji Jacka. Spojrzała na Annę i wycedziła: - Nie brakuje miłych mężczyzn na świecie. Przecież to ktoś zupełnie obcy. Chyba wiesz coś o tym, co może wynikać ze spotkań sam na sam z nieznanymi mężczyznami?

- Och, jestem pewny, Liwy, że nic jej nie groziło
- Jack postanowił rozluźnić jakoś napiętą atmosferę.
- To było w końcu u Davida, w biały dzień.

- Dowiedzieliśmy się już wszyscy kiedyś, jak bezpiecznie można się czuć w biały dzień, w samym środku miasta, prawda? - Zgromiła Jacka spojrzeniem, po którym nastąpiła nieprzyjemna cisza.

Zupełnie bezwiednie spojrzenie Anny powędrowało w kierunku fotografii stojących na komódce. Stało tam kilkanaście zdjęć oprawionych w ramki, wśród których zwracało uwagę największe, przedstawiające śliczną dziewczynę o długich blond włosach i ciemnoniebieskich oczach. Była u progu kobiecości, a jej oczy pełne były entuzjazmu i oczekiwania na to wszystko, co przynieść miało rozpoczynające się dorosłe życie. Życie, które zostało przerwane zaledwie w miesiąc później.

- Przecież nic się nie stało, Liwy - przerwał niepewnie milczenie Jack.

- Jesteś taki pewny, że ten mężczyzna nie pojechał za nią, żeby dowiedzieć się, gdzie mieszka?

- Nie przesadzaj, mamó - Anna starała się nadać swojemu głosowi spokojne brzmienie. - Jego motocykl stał popsuty w warsztacie, więc musiałyby biec za mną z prędkością 60 kilometrów na godzinę.

Beznamiętny ton, jakim to powiedziała, przyniósł pożądany efekt. Rumieńce, które zaróżowiły policzki matki, zaczęły powoli blednąć i Olivia rozluźniła palce zaciśnięte nerwowo na krawędzi stołu.

- Masz rację - przyznała pojednawczo, przesuując dłonią wzdłuż szyi, jakby chciała pozbyć się niewidzialnego korka, który utkwił jej w gardle. — Ale ja wciąż czuję się nieswojo, kiedy myślę o tym, że mieszkasz sama w tym domku na odludziu. Nigdy nie zrozumieć, dlaczego tak zależało ci na tym, żeby się stąd wyprowadzić. Zupełnie jakby w tym domu nie było wystarczająco dużo miejsca dla całej rodziny.

- Muszę po prostu mieć swoje miejsce, gdzie będę czuć się niezależna. - Anna znów poczuła lekki skurcz w żołądku.

Dokładnie taka sama rozmowa odbyła się trzy lata temu, kiedy obwieściła matce, że zamierza się wyprowadzić, i wiele razy potem. Anna nie zamierzała jej powtarzać.

- Wiem, wiem, ta twoja samodzielność - skwitowała gorzko Olivia. - Nigdy nie dowiem się tylko, dlaczego miałyby to być powód, żeby się wyprowadzić. Zupełnie tak, jakbyś nie mogła mieszkać tutaj i mieć tyle prywatności, ile dusza zapagnie.

Anna wiedziała, że matka rzeczywiście wierzy w to, co mówi, powstrzymała więc mimowolny śmiech, który cisnął się jej na usta.

- Nie przeprowadziłam się przecież daleko - powiedziała, pomijając drażliwą kwestię tego, że wyprowadziła się w ogóle. - Domek pod różą jest zaledwie kilkaset metrów stąd.

- Wiem, gdzie jest twój dom. Szkoda tylko, że nie

jestem nawet w stanie zobaczyć, czy wieczorem pali się tam światło - matka nie dawała za wygraną.

Co było jednym z powodów, dla których zgodziłam się zamieszkać tak blisko, dodała w duchu Anna. Mimo solennych zapewnień o poszanowaniu prywatności, matka z pewnością nie omieszkałaby odnotować każdej wizyty, która miała miejsce w jej domu. Co prawda i tak nie było ich zbyt wiele, przyznała w myślach z lekkim żalem, nie mogąc powstrzymać się od refleksji, że oprócz samodzielności nowe miejsce nie przyniosło wielu zmian w jej życiu. Jediną rzeczą, którą udało się osiągnąć matce trzy lata temu, gdy ze zdziwieniem odkryła, że tak uległa zawsze córka nie zamierza tym razem się poddać, była skuteczna namowa, by nie przeprowadzała się na drugi koniec miasta, ale zamieszkała w domku oddalonym zaledwie o kilka minut jazdy samochodem.

- Ciągłe nie mogę uwierzyć, że wdajesz się w rozmowy z jakimś mężczyzną, którego spotkałaś na drodze. Powinaś poza tym pamiętać, że nie wypadłaś sroce spod ogona.

Gdyby choć raz, jedyny raz w życiu pozwolono mi zapomnieć, że jestem siostrą Brooke Moore, pomyślała gorzko Anna. Gdybym choć raz mogła być kimś innym... kimkolwiek...

- Po prostu... jakiś mężczyzna - wzruszyła ramionami. - Był - i już go nie ma. Jest pewnie teraz gdzieś w drodze do Chicago albo dojeżdża do Nowego Jorku.

- Do Nowego Jorku to może nie - skomentował trzeźwo Jack. - Musiałby mieć motocykl z napędem raketowym.

- Ho, ho, ktoś taki jak on mógłby mieć nawet napęd atomowy - podchwyciła Lisa, starając się żartem rozładować atmosferę. - A może zostawił motocykl i podróżuje teraz Internetem?

- Ten nieszczęsny incydent naprawdę nie wydaje mi się stosownym tematem do żartów - powiedziała Olivia, uznając dyskusję za zakończoną.

Jeszcze jeden miły wieczór spędzony na łonie rodziny, pomyślała znów Anna i wstała, żeby pozbierać ze stołu talerze. A wszystko dlatego, że zamieniła kilka słów z mężczyzną, który pojawił się na parę godzin w miasteczku i zniknął. To śmieszne, pomyślała, że w ogóle zaprzęta sobie nim głowę. Ten facet na pewno okazałby się jakimś strasznym nudziarzem. Każdy z tych przystojniaków, za którymi oglądają się dziewczyny, ma przecież wielkie ego nadmuchane jak balon.

Ale to stwierdzenie nie przeszkodziło wtargnięciu po raz kolejny w jej myśli pytania, gdzie teraz jest ten mężczyzna.

Mniej więcej w tym samym czasie Neill rozpakowywał swoją traperską torbę, unosząc od czasu do czasu spojrzenie na dwie pary oczu wpatrujące się w niego z wiszących na ścianie filmowych plakatów. Połączenie mrocznej uwodzicielskości Claudette Colbert ze

spojrzeniem Drakuli z sąsiedniego plakatu dawało nieco do myślenia na temat osoby, która zdecydowała się na taki wystrój motelowego wnętrza. Niezależnie od tego Neill uznał Dorothy Gale, którą poznał parę minut temu, za intrygującą osobę.

Kiedy okazało się, że boska opatrność nie zdecydowała się pozwolić Davidowi Freemanowi na uruchomienie motocykla tego wieczoru, następny akt jej woli skierował Neilla do motelu Pod Niebieską Dalią.

- To motel mojej ciotki - zarekomendował David Freeman, wycierając zatłuszczone smarem palce po skończonej pracy. - Niby nic nadzwyczajnego, ale jest bardzo czysty i nie zedrą tam z ciebie skóry.

Robiło się już późno i Freeman zaczął powoli zbierać rzeczy, żeby zamknąć warsztat.

- Prawdę mówiąc, nie znajdziesz w tym miasteczku zbyt wielu miejsc do spania. Gert Billings wynajmuje jakiś pokój w swoim domu, ale ona szuka zwykle kogoś, kto chciałby zatrzymać się na dłużej. Poza tym jesteś chyba dla niej trochę za młody - dodał z szelmowskim uśmiechem.

- Za młody na co?

- Za młody dla niej. Gert rozgląda się za kimś, kto nadałby się na męża. Od śmierci Willie'ego minęło już ładnych parę lat.

- Willie był jej mężem?

- Był jej bratem...

Neill zmarszczył brwi i spojrzał na Davida spod

oka. Spojrzenie było na tyle zabawne, że Freeman wybuchnął głośnym śmiechem.

- Willie był bardzo pracowitym chłopakiem, prawdziwa złota rączka. Umiał sam zrobić wszystko i utrzymywał dom w idealnym stanie. Nie był ciężarem dla Gerty. Jedynym jej obowiązkiem było zrobić mu dobry obiad. Był zawsze zadowolony z życia, a to się liczy. Taki dom wymaga ciągle jakiejś roboty. Porządny chłop, który nie ma dwóch lewych rąk, to niezła inwestycja. Ale Gert nie znalazła na razie chętnych na tę posadę.

- No cóż... podaj mi w takim razie adres motelu ciotki - zdecydował szybko Jack. - Ona nie szuka kandydata na męża, prawda?

- Ona? Odkąd wujek Leo znalazł się w grobie czterdzieści lat temu, nie obejrzała się za żadnym facetem - zaśmiał się Freeman. - Jest trochę ekscentryczna, ale nie przejmuj się, dla gości bywa miła. Powiedz jej, że ja cię przysyłam.

- Dzięki. - Jack zarzucił wielką torbę na plecy i wskazał głową na motocykl. - Kiedy uda ci się to skończyć?

David powiedział mu już wcześniej, że silnik ma rozwalone zawory, ale nie był pewny, czy przy okazji nie pojawią się inne problemy.

- Rozbiore go jutro przed południem i zobaczę, co mu dolega - powiedział. - Na pewno trzeba będzie sprowadzić parę części.

Neill pogodził się już z faktem, że spędzi w miasteczku co najmniej najbliższe dwa dni, jednak z trudem powstrzymał westchnienie. Jeżeli w Loving nie będzie części do jego motocykla i trzeba je będzie sprowadzać z Indianapolis albo z Chicago, czekanie może przedłużyć się nawet do tygodnia.

Trzymając się ściśle wskazówek Davida, wyruszył do motelu Pod Niebieską Dalią. Po dwudziestominutowej wędrówce dostrzegł wreszcie wyłaniający się zza zakrętu szyld - kolorowy neon, w którym dla ozdoby „i” zamiast kropką zwieńczone było wianuszkami płatków, które przypominać miały kwiat. Motel miał świeżo wymalowane ściany i otoczony był starannie wypielegnowanym trawnikiem, ale Neill, nauczony nie spodziewać się po takich miejscach zbyt wiele, zbliżył się do drzwi bez szczególnych oczekiwań. Nieco ekscentryczny szyld mógł co prawda dziwić na bezimiennym przedmieściu małego miasteczka, ale nie sądził, by był czymś więcej niż przypadkowym elementem zabłąkanym na frontonie pospolitej budowli.

Pchnął lekko drzwi, które otworzyły się na oścież, ukazując napis Recepcja. „Ekscentryczka”, tak nazwał swoją ciotkę David Freeman. Doświadczenie nauczyło Neilla, iż ludzie określają w ten sposób szeroki wachlarz ludzkich typów, począwszy od tych nie różniących się od otoczenia niczym poza jakimś niegroźnym zwyczajem lub hobby, po prawdziwych wariatów, od

których lepiej trzymać się z daleka. Kobieta, która zajęta była właśnie podlewaniem filodendronów w głębi pomieszczenia, nie wyglądała na kogoś, kogo umieścić by można na którymkolwiek końcu tej skali.

Próbując ustalić jej wiek, stwierdził, że musi mieć koło siedemdziesiątki, jednak w jej ruchach nie było wcale niezdarności ani niedołąstwa. Stalowszare, krótko przycięte włosy odsłaniały wyrazistą twarz o mocnych rysach. Praktyczna, krótka fryzura zdawała się pasować do bezpośredniego, szybkiego spojrzenia, które rzuciła na niego, gdy tylko pojawił się w drzwiach. Ubrana była w dżinsową koszulę i miękkie spodnie w wypłowiałym niebieskim kolorze, a wyglądała dokładnie tak, jak wyobrażał sobie żonę miejscowego farmera - z jednym może wyjątkiem: na jej nogach migotały czerwone tenisówki ozdobione złotymi gwiazdkami, a spod spodni wзираły skarpety w biało-czerwone paski.

Ani jej buty, ani skarpety nie zwróciłyby oczywiście czyjejkolwiek uwagi w Seattle lub Los Angeles, ale w zagubionym wśród pól Indiany miasteczku Loving były wystarczającym powodem, by przylepić jej łatkę ekscentryka.

- Dzień dobry. Czy rozmawiam z panią Dorothy?
- Dorothy Gale. Szukasz pokoju? - przeszła od razu na „ty”, jednak w jej tonie Jack nie odnalazł szczególnego entuzjazmu.
- Tak - posłał jej najbardziej promienny uśmiech,

na jaki potrafił się zdobyć. - David Freeman powiedział mi, że może mieć pani coś wolnego?

- David nie mógł ci tego powiedzieć - powiedziała zdecydowanie, odstawiając jednocześnie zieloną plastikową konewkę, którą podlewała kwiaty. - Bez dwóch zdań - dodała, nim Neill zdążył dodać cokolwiek, by przekonać ją o prawdziwości swojej rekomendacji. - Mam zwykle jakieś pokoje, ale nie o tej porze roku i nie na Boże Narodzenie. David dobrze o tym wie.

Kobieta nie wydawała się oczekiwać od niego jakiegokolwiek odpowiedzi, a nawet gdyby było inaczej i tak nie wiedziałyby, co powiedzieć.

- Na jak długo zatrzymałeś się w mieście? - spytała po chwili.

- Nie wiem dokładnie. Dopóki David nie naprawi mojego motocykla albo nie uda mi się załatwić jakiegoś transportu. Parę dni, może dłużej.

- Jedyne, co mogłabym ci teraz dać, to pokój małżeński z dużym łóżem i aneksem kuchennym.

Dorothy wymieniła cenę i Neill skinął potakująco głową.

- Wypełnij ten formularz. Wolałabym, żebyś zapłacił kartą kredytową albo dał z góry gotówkę.

Wyciągnął portfel z tylnej kieszeni spodni i wręczył jej kartę, po czym wziął ze stolika długopis i zabrał się do wypełniania formularza.

- Mamy tu kablówkę - powiedziała Dorothy, wkła-

dając kartę do maszyny, żeby wydrukować czek. Gdy uznała go już za gościa, jej ton zmienił się na bardziej przyjacielski. - Jeśli chcesz, możesz oglądać filmy nawet dwadzieścia cztery godziny na dobę. Lubisz kino?

- Nie miałem zbyt wiele czasu przez ostatnich parę miesięcy - powiedział nieco roztargnionym głosem, starając się skupić na wypełnianiu formularza.

- Nie mówię oczywiście o tych bzdurach, które dzisiaj kręcą - rzuciła Dorothy tak wyniośle, że aż uniósł głowę znad kartki i zaraz przestraszył się gwałtownością, z jaką kobieta wbiła w niego pełne wzgardy spojrzenie. - Krew i bebechy na całym ekranie... I to ma być horror? Albo para golasów skaczących przez pół godziny po łóżku, erotyka... Co to za erotyka? Bzdura. Kompletna bzdura. Nie ma dzisiaj ani jednego reżysera, który wiedziałby, jak się zabrać do rzeczy. Czy wiesz, na przykład, co to jest Niebieska Dalia?

Zadała to pytanie z takim impetem, że Neill zaczął z przerażeniem zastanawiać się, czy nieprawidłowa odpowiedź nie będzie kosztować go utraty pokoju. Później, gdy znalazł się już na górze, pomyślał, że tylko niezwykła presja chwili pozwoliła mu jakimś cudownym zrządzeniem losu wydobyć z zakamarków pamięci tytuł filmu sprzed pięćdziesięciu kilku lat.

- To był tytuł, prawda? - powiedział niezbyt pewnie. - Film z Alanem Laddem? - przyciśnięty do muru

nieustępliwym spojrzeniem Dorothy zdecydował się na lekki blef.

- Zgadza się. Alan Ladd, Veronica Lake i William Bendix. Paramount 1946 - wyrecytowała jednym tchem. - Scenariusz na podstawie Raymonda Chandlera. Film *noir*, jak to dzisiaj nazywają. To było kino, nie ma co gadać! Jaka jest twoja ulubiona aktorka?

Pocisk został wystrzelony z nienacka, ale Neill nie był tak głupi, żeby dać się nabrać. Gorączkowo przebiegł w myślach kolejne nazwiska. Michelle Pfeiffer odpadła w przedbiegach, podobnie Sharon Stone. Odkurzał dalej i wreszcie znalazł - Gene Tierney.

- Zrobiła parę świetnych filmów - przyznała Dorothy po chwili wahania. - Trzeba przyznać, że Laura z jej udziałem była prawdziwą szkołą suspense.

- Dana Andrews, Clifton Webb i Vincent Price - Neill sam nie wiedział, jakim cudem z pamięci wysypał mu się nagle grad nazwisk. Tak się szczęśliwie złożyło, że oglądał Laurę na kablówce zaledwie kilka miesięcy temu.

- A jak nazywała się kobieta, którą grała Clifton Webb? - spytała podchwytliwie i Neill nie mógł się oprzeć wrażeniu, że egzamin, który ma ocenić, czy jest stosownym kandydatem do zajęcia pokoju, ciągle trwa.

Wzruszył bezradnie ramionami.

- Lubiła pisać na maszynie w wannie. Tyle pamiętam.

- Waldo Lydecker - odpowiedziała, a przychylny uśmiech pokazał, że potraktowała tę odpowiedź ulgowo i w końcu uznała intruza za partnera.

Kiedy Neill przypomniał sobie tę rozmowę godzinę później, jego twarz mimo woli rozjaśnił uśmiech. Dorothy nie była co prawda typem arcymiłej, serdecznej osoby, ale była interesująca, a w jej oczach migotała iskierka humoru, która powodowała, że jeśli nawet zasłużyła sobie na miano ekscentryczki, był to typ ekscentryzmu, który budził raczej sympatię niż niepokój czy grozę.

Pokój, w którym się znalazł, okazał się większy niż myślał. Nawet aneks kuchenny mógł stać się przydatny, gdyby okazało się, że będzie musiał tu spędzić kilka dni. Wystrój pokoju, biorąc pod uwagę, kto był jego autorem, był całkiem normalny. Zrobiwszy parę kroków po wnętrzu, Neill uznał w końcu, że jest tu całkiem miło. Przymusowy postój w Loving mógł wyglądać znacznie gorzej. Od samego początku polubił Davida Freemana, a ze strony starszej pani mógł liczyć bez wątpienia na niejedną interesującą rozmowę.

Loving było małym miasteczkiem. Przez kilka dni, kiedy będzie się włóczył po jego uliczkach, zdąży się z pewnością przyjrzeć, jak wyglądają jego mieszkańcy. Może uda mu się nawet wpaść na tę śliczną dziewczynę o wielkich szarych oczach. Pewnie nie zatrzymałby się tu tylko po to, żeby po tygodniu włóczęgi zamienić

z nią kilka słów przed wejściem do sklepu, ale skoro już tu jest...

Anna wyglądała jak małe apetyczne ciasteczko, a choć Neill niespecjalnie liczył na to, że uda mu się dostać taki rarytas na deser, w sytuacji, gdy życie go nie rozpieszczało, uznał, że przyjemnie byłoby choćby na nie popatrzeć.

ROZDZIAŁ TRZECI

Loving nie było z pewnością miejscem, które znalazłoby się na liście dziesięciu największych atrakcji, które polecono by turyście w stanie Indiana. Mała rolnicza osada, otoczona polami pszenicy i kukurydzy, z jedną główną ulicą, przy której znajdowały się sklepiki. Było kilka barów, gdzie można napić się kawy, restauracja o nieco wysłużonym wyglądzie, nieco dalej bank oraz biuro handlu nieruchomościami otwarte dwa dni w tygodniu, z szyldem, który podawał numer telefonu na wypadek, gdyby komuś wpadł do głowy niemądry pomysł sprzedaży lub kupna domu w tak niezwykłym terminie, jak czwartek lub piątek.

Ze wszystkimi tymi „atrakcjami” Loving było podobne do dziesiątków innych miasteczek, które Neill poznał w swoich wędrówkach. No, może trochę czystsze i zamożniejsze. Właściwie jedynym powodem do dumy były tysiące listów wysyłanych za pośrednictwem tutejszego urzędu pocztowego, gdy zbliżał się Dzień św. Walentego, by uzyskać okolicznościowy znaczek z napisem „Loving”. Było to w miasteczku swoi-

ste wydarzenie roku, zmuszające zwykle pocztę do przyjęcia do pomocy kilku dodatkowych pracowników.

Gdy Neill, jeszcze bez śniadania, wynurzył się rano z motelu, zobaczył Dorothy podlewającą kwiaty przed domem przy użyciu tej samej zielonej konewki, którą widział wczoraj. Po krótkim pozdrowieniu spojrzała na niego badawczo i spytała, czy nie przegapił wczoraj wieczorem filmu „Więzień Zandy”. Film pokazano co prawda dopiero po północy, ale na coś takiego naprawdę warto było jej zdaniem poczekać. Ta wersja nie miała nic wspólnego z mdłą powtórką, jaką nakręcono w latach pięćdziesiątych. To był oryginał, z Ronaldem Colemanem i Douglasem Fairbanksem Juniorem, film z prawdziwym biglem.

Neill stwierdził z żalem, że spał już o tej porze, ale dodał, zgodnie zresztą z prawdą, że widział kiedyś ten film i bardzo mu się podobał. Dodatkowe wyznaczenie, że nie wiedział o tym, że powstała jakaś kolejna wersja i że po obejrzeniu tak wspaniałego oryginału nie byłby wcale jej ciekaw, spotkało się z wyraźną aprobatą. Dorothy uśmiechnęła się, ukazując garnitur zachowanych w idealnym stanie zębów, co wydało mu się trochę podejrzanę. Tego poranka ubrana była w luźne szorty koloru khaki odsłaniające guzowate kolana, koszulę w kratkę z krótkim rękawem i całkiem nową parę czerwonych tenisówek, tym razem bez gwiazdek.

- Remake to prawie zawsze klęska - powiedziała

autorytatywnie. - Weź taki film jak „Mój mąż Godfrey”. Nie mam nic przeciwko Davidowi Nivenowi, ale to po prostu nie to samo co William Powell.

Neill skinął potakująco głową. Przynajmniej w jednym absolutnie zgadzał się z Dorothy: David Niven i William Powell nie nadawali się do porównania ze sobą pod żadnym względem.

- „Bunt na Bounty” to następny przykład - ciągnęła, wspierając się na grabiach i mrużąc oczy pod rażącym słońcem. - Trzeba przyznać, że Marlon Brando zagrał to nienajgorzej, ale gdzie był wtedy Charles Laughton?

- Nie żył? - powiedział Neill po chwili wahania, nie rozumiejąc do końca pytania.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym Dorothy zachichotała.

- Powiedzmy. Musisz uważać, kiedy rozmawiasz ze mną o filmach. Kino to moje największe hobby.

Neill uniósł brwi, spoglądając na nią pytająco.

- Przede wszystkim nie staraj się być za sprytny - dodała, sięgając do tylnej kieszeni spodni. Wyciągnęła stamtąd podniszczoną czapeczkę z napisem „John Deere”, naciągnęła ją na szare loki i spojrzała mu prosto w oczy. - Powiedz mi teraz coś o sobie.

Jedną z umiejętności, które Neill posiadał w ciągu ostatnich lat i które udoskonalił, odkąd jego pierwsza książka znalazła się na liście bestsellerów, była sztuka odpowiadania na podobne pytania bez konieczności

wdawania się w niewygodne szczegóły. Nie zajęło mu wiele czasu odkrycie, że pisarze, podobnie jak wypadki samochodowe, skandale oraz niezidentyfikowane obiekty latające, budzą nieokiełznaną ciekawość ludzkości. Prowokowało to setki pytań, na które nie miał wcale ochoty odpowiadać. Skąd czerpie pan swoje pomysły? Jak udało się panu znaleźć pierwszego wydawcę? I czy naprawdę da się w ten sposób zarobić na życie? I jego ulubione: Zaraz, zaraz, jaką to pana książkę czytałam? To ostatnie rodziło zawsze w jego głowie pytanie, czy jego wielbicielka nie pomyliła go przypadkiem z jakimś jasnowidzem. Skąd, do diabła, mógł wiedzieć, jakie książki przeczytała kobieta, która przyszła na jego autorskie spotkanie?

Z nudów Neill zaczął więc kłamać. Nic nie ucinąło rozmowy szybciej niż oświadczenie, że jest wieloletnim pracownikiem zakładu pogrzebowego. Związłe wyznanie, iż zajmuje się gotowaniem w pewnym małym barze również ograniczało ilość pytań dotyczących pracy. Zawsze istniało jednak niebezpieczeństwo, że któryś z jego rozmówców spotka go znowu przy jakiejś okazji, a wyjście na jaw prawdy prowadzić mogło w takich wypadkach do niezbyt miłych konsekwencji. Neill rozwinął więc z czasem umiejętność mówienia prawdy - choćby tylko częściowo - nadawał jej jednak przy tym na tyle nieciekawą postać, by stwarzać jak najmniejsze podniety do zagłębiania się w jego życie prywatne.

Kiedy więc tego ranka pożegnał się w końcu z Dorothy, staruszka wiedziała już co prawda, że Neill zajmuje się pisaniem, pozostawała jednak w niezbyt jasnym przeświadczeniu, że pisuje teksty do technicznej prasy branżowej albo zajmuje się recenzowaniem jakichś nudnych książek. Powiedział jej, że wybrał się właśnie na wakacje, co było zgodne z prawdą, i że nie miał ustalonego planu podróży, co również nie było kłamstwem. Sam Neill zdołał się natomiast sporo dowiedzieć o swojej gospodyni i zapoznał się za jej pośrednictwem z krótką historią miasteczka. Na koniec odmówił niestety zainstalowania w swoim pokoju odtworzacza wideo, dzięki któremu mógłby skorzystać z jej bogatej kolekcji kaset, co Dorothy przyjęła z widocznym rozczarowaniem.

W momencie, gdy ich rozmowa została przerwana dźwiękiem telefonu z recepcji, Neill uświadomił sobie, że ta pogawędka przed domem trwała blisko godzinę. Mówiła głównie Dorothy, a on słuchał, ale robił to z przyjemnością. Jak większość osób zajmujących się pisaniem cechowała go nienasycona ciekawość ludzi i miejsc, a Dorothy okazała się arcyciekawym komentatorem wszystkiego, co działo się w Loving. W chwili, gdy się rozstawali, czuł, że przeszedł przyspieszony kurs historii politycznej miasteczka i z uśmiechem stwierdził, że sympatie, antypatie i intrygi polityczne były tu równie ożywione, co podobne sprawy w świecie wielkiej polityki.

Rozejrzał się wokoło i włożył ręce do kieszeni. Motel Pod Niebieską Dalią stał lekko oddalony od Signal Avenue, która była główną ulicą Loving. Neonowy napis zwieńczony płatkami dalii wyglądał w dziennym świetle trochę niezdarnie. Przed motelem na dwóch miejscach parkingowych stały samochody i Neill zastanowił się, czy rzeczywiście jest tu kiedykolwiek komplet gości. Może na Boże Narodzenie, pomyślał, kiedy ludzie przyjeżdżają do rodzin na święta.

Nie mając nic lepszego do roboty, pomaszerował w stronę głównej części miasta. Słowo „centrum” byłoby pewnie niezdrową przesadą, pomyślał, ale dosyć szybko natrafił na pierwsze sklepiki, malutki salon fryzjerski i aptekę. Interesy ulokowane przy głównej drodze miały na ogół dość proste wystawy zawierające duży napis z nazwą i godzinami otwarcia oraz kilka rekwizytów mniej lub bardziej związanych z działalnością firmy. Uśmiechnął się po drodze do kilku matek pchających wózki z dziećmi, minął posiwiatego pana w wyblakłej bluzie, kilka kobiet po trzydziestce, starających się zachowywać jak nastolatki, oraz matronę o obfitych kształtach w wesołej kwiecistej sukni wyglądającej na awangardową kolekcję z lat czterdziestych.

Zupełnie jakby czas zatrzymał się w miejscu, pomyślał, stając niezdecydowanie pod drzewem, by znaleźć skrawek cienia na zalanym słońcem chodniku. Wyjął ręce z kieszeni i zaczął zastanawiać się, co robić

dalej. Uśmiechnięte, przyjacielskie twarze, sympatyczne sklepiki - wszystko wskazywało na to, że udało mu się, niczym Alicji w krainie czarów, przejść na drugą stronę lustra i znaleźć się nagle w czarodziejskim świecie lat pięćdziesiątych. Albo - nawiązując do rozmów ze swoją gospodynią - znaleźć się na projekcji jakiegoś starego filmu, którego czarno-białe kadry zostały nagle ożywione kolorem.

Odwrócił się i zdał sobie sprawę, że stoi przed sklepem warzywnym. Poczul się nagle głodny. „Bill's Grocery” - duży napis nad wystawą, skomponowany z prostych, czerwonych liter - jakby umyślnie rzucał wyzwanie wszelkim dziwactwom i skomplikowanym nazwom, do których Neill przyzwyczał się w wielkim mieście. Po dwóch latach życia w Seattle, gdzie każdy sklep nazywał się „emporium” lub co najmniej „market”, poczuł nagłą sympatię do prostoty zwykłego domku, w którym mieści się bezpretensjonalny sklepik.

Wychodząc z motelu, zaplanował obiad w miasteczku, ale teraz przypomniał sobie nagle o swojej kuchence i po chwili wahania ruszył w kierunku sklepiku. Upłynęło trochę czasu, odkąd po raz ostatni gotował coś dla siebie, a największym wyczynem kulinarnym ostatnich sześciu miesięcy było odgrzewanie potraw, które od czasu do czasu przynosił od Chińczyka. Tak naprawdę lubił jednak gotować - spędził nawet kiedyś kilka miesięcy, bawiąc się w kucharza w małej restauracyjce w Nashville - i pomyślał teraz, że chętnie

nie spędzi trzy kwadranse, pichcąc coś na swoim pięterku. Przekonany, że czeka go całkiem miłe popołudnie, pchnął zdecydowanie drzwi sklepu.

Anna ważyła w dłoniach ciężki melon i starała się przypomnieć sobie sposób, w jaki można poznać, czy jest dojrzały. Chyba powinien mieć żółtą plamkę w miejscu, gdzie leżał na ziemi, a kiedy uderzy się go pięścią, powinien wydać głuchy odgłos. A może tak robi się z arbuzem? Pamiętała też, że powinien być cięższy niż wygląda. Ale czy na pewno chodziło o melon?

- Niech pani powącha w miejscu, gdzie odcięta została łodyga - usłyszała nagle za sobą męski głos. Przestraszona, odwróciła się na pięcie i spostrzegła spoglądające na siebie uśmiechnięte, niebieskie oczy. Nie mogła wyjść ze zdumienia. Naprzeciw niej stał mężczyzna, którego spotkała wczoraj w warsztacie, i który, jak sądziła, przemierza już teraz od wielu godzin autostradę w którymś z sąsiednich stanów.

- Co pan tu robi? - wykrzyknęła pierwszą myśl, jaka przyszła jej do głowy.

- Kupuję warzywa - odpowiedział, jakby zakupy w Loving były jego naturalnym zajęciem w każde czwartkowe popołudnie.

- Nie... tak... to znaczy co pan robi t u t a j , w Loving - zaczęła się jąkać, czując, że rumieńce pokrywają jej policzki. - Ja... ja myślałam, że jest pan już daleko stąd.

- W sklepie z zupami w puszkach?

- Jeszcze dalej - uśmiechnęła się w końcu i machnęła ręką, wskazując miejsce gdzieś daleko, gdzie powinien przez ten czas dojechać nieskrępowany żadnymi obowiązkami wędrowiec. - Nie wiedziałam, że zatrzymał się pan w Loving.

- Owszem, nie miałem takich zamiarów, ale zaplanowano to za mnie. Okazało się, że naprawa motocykla zajmie kilka dni. Pani przyjaciel, David, będzie musiał sprowadzić do Loving parę części.

- To przykre. Mam nadzieję, że nie pokrzyżowało to pana planów?

- Tak to jest, kiedy rusza się w podróż na starym motocyklu - odpowiedział filozoficznie. - Całe szczęście, że nie podróżuję pociągiem, który musi poruszać się według rozkładu jazdy, i mogę zatrzymać się tam, gdzie mam ochotę.

Nieprawdopodobne, a jednak możliwe, pomyślał, wpatrując się w jej wielkie szare oczy. Kiedy wczoraj uświadomił sobie, że utknął w Loving na dłużej niż jedno upalne popołudnie, upłynęła dłuższa chwila, nim skojarzył tę przymusową beczynność z możliwością ponownego ujrzenia napotkanej w warsztacie dziewczyny. No cóż, to spotkanie nie było niemożliwe, jednak dopiero w momencie, kiedy zobaczył, jak stoi wpatrzona z zatroskaną miną w wielki melon, poczuł, że szczęście uśmiecha się do niego. Postanowił mu trochę dopomóc.

- Przerwa na lunch? - rzucił niedbale, spoglądając przelotnie na jej zgrabną czarną spódnicę, kończącą się kilka centymetrów powyżej kolana, i obcisłą jedwabną bluzeczkę barwy lila, której kolor zdawał się odbijać w jej wielkich, szarych oczach.

- Tak. Pracuję w banku tu niedaleko.

Anna zdała sobie sprawę, że wciąż ściska w dłoniach melon, i odłożyła go z wahaniem na półkę, starając się wykorzystać ten moment do uspokojenia rozbieganych myśli. Kiedy odwróciła się z powrotem, czuła, że jej uśmiech zawiera stosowny dla spotkania z nieznanym, spokojny, lecz zarazem przyjacielski dystans.

- Chciałam kupić trochę warzyw, żeby zabrać je po pracy do domu.

- A może zjadłaby pani ze mną lunch? - spytał niespodziewanie.

- Lunch...? - Anna na moment znów straciła panowanie nad sobą. - Ja... ja nie mogę.

- Czemu? Każdy czasami musi coś zjeść. Ja też. Dlaczego więc nie moglibyśmy zrobić tego razem?

„Dlaczego nie razem?” Sto powodów przebiegło w panice przez jej głowę, lecz Neill usłyszał w końcu:

- Bo nie wiem, jak się pan nazywa.

- Neill Devlin - odparował w następnej sekundzie.

- Anna Moore - odpowiedziała prawie automatycznie, nieświadoma w pierwszej chwili zabawnego efektu, jaki wywołała ta prezentacja. Gdy w następnej

chwili podała mu rękę, poczuła, że wraz z jego dotykiem przebiegła przez jej ciało elektryczna iskra. Jej oczy zwróciły się ku jego twarzy, trochę przestraszone, lecz zarazem zaciekawione, czy i on poczuł to samo. Czując falę ciepła napływającą znów do policzków, cofnęła powoli dłoń i z pewnym wysiłkiem powstrzymała się, by nie roztrzeć niemal zdrętwiałych palców.

- Skoro już dokonaliśmy oficjalnej prezentacji, to może zgodzisz się jednak zjeść ze mną lunch? - ton Neilla był ciepły i lekko żartobliwy, stawiał wszelkie wątpliwości na poziomie nieuzasadnionego ponuractwa.

Gdy zdawała się jeszcze wahać, postanowił rozbroić ją kolejnym uśmiechem.

- Miej litość! Jestem przybyszem z obcego kraju i bardzo cierpię, kiedy samotnie pochylam się nad miską zupy!

Anna, wciąż jeszcze niezdecydowana, zagryzła lekko wargi. To wszystko było szalone. Nie robiła nigdy takich rzeczy. Wyprawa na lunch z obcym mężczyzną? Nawet jeżeli miał takie niebieskie, śmiejące się oczy i piękne, zmysłowe usta?

- Przecież pomogłem ci wybrać melon - przypominał jej. - Wspólny lunch wydaje się jedynym sposobem, w jaki mogłabyś się zrewanżować.

W kąci jej ust zabłąkał się lekki uśmiech.

- Melon jest jedną z tych rzeczy, które najbardziej lubię.

- A więc wygląda to w dodatku na dług honoro-

wy - dodał z niezwykłą powagą. - Nie masz innego wyjścia.

- Więc... moglibyśmy zjeść lunch w knajpce o parę kroków stąd - powiedziała w końcu, czując jednocześnie w gardle lekki skurcz.

Oczywiście, to wszystko było szalone. Absolutnie niezgodne z jej charakterem. Ale ostatnio aż nazbyt często myślała o tym, że ma już dosyć swojego charakteru i tego, że każe się jej robić same nudne rzeczy.

Wystrój Luanne's Cafe przypominał plan filmowy przeniesiony do Loving wprost z realizacji „American Graffiti”. Trochę podniszczone linoleum w czarno-białą szachownicę, czerwone winylowe kanapy, długi bar z pocętkowaną ladą i stojące przy nim wysokie stołki. Ze ścian, obwieszonych pod sam sufit fotosami zespołów sportowych, spoglądały na gości twarze graczy miejscowej drużyny futbolowej. Sądząc po strojach, niektóre zdjęcia pochodziły zapewne jeszcze z lat czterdziestych.

Ruch był duży i dopiero po chwili Neillowi udało się wypatrzyć wśród zajętych stolików wolne miejsce. Usiadł pod oknem, skąd miał widok na drzwi, i zaczął się zastanawiać, czy Anna rzeczywiście się zjawi. Intuicja mówiła mu, że przyjdzie, ale nie postawiłby na to całego honorarium, które miał dostać za następną książkę.

Anna, urocze, choć trochę dziwne maleństwo, po-

myślał, sięgając po krakersa z paczki leżącej w koszyku na środku stołu. Nie tyle nieśmiała, co... płochliwa. Jak kotek, który chce, żeby go pogłaskać, ale boi się podejść do wyciągniętej ręki. Spozrzegł od razu, jak jej oczy rozjaśniły się, kiedy zobaczyła go po raz drugi, a intuicja mówiła mu - bez przesadnej próżności - że pomyślała o nim raz czy dwa od tamtej chwili. Gdy zaproponował jej lunch, wiedział, że ma na to ochotę, chociaż wahała się tak długo.

Neill ufał intuicji. Przyzwyczyził się polegać na niej podczas pisania. Częściej niż rzadziej okazywała się dobrym drogowskazem, gdy zasiadał do nowego projektu. Intuicja mówiła mu, że w Annie jest coś więcej, niż widać na pierwszy rzut oka. To również intuicja dawała mu teraz niemal pewność, że niedługo ujrzy jej śliczną twarz w drzwiach, w które od dłuższej chwili wwiercał się oczami.

Gdy wreszcie się pojawiła, zatrzymała się z wahaniem na progu i przygryzając lekko wargi, przebiegła wzrokiem salę. Spozrzegła go wreszcie, jej usta wygięły się w nieśmiałym uśmiechu i Neill nie mógł się powstrzymać, by nie wyobrazić sobie, jak przyciąga ją do siebie i całuje te usta w długim namiętym pocałunku.

Absolutnie za długo jesteś już sam, Devlin, powtórzył ulubioną ostatnio myśl i wstał z krzesła, żeby zaprosić Annę do stolika.

Nieco staroświecka kurtuazja, z jaką ją przywitał,,

sprawiła Annie wyraźną przyjemność, choć jednocześnie pomyślała, że wolałaby, żeby nie zwracali tak bardzo na siebie uwagi. Kiedy zgodziła się przyjąć zaproszenie, potraktowała ten wspólny lunch niemal jak spotkanie sam na sam, nie myśląc zupełnie o tym, że przecież znajdują się w miejscu pełnym ludzi, wśród których będą na pewno jacyś znajomi. Poza tym prawdopodobieństwo niezwrócenia na siebie uwagi przez kogoś takiego jak Neill było równe niezauważeniu wchodzącej do restauracji żyrafy, dodała w myślach.

- Więc to jest właśnie Luanne? - spytał, czekając aż usiądzie i sadowiąc się na krześle naprzeciwko.

- Co takiego? - Spojrzała zdziwiona, jakby nieoczekiwane pytanie przestraszyło ją trochę. W ciągu dziesięciu minut, jakie upłynęły od ich spotkania, zastanawiała się, o czym będzie z nim rozmawiać i starała się naprędce znaleźć jakieś interesujące tematy i zabawne riposty. Żaden ze scenariuszy, które sobie przygotowała, nie zaczynał się w ten sposób.

- Luanne... - powtórzył Neill, stukając lekko palcem w wydrukowaną czarną czcionką nazwę umieszczoną na menu. - Czy to nazwisko właściciela, czy ktoś po prostu wymyślił coś takiego, żeby dodać miejscu egzotycznej tajemniczości?

- Egzotycznej tajemniczości? - Anna uniosła lekko brwi, lecz widząc dowcip skrzący się w jego oczach, zapomniała zupełnie o nerwowości. - Taak... pewnie wyobraziłeś już sobie egzotyczną plażę pełną tańczą-

cych, zmysłowych mulatek? Muszę cię rozczarować. Luanne była kobietą, która zaczęła gotować w tej knajpce jeszcze w latach czterdziestych. Z tego, co wiem o niej z opowiadań, była bardzo wysoką Murzynką, chudą jak tyka, żuła bez przerwy tytoń i miała aż sześciu mężów.

- Na raz? - Uniesione wysoko brwi Neilla pokazały krańcowe zdumienie tym niezwykłym wyczynem i Anna z niezwykłym wysiłkiem powstrzymała się, by nie parsknąć śmiechem.

- My w Indianie nie robimy takich rzeczy - odpowiedziała karcąco, starając się dostosować swoją mienę do niezwykłej powagi tonu Neilla. - Raz się rozwiodła, a owdowiała pięć razy. Chodziły pogłoski, że ponoć nie wszyscy jej mężowie zeszli z tego świata naturalną śmiercią, ale niczego nie udowodniono. Biorąc jednak pod uwagę, że zarówno szeryf jak i burmistrz byli wielkimi wielbicielami jej pieczonego kurczaka w panierce, można przypuszczać, że dochodzenie nie zostało przeprowadzone z należąca pieczołowitością - zakończyła.

- Wiedziałem, że za taką nazwą musi się kryć jakaś niezwykła historia.

Neill otworzył w końcu swoje menu, po czym przechylił je nieco, tak by mógł jednocześnie spoglądać na Annę.

- I co się w końcu z nią stało?

- Z Luanne? Sądzę, że nic nadzwyczajnego. Kupiła

gdzieś dom pod koniec lat pięćdziesiątych, sprzedała go dwadzieścia lat później, po czym wyjechała na emeryturę do Arizony, gdzie, jak można przypuszczać, zmagą się teraz z dziesiątym mężem.

- Mam nadzieję. Byłbym rozczarowany, gdyby kobieta z takim temperamentem dożywała swoich lat, grając w bingo i oglądając mydlane opery. To bardzo ważne mieć jakieś hobby.

- Tyle że to hobby okazuje się trochę szkodliwe dla jej mężów.

- Oczywiście, ale pyszny kurczak w panierce wart jest czasami ryzyka - dodał i poczuł prawdziwą przyjemność, słysząc w odpowiedzi jej szczerzy śmiech.

Wchodząc do knajpki, wyglądała na zdenerwowaną, a nawet lekko przestraszoną, unikała spoglądania mu w oczy. Gdy udało jej się jednak pokonać nieśmiałość, zaczęła zachowywać się całkiem naturalnie i ten nowy sposób bycia zrobił na Neillu duże wrażenie. Chciał oczywiście wierzyć, że spowodował to jego nieodparty męski urok, lecz na poważnie zastanawiał się, czy Anna nie stara się czegoś udowodnić - nie wiedział, czy jemu, czy sobie samej. Jeżeli tak, to co? Tak czy inaczej, była intrygująca. Taka odpowiedź wystarczała mu na razie w zupełności.

Odwrócił głowę, spostrzegłszy, że przy ich stoliku zatrzymała się kelnerka w różowym uniformie. Była dwudziestokilkulatką o szczupłej budowie i miedzianoblond włosach. Na szyi miała diamentowy wi-

siorek, a jej palec zdobiła złota obrączka - sądząc jednak po jej dość prowokacyjnym spojrzeniu, jakie rzuciła na niego spod pokrytych grubym makijażem powiek, nie traktowała chyba małżeńskich ograniczeń bardzo dosłownie. Ich oczy spotkały się na chwilę i dziewczyna uraczyła Neilla pełnym zachęty uśmiechem.

- Wiesz już, co chcielibyście zjeść, złotko?

Słyszałem już lepsze teksty na powitanie, pomyślał. We własnym wykonaniu również. Gdyby siedział na tym samym stołku piętnaście lat temu, poczułby się zapewne mile połączony tym spojrzeniem, a może nawet odczułby lekką pokusę. Teraz jednak zachowanie dziewczyny wydało mu się co najwyżej niesmaczną prowokacją, którą, zważywszy że naprzeciw niego siedziała kobieta, należało po prostu nazwać brakiem taktu.

- Myślę, że przyda nam się jeszcze chwila - odpowiedział dość chłodno i zagłębił się w lekturze jadłospisu.

Kątem oka zauważył, jak kelnerka z ostentacyjną obojętnością przeniósła spojrzenie na jego towarzyszkę. Po chwili jej spojrzenie wróciło na niego, lecz w momencie, gdy już wykonywała ruch głowy, coś nagle przyciągnęło jej uwagę i szybkim ruchem odwróciła się z powrotem do Anny.

- Anna Moore?! - jej sztucznie modulowany głos przemienił się nagle w całkiem naturalny okrzyk zdziwienia.

- Cześć, DeDe - powiedziała bez entuzjazmu Anna i tylko znaczny wysiłek woli pozwolił jej powstrzymać gwałtownie napływające na twarz rumieńce.

Widząc, że Neill oderwał się od karty i spojrzął na nie z zaciekawieniem, zmusiła się do słabego uśmiechu.

- Jak się masz, DeDe? - spytała.

- Dobrze - odpowiedziała dziewczyna, nie przestając wpatrywać się w nich na przemian z nieukrywanym zdziwieniem. - Jesteście razem? - spytała, jakby potrzebowała potwierdzenia, że to, co widzi, nie jest złudzeniem.

- Tak.

Widząc, że nie wyczerpuje to sprawy, Anna postanowiła dokonać oficjalnej prezentacji.

- To jest Neill Devlin. Neill, poznaj DeDe Carmichael. Chodziłyśmy razem do szkoły.

Neill przywitał się, uśmiechając się grzecznie, choć pomyślał, że mógłby to sobie darować. Przed chwilą panienska patrzyła na niego w sposób, w jaki kot spoziera na apetycznego, tłustego kanarka. Teraz jej mina zmieniła się w dość bezmyślne spojrzenie, jakim raczy się obojętnego przechodnia. To wszystko zdażyło go wystarczająco zniechęcić, ale był wciąż ciekaw, co spowodowało tak krańcowe zdumienie DeDe. Czy to, że widziała ich razem? Jego i Annę?

- Chodziłyśmy razem do szkoły - powtórzyła jak echo DeDe, wciąż spoglądając ze zdumieniem na parę przy stoliku.

Przez chwilę stała przy nich w milczeniu, nie ruszając się z miejsca, jakby jej różowe tenisówki przy-murowane zostały do podłogi. Neill chciał już przy-pomnieć, że potrzebują jeszcze czasu, by złożyć za-mówienie, kiedy ciszę przerwał barowy dzwonek.

- DeDe! Ogłuchłaś? - dobiegł od baru zniecierpli-wiony głos. - Danie czeka!

DeDe drgnęła i zrobiła niezadowoloną minę.

- Idę! - odrzyknęła, odwracając się na pięcie. - Zaraz wracam po wasze zamówienie - rzuciła jeszcze przez ramię, a Annie wydało się, że jej słowa za-brzmiały jak pogróżka.

Neill spojrzał na nią pytająco i domyśliła się, że zastanawia się, skąd wzięło się zdumienie w oczach DeDe, gdy zobaczyła ich razem. Przez chwilę zasta-nawiała się, czy powiedzieć mu, że w Loving nigdy nie widywano jej na randkach, ale taka odpowiedź nie zawierała przecież całej prawdy i nie była dla niej zbyt pochlebna. Po chwili milczenia uśmiechnęła się więc tylko do niego i otworzyła swoją kartę.

- Mają tu bardzo dobre hamburgery - powiedziała.

Wciąż czekała na pytanie, ale Neill uniósł tylko za-bawnie brwi i wykrzyknął ze zdumieniem:

- Jak to? Nie ma kurczaka w panierce?!

Dałby wiele, żeby dowiedzieć się, co stało za dziwną reakcją DeDe, ale nie mógł nie zauważyć niemej prośby w spojrzeniu Anny. Stłumił więc ciekawość - przekleń-stwo ludzi parających się piórem - i udał, że nie za-

uważył niczego dziwnego w żywołowym zdumieniu jej koleżanki, zbierając jednocześnie siły, żeby przywrócić na twarz Anny ten uroczy, nieśmiały uśmiech.

- Powiedz mi w końcu, co taka śliczna dziewczyna jak ty robi w Loving?

Jej źrenice rozszerzyły się lekko, w oczach pojawił się błysk wdzięczności. Nie spotkał chyba jeszcze nikogo o twarzy, na której w sposób tak bezpośredni malowałyby się wszystkie emocje.

- Tu się urodziłam i wychowałam - odpowiedziała, składając jednocześnie menu i poświęcając dłuższą chwilę na staranne ułożenie go na stole. - A ty?

- Nie urodziłem się tutaj, a wychowałem się gdzie indziej.

Anna odpowiedziała na żart uśmiechem. Mimo że w żołądku wciąż ścisnął ją nerwowy skurcz, postanowiła nie zamęczać się przez następną godzinę rozmyślaniami o tym, że DeDe jest największą w mieście plotkarą i że nie dalej niż następnego wieczoru wszyscy - zarówno ci, którzy ją znają, jak i ci, którzy nie mają o jej istnieniu zielonego pojęcia - dowiedzą się, że Anna Moore spotyka się z tajemniczym, nieznanym mężczyzną.

- Popatrz, popatrz, a już myślałam, że jesteśmy sąsiadami - odpowiedziała żartem na żart. - A tak poważnie, jak się tu znalazłeś?

- Zawsze twierdziłem, że najlepiej jest poznawać miejscową kulturę poprzez ludzi, więc...

- Świetnie ci idzie - nie pozwoliła mu dokończyć.
- Więc skąd jesteś?
- Ostatnio? Ostatnio jestem z Seattle. Mieszkałem tam przez dwa lata.
- Z Seattle - powtórzyła. - Czy wybrzeże Pacyfi-ku jest tak piękne, jak wygląda na pocztówkach?
- Na pewno jest zielone - odpowiedział bez szczegól-ego entuzjazmu. - Choć nigdy nie mogłem zgad-nać, w jaki sposób rośnie tam cokolwiek, skoro to miejsce prawie w ogóle pozbawione jest światła. Gdy-by kiedykolwiek w Seattle zrobiło się gorąco, życie przypominałoby tam saunę. Ale nie jest gorąco - jest chłodno, wilgotno i... zielono. Nic specjalnego.
- Więc dlaczego mieszkałeś tam przez dwa lata?
- Praca - odpowiedział lakonicznie, rozglądając się jednocześnie za DeDe i mając nadzieję, że powróci w porę, nim Anna zdąży go spytać, czym naprawdę się zajmuje. Ale DeDe stała właśnie za barem, wykló-cając się z kucharzem. Z ust Anny natomiast popły-nęło:
 - A czym właściwie się zajmujesz?
 - Jestem pisarzem - odpowiedział, wymawiając niezbyt wyraźnie ostatnie słowo.
 - Naprawdę? - Anna spojrzała na niego zdziwiona.
- Jakoś inaczej... wyobrażałam sobie pisarzy.
 - A jak powinni wyglądać?
 - Bardziej... książkowo - zawahała się. - Może jakieś okulary? Lekki garb? Więcej roztargnienia?

- Sądzę, że pomyliłaś literata z roztargnionym profesorem - zaśmiał się.

- Być może.

Trudno wyobrazić sobie kogoś bardziej odbiegającego od typowych wyobrażeń na temat pisarza, zagubionego w świecie książek twórcy, pomyślała, pozwalając spojrzeniu szybko przemknąć po jego silnych, opalonych ramionach. Przez chwilę myślała o tym, jak może wyglądać bez koszuli. Czy ma gładką pierś, czy porośniętą ciemnymi, kręconymi włosami? Widziała, jak co pewien czas jego mięśnie napinają się pod bawełnianym podkoszulkiem, i zastanowiła się, co poczułaby, gdyby przesunęła po nich dłoń. Widząc, że spostrzegł jej spojrzenie, poczuła znów strumień ciepła płynący do twarzy i miała ochotę przekląć swoją jasną cerę. Żeby odwrócić uwagę, zadała szybko pytanie.

- A o czym pieszsz?

Neill zwlekał chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią. Gdyby powiedział jej, o czym są jego książki, istniało niebezpieczeństwo, że skojarzy inicjały N.C. Devlin, które pojawiały się na okładkach bestsellerów, z Neillem Devlinem, który siedzi teraz po przeciwnej stronie stołu. A to mogłoby zmienić charakter ich rozmowy. Co prawda Anna nie wyglądała na kogoś, kto z wypiekami na twarzy rzuca się na autora, żeby poprosić o autograf, ale sława zawsze zmienia postać rzeczy. I chociaż nie wiedział, dlaczego w ogóle się nad tym zastanawia, nie chciał, żeby zainteresowanie, które

już zakiełkowało w jej oczach, zmieniło się w niezdrową ciekawość.

- Piszę książki dokumentalne - powiedział z lekким skrępowaniem. - Pisałem też artykuły na różne tematy, na przykład jak sadzić róże albo „dziesięć porad dla tych, którzy chcą kupić dobrą drabinę”.

Nie odbiegało to zbyt od prawdy. Spędził parę lat, pisząc różne kawałki dla prasy i pracując przy najdziwniejszych zajęciach, żeby zebrać materiał do pierwszej książki, „Obcy z sąsiedztwa”, która okazała się bestsellerem. To nieprawda, że skłamałem, usprawiedliwiał się przed sobą, lecz na szczęście dalsze smętne rozważania na ten temat przerwało przybycie DeDe.

- Więc czym mogę was uraczyć? - spytała, trzymając nad bloczkiem zamówień ołówki i spoglądając na nich z zaciekawieniem nie mniejszym niż za pierwszym razem.

Anna poprosiła o dużą sałatkę i z zadumą wysłuchała, jak Neill zamówił hamburgera, frytki i piwo. Zawsze myślała z żalem, jak niesprawiedliwy jest świat: mężczyźni mogą się do woli napychać milionem kalorii i nie pozostawia to na ich twarzy dodatkowego grama tłuszczu, podczas gdy jej wystarczy zjeść mizerne ciastko, żeby przybrać na wadze.

Neill nie jest szczególnie skłonny opowiadać o swojej pracy, pomyślała, upijając łyk wody ze szklanki. Czy mogła się temu dziwić? Nie znała nikogo

parającego się literaturą, ale wiedziała, że większość z tych ludzi z trudem wiąże koniec z końcem. Z jego zachowania wynikało, że pewnie też nie należy do szczęściarzy, którzy odcinają kupony od zdobytej sławy. Modne džinsy miały oczywiście swój styl, ale wiedziała przecież, że wybrał się w podróż na starym motocyklu - na tyle starym, że nie wiadomo było, jak długo zajmie Davidowi znalezienie do niego części. Matka nazwałaby go pewnie nieudacznikiem, ale Anna zawsze podziwiała ludzi, którzy mieli odwagę próbować zrealizować własne marzenia.

- Słyszałam, że na rynku wydawniczym jest duża konkurencja - zagadnęła, gdy DeDe, ociągając się, odeszła wreszcie od ich stolika.

- Tak, można tak powiedzieć - odpowiedział enigmatycznie.

- Ale warto chyba walczyć o to, co się naprawdę lubi robić?

Jej ton zachęcał go, by powiedział coś więcej, ale Neill poczuł nagle satysfakcję małego, złośliwego dziecka. Anna najwyraźniej uznała, że ma przed sobą jednego z walczących desperacko o przetrwanie literatów. Mało brakowało, by powiedział jej całą prawdę, ale w porę ugryzł się w język. Jaka to w końcu różnica? Tak czy inaczej zniknie stąd najdalej za kilka dni. Gdyby powiedział jej teraz, mogłaby poczuć się zażenowana tym, jak bardzo się myliła.

- Gdzie mieszkałeś, zanim przeniosłeś się do

Seattle? - zadała kolejne pytanie, uważając zmianę tematu za najlepszy pomysł na pozbycie się skrępowania. Powściągliwość, jaką zaczął wykazywać, gdy podjęli temat pracy, spowodowała zniknięcie jego dominacji i poczuła się nagle całkiem swobodnie. Usiadłszy wygodniej, oparła przed sobą ręce i uśmiechnęła się do niego najcieplej, jak potrafiła.

Anna nie potrafiła już nawet przypomnieć sobie, ile razy jadła obiady i kolacje w Luanne's Cafe. Pamiętała jednak ten pierwszy raz, kiedy przyszła tu z ojcem. Była wtedy małą dziewczynką, a on lubił jeszcze dużo się śmiać i nie nabrał tej rezerwy, która z czasem stała się jego zwyczajem. Wtedy i za każdym następnym razem każdy ich posiłek przerywany był przez ludzi, którzy podchodzili do stolika, żeby ukłonić się znanemu w całym miasteczku doktorowi. Podczas rzadkich okazji, gdy dołączała do nich matka, posiłkowi towarzyszyły zwykle wspomnienia z restauracji w Atlancie, które Olivia odwiedzała w młodości, i uwagi o tym, jak niedoścignione było tam jedzenie. Matce dużo mniej od innych smakowały słynne kurczaki z Luanne, a z czasem Anna zauważyła, że ilość znajomych podchodzących do stolika, gdy im towarzyszyła, była znacznie mniejsza.

Kiedy była już trochę starsza, Jackowi zdarzało się czasem zniżyć do jej poziomu i zabrać ją do Luanne na hamburgera albo sałatkę. Siadali zwykle z bratem

przy barze, co Jack wykorzystywał do mniej lub bardziej poważnych flirtów z dziewczętami, które podchodziły, by zamówić drinka. Jack nigdy, w przeciwieństwie do matki, nie karcił jej za to, że wierci się na stołku, i pozwalał jej zamawiać, co tylko chciała, co kończyło się tym, że od nadmiaru lodów zaczynał boleć ją brzuch.

Również tych kilka randek, które miała w szkole, zaczynało się lub kończyło w Luanne. Z braku klubów lub McDonald'sa Luanne było w Loving ulubionym miejscem spotkań nastolatków. Gdy Frank Miller zaprosił ją na pierwsze spotkanie ponad rok temu, odbyło się ono również tutaj. Od tamtego czasu ich cotygodniowe randki z precyzją metronomu oscylowały między Luanne's Cafe i Barney's Bar and Grill.

Wizytom w Luanne, które sobie przypominała, nie towarzyszyły jednak szczególnie ożywione konwersacje. Jej ojciec nigdy nie był bardzo rozmownym człowiekiem, a brat bardziej zwykle interesował się flirtowaniem z dziewczętami. Frank... no cóż, Frank nie miał jej po prostu zbyt wiele do powiedzenia.

Za to w ciągu tych trzech kwadransów, które spędziła tu z Neilem, wymienili więcej słów, niż w czasie sześciu miesięcy wspólnych obiadów z Frankiem razem wziętych. Rozśmieszył ją kilkoma opowieściami o tym, co przydarzyło się w czasie jego motocyklowej wędrowki - o motelu w Wyoming, gdzie sąsiad obudził go w środku nocy, przebijając się w czasie bójki pięścią przez tekturową ścianę, i o Nebrasce, gdzie rury

były już tak zardzewiałe, że kiedy zaczął się kapać, z prysznicza zaczęła sączyć się na niego okropna, krwawa woda i poczuł się jak w horrorze Stanleya Kubricka.

Anna, znająca motelik Dorothy Gale, uspokoiła go ze śmiechem:

- Tutaj przynajmniej nie musisz marwić się o takie rzeczy.

- O rozróby czy o stare rury? - spytał Neill, polewając ketchupem frytki.

- Ani o jedno, ani o drugie.

Nabrała widelcem trochę sałatki, myśląc jednocześnie zazdrośnie o tym, jak smakowicie wyglądają jego hamburger i frytki.

- Jeśli chodzi o czystość i porządek, Dorothy jest pedantką. Jest wrogiem rozrób, kurzu i pajęczyn.

- Kiedy wprowadzałem się do niej, poczułem się od razu jak na planie filmu „Jeopardy”. Przepraszam, ale po kilku rozmowach z Dorothy nie umiem już myśleć inaczej, jak tylko cytatami z filmów. Skąd wzięła się ta jej pasja?

- Och... mógłbyś wpaść na to, przyglądając się jej butom.

- Butom? - Neill uniósł z zaciekawieniem brwi. - Czerwonym tenisówkom... ale z gwiazdkami czy bez?

- Wszystkie buty, które ma, są czerwone. Poza tym zastanów się nad jej imieniem: Dorothy Gale.

Neill spojrział na nią w sposób wskazujący, że nadal nic nie rozumie, i Anna pokręciła z dezaprobatą głową.

- Wygląda na to, że nie znasz Czarodzieja z Oz.

- Czarodzieja... - W oczach Neilla błysnęła iskierka zrozumienia, lecz spojrzął na Annę niedowierzająco.

- Nie... chyba żartujesz?

- Nie żartuję. Premiera tego filmu odbyła się dokładnie w dniu jej ósmych urodzin. Miały takie samo imię i okazało się, że również Dorothy miała w rodzinie ciotkę Em. Takie zbiegi okoliczności mają niezwykłą siłę działania. Powiedziano mi, że właśnie od tamtego czasu zaczęła nosić czerwone buciki i nie zmieniła tego zwyczaju do dzisiaj.

- Tylko nie mów mi, że jej piesek nazywa się Toto - poprosił błagalnie.

- Owszem. Z tą różnicą, że to kot - uśmiechnęła się Anna. - Dorothy nie lubi psów, przez wszystkie te lata miała po kolei wiele kotów i wszystkim dawała na imię Toto.

- Wspaniała historia.

Zobaczył, jak jej oczy omiatają jego talerz i nadział na widelec dwie frytki, żeby podsunąć jej do spróbowania. Anna pochyliła się bez zastanowienia i w tej samej chwili zdała sobie sprawę z poufałości tego gestu. Lecz było już za późno. Idiotka, pomyślała. Zachowujesz się, jakbyś była jego narzeczoną. Otworzyła jednak usta i zdjęła delikatnie frytki z widelca, starając się to zrobić z jak największym wdziękiem.

Mimo że tego nie chciała, odchylając do tyłu głowę, spojrzała mu w oczy. To, co w nich zobaczyła, nie po-

zostawiało wątpliwości, że Neill nie myśli bynajmniej w tym momencie o jej ilorazie inteligencji. Nigdy nie patrzyła jeszcze w oczy nikomu, kto odwzajemniłby jej spojrzenie w taki sposób. Te oczy mówiły, że naprzeciw niej siedzi mężczyzna, który chciałby trzymać ją w ramionach i przesuwac dłonią po jej drżącym ciele. Czując, jak gwałtownie skacze jej puls, spuściła wzrok i utkwiała go w talerzu, myśląc jednocześnie o tym, że bardzo chciałaby teraz powiedzieć cokolwiek, byle tylko przerwać ciszę.

- Gdy o tym myślę, sędzę, że szczęśliwie się złożyło, że Dorothy nie zdecydowała się dzielić imienia na przykład z Belą Lugosi - powiedział, przerywając milczenie, zanim zdążyło stać się niezręczne. - Czerwone buciki noszone przez całe życie mogą wydawać się ekscentryczne, pomyśl jednak, jak niewygodne byłoby noszenie w tym klimacie przez cały rok czapeczki.

Anna roześmiała się, może trochę zbyt żywiołowo jak na zwykły żart, starając się w ten sposób odwrócić uwagę od rumieńców, które znów pojawiły się na jej twarzy.

I taką właśnie, roześmianą od ucha do ucha, ujrzał David Freeman, wchodząc do restauracji. Przez chwilę zawahał się i jego twarz lekko stężała. Znał Annę przez całe życie i nigdy jeszcze nie widział jej takiej. Spostrzegłszy, kto siedzi z nią przy stoliku, nie miał zbyt wielkich wątpliwości, jakie są przyczyny tego niecodziennego ożywienia. Dziewczyna wyglądała po pro-

stu... na szczęśliwą. On zaś zdał sobie nagle sprawę, że zadumanie i smutek nie muszą zawsze gościć w jej oczach.

Z poważną miną podszedł do ich stolika i przywitał się z nimi krótko:

- Witaj, Anno.

- David! - wykrzyknęła zdumiona, zamieniając żywiołowy śmiech na bardziej stosowny uśmiech przyjacielskiego powitania.

- Wpadłem, żeby zabrać lunch - powiedział, witając się z Neillem. - Miałem pognać potem do ciebie do motelu, żeby powiedzieć, co odkryłem w twojej maszynie.

Neill spojrział na niego zaniepokojony.

- To brzmi trochę złowieszczo.

- O mój Boże! - niemal wykrzyknęła Anna. - Zupełnie zapomniałam, która godzina. Powinnam być w pracy dwadzieścia minut temu.

Podniosła się z lekkim ociąganiem z krzesła i spojrzała na Neilla, nie wiedząc, jak się z nim pożegnać. W końcu rzuciła mu szybki, nieśmiały uśmiech i podała rękę.

- Do zobaczenia, Neill. Rozmowa z tobą była bardzo miła. I powodzenia z motocyklem.

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, ujrzał jej smukłą sylwetkę oddalającą się w kierunku drzwi. Chciał zerwać się i wykrzyknąć coś do niej, ale siedział jak przymurowany do miejsca. Jutro lub pojutrze ru-

szasz w podróż, przypomniał sobie karcąco. Wyjeżdżasz, nie pamiętasz o tym? Wyjeżdżasz! Jedziesz na Florydę, żeby położyć się na słońcu i myśleć o niebieskich migdałach. Żadnych planów. Żadnych zobowiązań. W szczególności żadnych zobowiązań.

- Więc co z tym motocyklem? - westchnął ciężko, odwracając wzrok od znikającej w drzwiach Anny.

Również David przyglądał się jej w zamyśleniu i dopiero po chwili przeniósł na niego spojrzenie. W jego oczach było coś w rodzaju pełnej napięcia czujności i nietrudne do odgadnięcia pytanie.

- To niestety zajmie parę dni. Trudno zdobyć części do tej twojej indyany. Zatelefonowałem w parę miejsc i jeden z dostawców powiedział, że chyba coś załatwi, ale dowiemy się o tym dopiero w poniedziałek.

- Kilka dni? - odpowiedział nieco melancholijnie Neill, wyglądając przez wielkie okno na ulicę. Pieczone gołąbki, pomyślał, patrząc, jak jakiś starożytny niebieski pickup przemknął przed oknami restauracji. Marzą mi się pieczone gołąbki.

- Czy to wielki problem? Jesteś gdzieś umówiony? Anna zadała mu dokładnie to samo pytanie.

- Nie - zaprzeczył powolnym ruchem głowy. - Jęde po prostu na Południe. Nie mam żadnych zobowiązań.

Tak, nie mam żadnych zobowiązań, powtórzył w myślach. Nie muszę też czekać na ten motocykl. Wystarczy, że zadzwonię i jutro przyjedzie po mnie jakiś samochód. Brat mieszka w Chicago, oddalonym o za-

ledwie parę godzin. Gdyby nawet nie udało mu się na miejscu załatwić samochodu z jakiejś agencji, z pewnością poświęci pół dnia i zabierze mnie stąd. Parę godzin i najpóźniej jutro po południu będę znowu w drodze. Nie muszę czekać...

- Nie ma żadnego problemu, David - usłyszał ze zdziwieniem własny głos. - Mogę spędzić ten czas tutaj równie dobrze, jak gdziekolwiek indziej.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Jadłaś lunch z tym przystojniakiem? - Lisa upuściła z wrażenia na podłogę aksamitną wstążkę, którą trzymała w ręku, i spojrzała na Annę szeroko otwartymi oczami. - Naprawdę?

- W Luanne - potwierdziła Anna, zdobywając się na niedbały ton.

Siedziały razem w pracowni Lisy, wciśniętej od frontu pomiędzy salonik fryzjerski Betty's Best Bet for Hair i redakcję lokalnej gazetki. Lisa mogłaby pracować w domu, który wynajęła dla siebie po powrocie z Kalifornii, ale zdecydowała, że jeżeli chce nadać swojej pasji profesjonalny wymiar, powinna wynająć pracownię w mieście, gdzie będzie mogła przyjmować klientów. Zamieniła przestrzeń, którą zajmował kiedyś sklep, w salonik i utrzymywała regularne godziny otwarcia. Mogła w ten sposób liczyć codziennie na przynajmniej kilka osób, które wpadały do niej, jeśli nawet nie po to, by złożyć konkretne zamówienie, to by przyjrzeć się jej pracy nad jakąś nową kolekcją.

- Lubię towarzystwo - odpowiedziała kiedyś An-

nie, gdy ta spytała, jak może pracować, gdy ktoś patrzy jej na ręce.

Dla Anny pozostawało wciąż zagadką, skąd biorą się ludzie, którzy skłonni są wydać sporo pieniędzy na kapelusze, które lądują potem w ich szafach i których nie widziała ani razu na ich głowach w czasie przechadzek po Loving.

Na półkach oprócz zawodowych akcesoriów, pudeł z kapeluszami i materiałów leżały porozrzucone w artystycznym nieładzie różne drobiazgi: plastikowe owoce, szyszki zlepione ze sobą na kształt żyrafy, stare aptekarskie flakony z wytartymi napisami, które wypełniono koralikami, małe pudełka pełne ptasich piór oraz pojemniki z guzikami w różnych kolorach. Mimo pozornego chaosu Lisa poruszała się w tym labiryncie z łatwością i bez trudu odnajdywała wszystkie potrzebne jej drobiazgi.

Ten barwny rozgardiasz jest typową jej cechą, pomyślała Anna. Przyjaciółka miała dzisiaj na sobie znożone džinsy, tak stare, że nawet największemu oryginałowi nie przyszłoby do głowy wziąć dziury na kolanach za modny emblemat, i bufiastą jedwabną koszulę przyciągającą uwagę szaleństwem kolorów. Chodziła boso, lecz na jej stopach znać było staranny pedicure, a paznokcie błyszcząły szkarłatnym lakierem. Jasnorude włosy upięte były na szczycie głowy w pozornie niestaranny, artystyczny kok, przekłuty żółtym ołówkiem. Z uszu zwisały kolczyki w kształcie wiel-

kich, złotych kół, a na czubku nosa zatknięte były niebieskie okulary z kamienia reńskiego. Wyglądała jak skrzyżowanie cyganki z gimnazjalną nauczycielką. Stojąc razem z nią przed lustrem, Anna pomyślała, że wyglądają obok siebie jak stonowana fotografia w kolorze sepii i barwne zdjęcie kodaka.

- Odpowiesz wreszcie na moje pytanie czy nie? - spytała Lisa groźnie.

- Tak, jadłam lunch z przystojniakiem z warsztatu - odpowiedziała potulnie, starając się nadać głosowi jak najbardziej obojętne brzmienie. - Wybierałam warzywa w sklepiku, kiedy wyrósł nagle jak spod ziemi i zaczął mi doradzać, jak rozpoznać dojrzały melon.

- Ho, ho, przystojniak zna się nawet na produktach rolnych! - powiedziała Lisa z podziwem. - I jak to się robi?

- Należy powąchać melon w miejscu, gdzie odcięta została łodyga.

- Więc zaczęliście razem wąchać po kolei wszystkie melony i skończyło się na tym, że wylądowaliście razem w Luanne?

- Właściwie zrezygnowałam w końcu z tego melona.

Anna nie przyznałaby się przed Lisa, że gdy Neill spojrział na nią tymi nieziemsko błękitnymi oczami, zapomniała nie tylko o melonie, ale nawet jak się nazywa i wyszła ze sklepiku z pustymi rękoma.

- Nie mogę uwierzyć, że nawet nie zadzwoniłaś, żeby mi o tym powiedzieć. - Lisa spojrzała na nią z wyrzutem. - Mogłabym przecież wpaść do Luanne - niby po drodze - żeby przyjrzeć mu się lepiej.

- To był lunch, a nie cyrk - odpowiedziała Anna z irytacją.

- Ale przecież on jest „widowiskowy” - zażartowała Lisa, zmuszając przyjaciółkę do śmiechu.

- Nie jesteś chyba odosobniona w tej opinii - potwierdziła Anna, sięgając po landrynkę z wielkiego szklanego słoja. - Sądząc po tym, jak zachowywała się DeDe, która nas obsługiwała, więcej osób było tego zdania.

- Czy robiła ten numer z przenikliwym erotycznym spojrzeniem? - Lisa odchyliła do tyłu głowę i lekko zwiężyła oczy, starając się naśladować kelnerkę.

- Tak, i ten numer z biodrami. - Tym razem Anna zabawiła się w aktorkę i stanęła w niedbałej pozie, wychylając do przodu prawe biodro.

- Tak, dokładnie tak! - Lisa trzepnęła się z uciechy w kolano i schyliła, by podnieść z podłogi wstążkę.

- Nie wiem, skąd ona wykombinowała sobie, że wygląda seksy, kiedy to robi. Dla mnie wygląda wtedy jak wielbłąd, którego pokręcił artretyzm.

Anna zaprzeczyła ruchem głowy.

- Wielbłąd nigdy nie nałożyłby na siebie tyle cienia do powiek.

Zaczęły jednocześnie chichotać.

- Łagodność, kocia miękkość, to najbardziej działa na mężczyzn, ale ta biedaczka o tym nie wie - skostatowała po chwili Lisa, nabierając ze słoja pół garści landrynek. - A więc co przystojniak robi ciągle w mieście? I czy on w ogóle jakoś się nazywa?

- Nazywa się Neill, a jego motocykl to zdaje się jakiś stary grat. David przez kilka dni będzie musiał ścigać do niego części z całych Stanów. Neill więc póki co zatrzymał się Pod Niebieską Dalią.

- Nie miał wielkiego wyboru - podsumowała Lisa, prostując fałdy i zagięcia, jakie porobiły się na wstążce. - I jaki jest... przy bliższym poznaniu?

- Jaki jest...? - Anna zwlekała przez chwilę z odpowiedzią.

Nie chciała się przyznać, że Neill wydał jej się najatrakcyjnym mężczyzną, jakiego dotąd poznała, i że za każdym razem, kiedy na nią patrzył, ciarki przechodziły jej po plecach. Wiedziała, że Lisa i tak wkrótce domyśli się wszystkiego, ale nie zamierzała zbytnio jej tego ułatwiać.

- Jest... miły - powiedziała w końcu i zaraz roześmiała się w odpowiedzi na pełne sceptycyzmu spojrzenie przyjaciółki. - No dobrze, jest b a r d z o miły, ma nieziemsko błękitne oczy i jest całkiem całkiem - jeżeli oczywiście podobają ci się szczupli, wysocy mężczyźni o wąskich biodrach i szerokich ramionach.

- Czy istnieją kobiety, którym się nie podobają?

- Chyba nie. Ale poza tym jest naprawdę miły i ma

poczucie humoru. Właściwie... śmialiśmy się cały czas. I umie opowiadać. Ach, zapomniałam, Neill pisze książki - dodała, marszcząc lekko brwi i wkładając do ust kolejną landrynkę. - Nie sędzę, żeby miał w tej dziedzinie jakieś zdumiewające osiągnięcia, bo gdy zaczęliśmy rozmawiać, szybko zmienił temat. Chyba poczuł się trochę zakłopotany. Poza tym sama wiesz - jeżeli jakimś facetowi udało się zrobić karierę, dowiesz się o tym, zanim zdążysz pomyśleć, żeby o to spytać.

- Albo opowie ci na ten temat kilka wspaniałych łągarstw - zgodziła się Lisa. - Jak długo zostanie w Loving?

- Nie mam pojęcia. - Anna nie dała się zwieść pozornie niedbałemu tonowi Lisy. - Poza tym, zanim zdążysz spytać, muszę rozwiązać twoje wątpliwości: nie umówiłam się z nim na randkę, nie dałam mu nawet swojego numeru telefonu.

Rzeczywiście, nie dała mu szansy o to poprosić. Odwróciła się na pięcie i znikła w ciągu trzech sekund. Szkoda. Może gdyby została choć chwilę dłużej, zaproponowałby kolejne spotkanie. Chociaż prawdopodobnie i tak by tego nie zrobił. Nie była chyba typem kobiety, za którym szaleją tacy mężczyźni jak on. Nie to, żeby była nieatrakcyjna, ale mężczyźni tacy jak Neill Devlin rozglądają się pewnie za kimś, kto ma do zaoferowania coś więcej niż nieśmiały uśmiech i zgrabne nogi. Powstrzymując się przed westchnie-

niem, wzięła ze słoika jeszcze jedną landrynkę i przelała ją na pół.

Lisa przyglądała się badawczo kolejnym emocjom pojawiającym się na jej twarzy. Umiała z niej czytać jak ze zwierciadła. Znała dobrze przyjaciółkę i podobnie jak Neill nie spotkała jeszcze nikogo o twarzy tak bezpośrednio wyrażającej wszelkie uczucia. I kto jednocześnie miałby równie wielką skłonność, by nie doceniać własnej osoby.

- Dlaczego niby nie mogłabyś pójść do motelu, żeby zamienić z nim parę słów? - spytała ostrożnie.

- Nie chcę. - Anna wzruszyła ramionami. - Nie chcę, żeby sobie pomyślał, że...

- Że ci się podoba? - dopowiedziała Lisa. - Myślisz, że bardzo by się obraził?

- Tak. Nie... Skąd mogę wiedzieć, jaki on jest? Przecież w ogóle go nie znam.

- I prawdopodobnie nigdy nie poznasz, jeżeli nie pokażesz mu, że choć trochę jesteś nim zainteresowana.

- Co za różnica, jeżeli on wyjeżdża stąd, gdy tylko David zreperuje mu motocykl?

- Co? Och, do diabła! - Lisa uniosła kciuk i włożyła go do ust, żeby posać miejsce, w które ukłuła się igłą.

Popatrzyła na Annę spod oka i powiedziała z lekkim zniecierpliwieniem:

- Przecież nie namawiam cię, żebyś poszła z nim do łóżka. Radzę ci tylko, żebyś wpadła do motelu i za-

proponowała mu, że na przykład... pokażesz mu jakieś ciekawe miejsce w okolicy.

- W okolicy nie ma żadnych ciekawych miejsc
- zauważyła trzeźwo Anna.

- To wymyśl jakieś.

Lisa, najwyraźniej zadowolona, że z palca przestała cieknać krew, opuściła rękę i dodała:

- Przecież nie stanie ci się nic straszego. Spędzisz kilka przyjemnych dni w towarzystwie atrakcyjnego mężczyzny, którego jedyną wadą jest to, że nie urodził się w tym miasteczku i że nie został ci przedstawiony przez burmistrza łącznie z rekomendacjami od miejscowego pastora. W gruncie rzeczy to, że niedługo stąd wyjedzie, nie jest takie złe, bo nie zdąży ci się znudzić.

Przypomniawszy sobie, jak błyskawicznie upłynęły trzy kwadranse, które spędziła z Neillem, Anna mimo wysiłków nie mogła sobie wyobrazić, że w trakcie kolejnego spotkania mógłby okazać się nudny. Wręcz przeciwnie, miała całkiem jasne, choć deprymujące przeczucie, że stałoby się całkiem odwrotnie.

- Jeżeli będziesz tak dalej się zachowywać, pozostanie ci smutna perspektywa małżeństwa z Frankiem Millerem - dodała Lisa, marszcząc się nad okularami.

- Obie dobrze wiemy, że on do tego właśnie zmierza. Stara się ciebie zdobyć i choć robi to w niezdarnej, pozobawiony polotu sposób, nie można odmówić mu metodyczności i cierpliwości. Zobaczysz - zmieniała

ton na żartobliwy - jeszcze dwa, trzy lata waszych spotkań i Frank będzie gotowy ci się oświadczyć. I jeżeli nie zrobisz czegoś do tego czasu, to powiesz „tak”, po prostu dlatego że nie będziesz potrafiła znaleźć powodu, dlaczego miałybyś powiedzieć „nie”. Naprawdę o tym marzysz?

- Frank jest porządnym facetem - odpowiedziała Anna bez przekonania. - Przestań się nad nim zneść.

- Jest niezwykle porządnym facetem, a Jack mógłby dodać, że równie porządnym gliną. Wszystko co robi, jest poza tym niezwykle przewidywalne. Frank jest bardziej przewidywalny niż zegarek kwarcowy i w równym stopniu intrygujący. Jest typem solidnego mężczyzny, który powinien poślubić solidną kobietę i wychowywać z nią gromadkę solidnych dzieciaków, równie nudnych i pozbawionych polotu, jak ich rodzice. Byłabym zdruzgotana, gdybym zobaczyła cię w tej roli.

- Nie przesadzaj - powiedziała Anna z dość smętym uśmiechem, niezbyt skutecznie pokrywającym reakcję na słowa przyjaciółki.

Wyobraziła sobie mały, schludny domek, a przed sobą trzech albo czterech małych Franków, równie grzecznych i spokojnych jak ich tato, spoglądających na nią z tym samym beznamietnym, cielejącym wyrazem twarzy. Obraz nie był budujący. Wstrząsnęła od-ruchowo ramionami, jakby chciała zrzucić z siebie jakiś ciężar, i postanowiła zmienić temat.

- A co z wami? - spytała. - Chcecie zaręczyć się z Jackiem czy może uciec do Las Vegas?

Wiedziała od Lisy, że od jakiegoś czasu rozmawiali z bratem o małżeństwie, i oczekiwała, że mogą zaręczyć się lada dzień. Pytanie nie wydawało się nie na miejscu, ale pożałowała go natychmiast, gdy zobaczyła na twarzy przyjaciółki krótki, bolesny skurcz. Trwało to ułamek sekundy, ale na tyle długo, by mogła spodziewać się najgorszego.

- Być może ani to, ani to. Nie jestem wcale pewna, czy w ogóle mamy wobec siebie jakiegokolwiek poważne plany.

Wzruszyła ramionami, by pokazać, jak niejasne to sprawy, wzięła z powrotem do ręki aksamitną wstążkę i przesunęła po niej palcami. Wyglądała na lekko przybitą.

- Właściwie to nie mój interes - zaczęła Anna trochę niepewnie - ale jeśli chcesz o tym porozmawiać... Jack jest moim bratem, a ty jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Jeżeli się pokłóciliście...

- Pokłóciliście? - Lisa uniosła brwi. - Chyba nie znasz dobrze swojego brata, skoro myślisz, że można się z nim kłócić. On po prostu prześlizguje się po temacie - ani nie zaprzecza, ani się nie zgadza, i jedyne, co ci pozostaje, to albo zmienić temat, albo pokłócić się z samą sobą.

Anna poruszyła się nerwowo na krześle i starała się zebrać myśli. Chciała powiedzieć, że zachowa-

nie Jacka, które opisała jej przyjaciółka, wzięło się ze sposobu, w jaki przez długie lata rozmawiał z ich matką, lecz pomyślała, że nie posunie to w żaden sposób rozmowy. Nim zresztą zdążyła coś powiedzieć, Lisa wypaliła:

- Powiedziałam mu poza tym, że ma poważny problem z alkoholem.

- Z alko...? - Anna spojrzała na nią zaszokowana. Jakikolwiek powód kłótni brała pod uwagę, nic podobnego nie przyszło jej do głowy. - Jack chyba nie jest... Naprawdę nie wiem, dlaczego tak myślisz - zakończyła, teraz już całkiem wyprowadzona z równowagi.

- Posłuchaj, Anno. Mój były mąż był alkoholikiem. Znam na pamięć wszystkie objawy, a u twojego brata widać większość z nich.

- Ja tam nie zauważyłam niczego nadzwyczajnego.
- Anna była zbyt zdenerwowana, żeby usiedzieć na miejscu, wstała więc ze stołka, żeby zrobić kilka kroków.

Podeszła do półki i zaczęła wpatrywać się w płataninę wstążek.

- Może jesteś przewrażliwiona, dlatego że twój eks był alkoholikiem?

- He wina wypijaś wczoraj wieczorem na kolację?

- spytała Lisa.

- Kieliszek.

- Ja w ogóle nie piłam, podobnie jak twój ojciec.

Twoja matka też wypiła jeden kieliszek. Pozostałą część butelki wypił Jack. Przed kolacją widziałam, że strzelił sobie pół szklaneczki Johnnie Walkera. Podejrzewam poza tym, że wypił kolejne pół szklaneczki przed wyjściem z domu. Żeby dodać sobie animuszu przed spotkaniem w naszym gronie.

Anna wpatrywała się nieco bezmyślnie w małą, niebieską rybkę z materiału wetkniętą pomiędzy wstażki. Nie chciała uwierzyć w to, co mówiła Lisa - nie dlatego że jej brat miałby okazać się alkoholikiem, ale dlatego że stawiało to pod znakiem zapytania ich związek. Chyba nie znasz dobrze swojego brata, dzwoniło jej w uszach. Być może przyjaciółka miała rację.

- Może wypił wieczorem trochę za dużo, ale sama wiesz, jaka była atmosfera. Matka nie cierpi tego, że on jest policjantem i że...

- Widuje się ze mną? - dokończyła Lisa i w tym samym momencie Anna potknęła się o małą drabinkę leżącą na podłodze i niemal wyładowała głową w pudełkach z kapeluszami.

- Przecież twoja matka nie czyni z tego wszystkiego wielkiego sekretu - ciągnęła Lisa. - Całe szczęście, że nie jestem na to aż tak bardzo wrażliwa.

- Zrozum, ona wcale nie zamierza...

- Owszem, zamierza. Ale nie martw się, opinia twojej matki nigdy nie miała dla mnie wielkiego znaczenia.

Co jest jedną z przyczyn, dla których tak cię nie-

nawidzi, pomyślała Anna. Obojętność Lisy była dla matki z pewnością trudniejsza do zniesienia niż otwarty sprzeciw.

- Możliwe, że Jack pił głównie z powodu waszej matki, ale to naprawdę niewiele zmienia. Robi to nie pierwszy raz.

- Jack nigdy nie pił w pracy - wyrzuciła z siebie Anna, chwytając się ostatniej deski ratunku.

- Może jeszcze nie. Ale jak tak dalej pójdzie, niedługo zacznie. Rozmawiałam z nim o tym wcześniej, ale wczoraj wieczorem przestałam mieć jakiegokolwiek wątpliwości. Nie zamierzam popełnić po raz drugi tego samego błędu.

- Nie, nie... - Anna podeszła do stołu z zamyśloną miną. Nie była przekonana, czy Lisa ma rację. Jeśli tak było... No coż, jeśli Jack pił, być może były po temu jakieś ważne powody. Nie usprawiedliwiałyby Jacka, ale może wyjaśniłyby niejedno.

- Jeżeli Jack rzeczywiście pije - powiedziała, akcentując słowo „jeżeli” - może jest po temu jakiś ważny powód. Wiesz, że po tym, jak Brooke...

- Daj spokój! - Lisa przerwała jej gwałtownie, a gdy Anna spojrzała na nią zdziwiona, spostrzegła w jej oczach iskierki złości. - Czy nikt z was nie uświadamia sobie tego, że gdyby Brooke żyła, pozbawieni zostalibyście możliwości, żeby zwałać na nią wszystkie wasze problemy?

Nastąpiła wielka cisza, trwająca kilkanaście sekund,

którą przerwał dopiero odgłos zatraskiwanych na ulicy drzwi samochodu. Lisa spojrzała na Annę i widząc jej minę, zamknęła oczy, uświadamiając sobie, że posunęła się za daleko. Przecież Anna nie ponosiła żadnej winy. Ona jedna z nich wszystkich starała się uczciwie rozwiązywać swoje problemy.

- Przepraszam - westchnęła ciężko i podeszła do niej, żeby pocałować ją w policzek. - Nie przejmuj się. Między mną i Jackiem nie jest tak źle. Przecież nie zrywamy jeszcze ze sobą. Jestem po prostu zmartwiona i sfrustrowana tym wszystkim, lecz nie chciałam sprawić ci przykrości. Nie miałam zresztą wcale zamiaru powiedzieć tego wszystkiego. Zwal to na przepracowanie, które nadwerżyło mój skołatany rozum.

- Lisa...

- Naprawdę, kochanie. Nie myślę teraz chyba zbyt racjonalnie. Muszę poza tym powiedzieć sobie, że to był ostatni raz, kiedy przyjąłem zamówienie od kogoś, kto chce, żeby zrobić wszystko na wczoraj. To cena, jaką się płaci, kiedy za bardzo zaczyna się myśleć o pieniądzach - dodała.

Anna dopiero teraz zauważyła, że przyjaciółka rzeczywiście wygląda na bardzo zmęczoną. Nawet jej zwykły błysk w oku gdzieś zniknął. Myśląc o tym, co przed chwilą usłyszała, z wysiłkiem zdobyła się na błądy uśmiech.

- Domyślam się - powiedziała cicho. - Poza tym

sądzę, że już najwyższy czas, żebyś skończyła na dzisiaj tę robotę. Czas do domu.

Anna poczekała, aż Lisa znajdzie i włoży swoje buty i powyciąga światła. Gdy wyszły na ulicę, była lekko zdziwiona, że zapada zmierzch. Wydawało się jej, że jest już znacznie później. Było wciąż ciepło, ale w powietrzu wisiała zapowiedź ulewy. Ulica była prawie pusta i większość sklepów dawno już zamknięto, choć naprzeciw baru oraz kilkadziesiąt metrów dalej, koło Luanne, stało ustawionych koło krawężnika kilkanaście samochodów.

Rzut oka na Luanne przypomniał Annie wczorajszy lunch z Neillem, lecz gdy pomyślała o tym, wydało się jej, że zdarzyło się to w jakichś zamierzonych czasach.

- Wszystko w porządku, Anno. Nie martw się - powiedziała Lisa, zamykając po kolei dwa zamki w drzwiach pracowni. - Pamiętaj, że naprawdę nie chciałam ci zrobić przykrości.

- Nie ma o czym mówić. - Anna spojrzała jeszcze raz nad ramieniem Lisy w kierunku Luanne, z której okien sączyło się na ulicę światło. - Być może rzeczywiście nie zwracałam ostatnio uwagi na wiele ważnych rzeczy.

Czując, że Lisa czuje się ciągle nieswojo, dodała:

- Wiesz, dopiero teraz uświadomiłam sobie, że wtedy, w Luanne, nie zapłaciłam za siebie rachunku. Byłam już spóźniona do pracy i prawie wybiegłam, zostawiając mu wszystko na głowie.

Minęła chwila, zanim Lisa odpowiedziała z chytrym uśmiechem:

- Na Boga, Neill pomyśli sobie teraz, że mieszkańcy Loving tylko patrzą, jak tu wycisnąć ostatni grosz z biednego przybysza. To, co zrobiłaś, może trwale odbić się na reputacji naszego stanu.

- Sądysz więc, że powinnam pójść do Niebieskiej Dalii, żeby wyrównać rachunek? - spytała, czując jednocześnie w żołądku znany jej od całkiem niedawna skurcz podniecenia.

Neill odchylił się na krześle i przyglądał się ze zdziwieniem słowom, które biegły ciurkiem po ekranie laptopa rozłożonego na stole motelowego pokoju. Skąd do diabła się to wzięło? Nie myślał wcale o rozpoczęciu nowej książki, na pewno nie teraz, a może w ogóle. A jeżeli nawet pomyślał przez chwilę lub dwie, o czym mogłaby być ta kolejna książka, na pewno nie wpadłby na to, że zacznie wypisywać coś podobnego. Co to jest? Western? Nigdy nie pisał powieści.

Ale słowa nie chciały zniknąć z ekranu, stały tam czarno na białym. Pierwsza scena powieści: zraniony i opuszczony mężczyzna, pozostawiony przez przyjaciela, który był jego partnerem, stoi otoczony przez niebo i prerię, z jedyną bronią w postaci zdrowego rozsądku i odrobiny szczęścia, na które tylko może liczyć. Jest też kobieta, niezbyt ładna, ale silna, naznaczona walką z ziemią, na której żyła, piękną, a zara-

zem bezlitosną. Ich ścieżki miały się spotkać, chociaż Neill nie wiedział jeszcze dokładnie gdzie i kiedy.

- Chyba zwariowałem - wymamrotał, odsuwając krzesło i wstając od stołu. Światło wpadające przez okno było już szare i wątłe, więc po chwili zastanowienia podszedł do kontaktu, żeby włączyć lampę, po czym wyciągnął z lodówki zimne piwo. Otworzył puszkę i wypił kilka łyków, patrząc jednocześnie z niedowierzaniem na ekran komputera.

Kiedy pakował się na tę wyprawę, włożył laptop do torby prawie machinalnie, niewiele się nad tym zastanawiając. Komputer ten towarzyszył mu od chwili, kiedy zaczął pisać swoją pierwszą książkę. Choć kilka razy wpadła mu do głowy myśl, że podróż dostarczyć może jakiegoś nowego materiału, nie zamierzał tak naprawdę napisać ani słowa. W gruncie rzeczy po skończeniu ostatniej książki nie był w ogóle pewny, czy napisze jeszcze cokolwiek. A już na pewno nie myślał o powieści.

Pociągnął kolejny łyk piwa i uśmiechnął się z przyjemnością. Całkiem niezłe, pomyślał, przebiegając wzrokiem kilka pierwszych akapitów. Jakkolwiek dalej miała potoczyć się ta opowieść, zapowiadała się ciekawie. Minał już szmat czasu, odkąd miał świadomość, że pisze coś rzeczywiście dla przyjemności.

Zaczął zastanawiać się, czy napisać jeszcze stronę lub dwie, czy raczej rozpakować kanapkę, którą kupił wcześniej w kafeterii, kiedy usłyszał stukanie do

drzwi. To na pewno Dorothy, pomyślał. Przyszła przypomnieć mu o jakimś filmie wyświetlanym o drugiej nad ranem, którego żadną miarą nie powinien przegapić. Bywał niemiły dla ludzi, którzy przeszkadzają mu w pisaniu, ale kilkanaście stron opowieści o dziewiętnastowiecznym Wyoming, które udało mu się wysmażyć, sprawiło go w świetny humor.

Otworzył drzwi i stanął jak wryty. Po krótkiej chwili zaskoczenia szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz. Na progu stała Anna i patrzyła na niego z uśmiechem, który pokrywał lekkie zakłopotanie. Po spotkaniu w Luanne myślał o niej wiele razy, zastanawiając się, jak zaaranżować następane. Najlepszym pomysłem wydało mu się w końcu zaimprovizowane „przypadkowe” spotkanie, gdy Anna wychodzić będzie z pracy na kolejny lunch. I oto najzupełniej niespodziewanie stała teraz przed nim, wyrosła jak spod ziemi na progu jego mieszkania.

- Cześć.

- Cześć - odchrząknęła lekko, zanim udało się jej wypowiedzieć słowa powitania. - Ja... Dorothy powiedziała mi, w którym pokoju mieszkasz.

Walczyła ze sobą, by utrzymać w spokoju ręce i nie zacząć kręcić nerwowo w palcach paska od dżinsów. W czasie kilkuminutowej jazdy do motelu zdołała wmówić sobie, że dobrze wie, co robi. Ta pewność zniknęła jednak całkowicie, gdy weszła już na pierwsze piętro. Właściwie tylko niechęć do całkowitego skom-

promitowania się we własnych oczach zmusiła ją do zastukania do drzwi pokoju. I oto stał naprzeciw niej, wysoki i bardzo męski, a Anna myślała z przerażeniem, że każde spotkanie z Neillem Devlinem powoduje, że przestaje panować nad tym, co się z nią dzieje.

- Wejź - zaprosił ją gestem dłoni, cofając się o dwa kroki.

Ociągając się lekko, weszła do środka. W pierwszym odruchu paniki chciała już w drzwiach wręczyć mu pieniądze i wyjaśnić, że tylko po to przyszła, ale świadomość śmieszności takiego zachowania spowodowała, że przestąpiła kolejnych kilka kroków.

- Mam nadzieję, że nie przyszłam nie w porę?
- spytała.

- Nie. Skoro los zaplanował dzisiaj dla mnie coś takiego, moje własne plany nie mają wielkiego znaczenia.

- Czy to jednak rozsądne? - spytała, rozglądając się po pokoju. - Może właśnie wykonując plan, robisz to, co powinieneś?

- Przeznaczenie nie przejmuje się naszymi planami. Uderza kiedy chce, czasami tak mocno, że nie masz nawet czasu się zastanowić.

- To brzmi trochę złowieszczo.

Stojąc na środku pokoju, wciąż zastanawiała się, co począć z rękami. Włożenie ich do kieszeni wydawało jej się sztuczne, założenie rąk na piersiach wskazywało na skrępowanie i było jeszcze gorsze. Zawsze

miała z tym problem. Splotła w końcu dłonie na brzuchu i ponownie zdobyła się na lekki uśmiech.

- Czy podać ci coś do picia? - zapytał Neill.

- Mam piwo i wodę. Niezbyt wielki wybór, ale...

- Dziękuję, piłam kawę przed wyjściem.

Jej oczy przebiegły jeszcze raz po pokoju, zaglądając w różne zakamarki, starannie unikając jednak spotkania z jego wzrokiem. Zatrzymały się w końcu dłużej na ekranie laptopa i Anna z zaciekawieniem podeszła do stołu.

- Pracowałeś?

- To chyba niewłaściwe określenie. - Neill wzruszył lekko ramionami, nie znając jeszcze właściwego słowa na nazwanie tego, co zaczęło wykluwać się pod jego palcami. — Raczej... bawiłem się w pisanie.

Na wszelki wypadek, starając się nie robić tego zbyt gwałtownie, podszedł do komputera i zamknął plik, po czym opuścił pokrywę laptopa. Ustanie szumu komputerowego wiatraczka, niezauważalnego wcześniej, spotęgowało wrażenie ciszy.

- Jesteś pewny, że ci nie przeszkadzam?

W niepokalanie białej, świeżo odprasowanej koszuli wciśniętej w dzinsy, z włosami upiętymi w grzeczny kok i palcami splecionymi na brzuchu Anna wyglądała niemal jak przykładna przedszkolanka. Mogłaby też być studentką, która przyszła na konsultacje i stoi na przeciw surowego profesora, niepewna, czy nie zostanie zaraz skrytykowana.

Uśmiechnął się, czując lekkie rozbawienie połączone z narastającym pożądaniem.

- Nie bój się mnie - powiedział łagodnie. - Nie gryzę. Chyba, że mnie o to poprosisz.

Po raz pierwszy od kilku minut Anna spojrzała na niego i pomyślała, że wygląda, jakby chciał podejść do niej i... Nie miała śmiałości pomyśleć, co miałyby potem nastąpić, ale mimo że w jej żołądku znów pojawił się dobrze znany skurcz, nie była wcale pewna, czy starałaby się wyrwać z jego ramion. Czując, jak znów się rumieni, odwróciła czym prędzej spojrzenie i powiedziała:

- Zapomniałam wczoraj za siebie zapłacić.

Kątem oka spostrzegła, że ze zdziwieniem uniósł brwi, i poczuła, że rumieni się jeszcze bardziej.

- Za lunch w Luanne. Nie zapłaciłam swojej części rachunku - dodała, jakby jakiegokolwiek wyjaśnienia były jeszcze konieczne.

Neill zrobił krok w jej kierunku i Anna poczuła, jak jej myśli rozbiegają się nagle w panice niczym małe kurczęta z fartucha nieuważnej gospodyni.

- Ja... ja nie chciałam, żebyś myślał... że spodziewałam się, że ty... że ja... Och!

Nie zdawała sobie sprawy ze swoich kroków aż do chwili, gdy poczuła, że oparła się plecami o drzwi. Neill zatrzymał się o krok od niej. Zapalona lampa znajdowała się dokładnie za jego głową, tworząc wokół czarnych włosów pomarańczową aureolę. Anna

wstrzymała oddech i uniosła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Nigdy jeszcze nie czuła się tak mała i tak bezbronna. Jak błyskawica przebiegło przez jej głowę, że decyzja o tym, by tu przyjść, musiała być szalona. Dorothy wiedziała, że jest u niego w pokoju, ale... była zbyt daleko, żeby usłyszeć krzyk.

- Może powinniśmy przyznać się do tego - powiedział prawie szeptem.

- Przyznać się do czego? - wydusiła, patrząc mu ciągle w oczy.

- Właśnie do tego - wyszeptał i opierając się ręką o drzwi, zbliżył usta do jej warg.

Były ciepłe i mocne, z lekkim posmakiem piwa, ale pachniały jeszcze czymś innym, czego Anna nie potrafiła określić. Całowała się już wcześniej. Frank całował ją po każdej randce. Gdy stali przed kolumnienkami małego domku, kładł ręce na jej ramionach, obejmował ją ostrożnie, jakby była z porcelany, i całował ją - delikatnie i czule, nigdy jednak nie więcej niż raz i nigdy nie wymagając więcej, niż chciała mu dać. Tak naprawdę nie wymagał zresztą od niej niczego.

Neill również nie wymagał ani nawet nie prosił. Po prostu wziął. I gdy to się stało, Anna poczuła, jak ziemia usuwa się nagle spod jej stóp. Teraz mogła tylko dać, czego pragnął.

Neill zastanawiał się wcześniej, jak smakuje jej usta, i pozwolił kilka razy poszybować wyobraźni, ale rzeczywistość przeszła wszelkie oczekiwania. Wargi

Anny były miękkie i słodkie, a jednocześnie namiętne. Miały lekki smak pomadki i landrynek - niewinne połączenie, które wydało mu się nagle niezwykle erotyczne. Nie planował tego - ani pocałunku, ani tym bardziej czegoś więcej. Ale oto stała przed nim, patrząc na niego swoimi wielkimi szarymi oczami, niczym Czerwony Kapturek w domku babci. A on poczuł się nagle jak Zły Wilk, gotowy pożreć ją całą. Zadowolili się delikatnym pieszczaniem jej warg, by po chwili, wykorzystując zaskoczenie, wtargnął językiem do jej ust i poczuć, jak Anna odpowiada na pocałunek, równie namiętnie i śmiało, jak nieśmiały był jej uśmiech.

Usłyszał łagodne, bezwolne westchnienie. Anna przechyliła lekko głowę, jakby chciała wypowiedzieć niemą prośbę, by nie przerywał pieszczoty. Czuła, że zanurza się w rozmigotanej aurze świateł i kolorów, w której unosi się gdzieś poza swoje ciało. Jej dłonie wślizgnęły się pomiędzy nich, oparły na jego piersi i zacisnęły na cienkiej bawełnianej koszulce, jakby była to jedyna rzecz w całym wszechświecie, której można się uchwycić, by nie ulecieć w przestworza.

Miękkie, kocie poddanie się jej ciała wywołało w nim dreszcz rozkoszy i poczuł, jak krew tętni w nim jeszcze mocniej. Chciał więcej - więcej miękkich ust, więcej słodkich westchnień. Anna zakołysała się lekko, jakby miała stracić równowagę, a wtedy przyciągnął ją do siebie, opierając mocno rękę na jej plecach. Wło-

żył drugą dłoń w jej włosy, delikatnie uwolnił je ze spinek podtrzymujących kok, aż rozsypały się bezładnie. Potem zaś zanurzył twarz w potoku miękkich, jedwabistych loków.

Więcej, pomyślał i przyciągając ją jeszcze mocniej, poczuł miękkość napierających na niego krągłych piersi. Chciał mieć wszystko, a ona była podatna i giętka jak wierzbowy gałązka. Drżała w jego ramionach, szeptała coś bezgłośnie. Cała jego.

Siła, z jaką jej pragnął, uruchomiła nagłe w jego głowie dzwonek alarmowy. Chciał za wiele, zbyt szybko. Nigdy nie pożałował tak bardzo, nigdy nie miotał nim taki głód. Nie dotyczyło to tylko tej kobiety. Nigdy nie pożałował z a d n e j kobiety w ten sposób. Kiedy mężczyzna dobiega trzydziestu pięciu lat, wie na ogół, co oznacza pożądanie. Neill nie był nigdy entuzjastą bezosobowego, wypranego z emocji seksu i szybkich, jednorazowych spotkań. Chciał zawsze poznać kobietę, zanim stawali się kochankami. I oto był teraz na granicy tego, by rzucić się na nią i posiąść ją tak jak stali, opartą o drzwi, z nogami zaciśniętymi w powietrzu wokół jego bioder. Ten obraz, który stanął mu nagle przed oczami, podniecił go jeszcze bardziej, lecz siłą woli zmusił się, by zwolnić nieco uścisk i zakończyć wreszcie długi pocałunek.

Anna poczuła się, jakby ktoś spuścił ją nagle z przestworzy na twardą ziemię. Uniosła przymknięte powieki. Neill trzymał wciąż ręce na jej ramionach, jakby

chciał podtrzymać dziecko, które stawia pierwsze kroki. W jej głowie wciąż wirowało. Spojrzała mu w oczy niezbyt przytomnym wzrokiem. Więc tak to wygląda, pomyślała. Przesunęła językiem po dolnej wardze, jakby chciała się upewnić, że pozostał na niej smak jego pocałunku i że to wszystko nie jest złudzeniem. Neill jęknął cicho, po czym napiął na krótko dłonie na jej ramionach i wypuścił ją z objęć. Cofnął się o krok, nie spuszczać z niej oczu.

- Nie wiedziałem, że to się stanie - powiedział.

Jego słowa były chropowate i czuć w nich było frustrację erotycznego niespełnienia.

- Nie wiedziałeś, że mnie pocałujesz? - Wciąż stała na wprost niego, nie mając pojęcia, czy powinna czuć się zakłopotana, wyprowadzona z równowagi, zła czy też może... jeszcze coś innego. Nie wiedziała tego, ale była pewna, że powinna czuć coś więcej poza przyjemnym rozkołysaniem, które nie ustawało od chwili, kiedy wziął ją w ramiona.

- Chciałem cię pocałować - przyznał. - Nie chciałem jednak, żeby stało się to tak szybko.

I żeby trwało tak krótko, dopowiedział w myślach, spoglądając z rozczuleniem na jej miękkie usta i wielkie, szare oczy.

- Jesteś zbyt ufna - dodał po chwili.

Anna o mało się nie przewróciła. Zbyt ufna? Nie miał niestety okazji, by przekonać się, jak bardzo się myli. Ale skąd mógł o tym wiedzieć, skoro przyszła

tu do niego, jakby było dla niej rzeczą najnormalniejszą na świecie odwiedzać nieznanomego mężczyznę w hotelowym pokoju.

Pomyślała o powtarzanych przez matkę ostrzeżeniach, o niebezpieczeństwach, które czyhają na kobiety w chwilach, kiedy najmniej się tego spodziewa. Pomyślała o wszystkich randkach, na które nie poszła, o wszystkich pocałunkach, które ją ominęły, i o nocach, które spędziła samotnie - tylko dlatego że nie ufała mężczyznom. I sama nie wiedziała już, czy śmiać się, czy płakać.

Neill przyglądał się emocjom, które po kolei mallowały się na jej twarzy: zaskoczeniu, lekkiej przykrości i wreszcie czemuś w rodzaju gorzkiej ironii. Nie wiedział, co takiego było w jego słowach, ale cokolwiek powiedział, żałował, że wypędził z jej oczu ów wyraz radosnego oszołomienia, który był tam jeszcze przed chwilą. Ale może dobrze się stało? - pomyślał. Gdyby patrzyła na niego dłużej w ten sposób, być może nie byłby w stanie oprzeć się pokusie, którą powstrzymał ostatnim wysiłkiem woli.

- Ja naprawdę... niech to diabli! - Dzwonek telefonu przerwał zbyt długo ważone słowa. - To pewnie mój brat - wyjaśnił. - Zostawiłem mu dzisiaj wiadomość na sekretarce i pewnie odsłuchiwał ją dopiero teraz. Poczekaj chwilę, zaraz się go pozbędę.

- Nie przejmuj się. - Anna sięgnęła za siebie po omacku, żeby odnaleźć klamkę. Rzuciła mu szyb-

ki, bezosobowy uśmiech i dodała: - Tak czy inaczej, muszę już iść.

- Chcę, żebyś... - Telefon zadzwonił ponownie i Neill rzucił zdenerwowane spojrzenie na beżowy aparat stojący na nocnym stoliku.

- Naprawdę, muszę już iść.

Nie zostawiając mu nawet chwili na powiedzenie czegokolwiek, Anna wyślizgnęła się z pokoju i zamknąwszy za sobą drzwi, szybko ruszyła przed siebie.

Dopiero gdy zasiadła już za kierownicą Lucy, uświadomiła sobie, że zapomniała w końcu oddać mu pieniądze, które była winna za lunch.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Anna przepisywała szybko tekst, uderzając mierzwiem w klawiaturę komputera, i spoglądała co pewien czas na przypięty do tabliczki list, napisany odręcznie przez jej szefa. Od niemal czterech lat była sekretarką wiceprezesa banku Richarda Lawrence'a i dziś po raz pierwszy żałowała, że jej szef zawsze musi okazać się tak dobrze ułożonym, uporządkowanym menedżerem, który nigdy nie jest w stanie wyprowadzić jej z równowagi. Wręcz marzyła, by zdarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego, co choć na chwilę odciągnie jej uwagę od tego, co wydarzyło się wczoraj. Jakieś nabazgrane, nieczytelne pismo, na odszyfrowaniu którego musiałaby się skupić, albo zlecenie absurdalnych czynności, które zdenerwowałyby ją na tyle, by przestała myśleć o sobie...

Niestety, czas płynął ślamazarnie i dzień toczył się według dobrze znanych reguł, a jedyną ekstrawagancją było jak na razie przełożenie spotkania, na które prezes umówiony był po południu.

To wszystko zostawiało jej zbyt wiele czasu na roz-

myślenie, a zdarzeniem wokół którego krążyły jej myśli, była wczorajsza scena w motelowym pokoju. Myślała o tym zresztą już przez pół nocy i udało jej się zasnąć dopiero o pierwszej. Gdy rano zadzwonił budzik, obudziła się z ciężkimi powiekami, niewyspana i zła. To tylko pocałunek, powtarzała, stojąc przez kilka minut pod prysznicem. Co z tego, że nikt nigdy nie całował jej w ten sposób, a ona sama myślała, że takie pocałunki istnieją tylko na barwnych stronicach powieści? To tylko pocałunek, nic więcej.

Choć nie miała w tym zbyt wielkiego doświadczenia, nie była już przecież nastolatką, żeby robić z tego wielką aferę. Dostyc już, skarciła się, nalewając sobie na talerz owsianki i zasiadając do spóźnionego śniadania. To, co się zdarzyło, powinno wywietrzeć z jej głowy.

Łatwiej powiedzieć, trudniej zrobić, myślała z rozpaczą trzy godziny później, wciskając klawisz, żeby skasować setny błąd, który zrobiła, przepisując ten prosty list. To nie był tylko pocałunek. Pobiegła przecież jak głupia do jego pokoju, zupełnie jak nastolatka, która z wypiekami na twarzy ściga jakiegoś gwiazdora, a potem zachowała się jak idiotka, zapominając mu oddać pieniądze. Już samo wspomnienie tego wydarzenia spowodowało, że miała ochotę zamknąć oczy i walnąć głową w klawiaturę. Ten przystojniak pomyślał sobie pewnie, że przyszła tam po to, żeby ją pocałował. Zresztą, Bóg jeden wie, czy tak właśnie nie było. Co gor-

sza, zdawała sobie sprawę, że jest rozczarowana, że nie zdarzy się to jeszcze raz.

Wpatrywała się przez chwilę niewidzącym wzrokiem w monitor, z palcami zastygłymi na klawiaturze. To jednak nie fair, pomyślała. Poprzedniego wieczoru zrozumiała po raz pierwszy, jak wspaniałą rzeczą może być pocałunek. Pocałunki Franka były nawet przyjemne - nie były w każdym razie czymś przykrym - ale zapominała o nich w sekundę po tym, jak cofnął usta, podobnie jak zapominała o nim samym w pięć minut po tym, jak się pożegnał. Kilka miesięcy temu pomyślała, że jej chłodna reakcja wiąże się prawdopodobnie z jej oziębłością. Jak inaczej mogła bowiem wytłumaczyć fakt, że miała już dwadzieścia pięć lat i nigdy nie zbliżyła się jeszcze do żadnego mężczyzny na tyle, by naprawdę go pożądać?

Tak było do ostatniego wieczoru.

Wczoraj w końcu poczuła olśnienie, wczoraj zrozumiała, o co w tym wszystkim chodzi. Pech chciał, że zdarzyło się to akurat z mężczyzną, który miał zniknąć stąd w ciągu najbliższych kilku dni. A jeżeli spojrzeć prawdzie w oczy, właściwie zniknął już wczoraj. Być może David naprawił już jego motocykl. Zresztą Neill, nawet nie czekając na to, mógł zabrać się jakąś okazją lub doczekać się przyjazdu brata. Z tego, co powiedział podczas lunchu, wynikało, że dużo podróżuje. Nie wydawało się prawdopodobne, by mężczyzna, który poznał Paryż, Budapeszt i Bóg wie co je-

szcze, nie nudził się w miasteczku Loving, zagubionym wśród pól kukurydzy stanu Indiana.

Anna zdecydowanie nie doceniała swojego uroku, przeceniała natomiast uroki życia w drodze. Neill zdążył już się przekonać, że ma zdecydowanie dosyć tego drugiego, a co do pierwszego...

Cóż, urok Anny zdawał się zapowiadać nowe, bezkresne obszary wspólnego podróżowania. Neill nie poświęcał wprawdzie tyle czasu co Anna na rozmyślanie o tym, co zdarzyło się poprzedniego dnia w jego pokoju, jednak ani razu nie przemknęła mu przez głowę myśl, że był to tylko „tylko pocałunek”. Miał trzydzieści pięć lat i w przeciwieństwie do niej niejednemu raz poznał, co znaczy pożądać kobietę. Ale od czasu kiedy jako niecierpliwy nastolatek czuł podczas pieśszcota z dziewczętami coś na kształt eksplozji wulkanu, nie pamiętał, żeby jeden, nawet najdłuższy pocałunek doprowadził go do takiego stanu.

Siła, z jaką wczoraj zareagował, wytrąciła go z równowagi i pozostawiła w stanie bolesnego niespełnienia. Jednocześnie zaś rozbudziła w nim ciekawość - tę ciekawość, o której matka mówiła mu nieraz, że wpędzi go w prawdziwe tarapaty. Leżał później bezsennie na łożku, niemal tak długo jak Anna, z głową opartą na złożonych z tyłu rękach i spojrzeniem utkwionym w ścianę, i zastanawiał się, czy matka nie miała przypadkiem racji. Ostrożni i przezorni męż-

czyźni nie pakują się w takie sytuacje. Ale ostrożni mężczyźni prowadzą nudne życie, pomyślał i pocieszony tą konkluzją, zapadł w sen.

Obudził się o świcie, spojrzął na stojący na stoliku zegar i natychmiast zamknął z powrotem oczy, naciągając poduszkę na głowę. Nigdy nie był rannym ptaszkiem i nie miał ochoty zmieniać swoich przyzwyczajień. Po kwadransie leżenia z zamkniętymi oczami doszedł jednak do wniosku, że noc nieodwołalnie się skończyła, po czym klnąc w duchu, wygramolił się z łóżka. Powlókł się powoli do kuchni, żeby wstawić wodę na kawę, i ponownie się zadumał. Może upodobnił już się do farmerów z Indiany, skoro wstaje tak wcześnie?

Umył twarz, przeczesał palcami włosy i wypił kilka łyków kawy. Przez moment miał ochotę włączyć telewizję i obejrzeć poranny dziennik, ale nie chciało mu się nawet sięgnąć po pilota. Nie był w nastroju do oglądania wiadomości. Wojny, morderstwa, polityczne intrygi - miał tego serdecznie dosyć. Nie zastanawiając się zatem długo, włączył komputer i zaczął przeglądać napisany poprzedniego dnia tekst, czując przy tym niejasną obawę, że to, co napisał, okaże się potwornym niewypałem.

Gdy wreszcie udało mu się oderwać wzrok od ekranu, zdał sobie sprawę, że kawa, której nie dopił, jest dawno zimna. Zerknął ponownie na zegarek - od czasu, kiedy zaczął pisać, upłynęło kilka godzin. Szyja

i ramiona zdrętwiały mu od pochylania się nad klawiaturą i musiał zamrugać kilka razy powiekami, by ustąpił piekący ból. Była prawie jedenasta, co wyjaśniało, dlaczego pozbawiony śniadania żołądek zaczął burczeć z głodu.

Jęknął i odsunął się razem z krzesłem od stołu. Ze zdziwieniem stwierdził, że nie pamięta, kiedy to ostatnio słowa i zdania wylewały się z niego tak łatwo i tak szybko. Prawie nie nadażał ich spisywać. Nie przebrnął jeszcze co prawda przez początek, ale opowieść zaczynała nabierać rumieńców. W jakim kierunku się potoczy ani co się stanie, gdy dotrze do punktu zwrotnego, jeszcze nie wiedział, czuł wszakże, że w tym, co pisze, jest prawdziwe życie. Był pewny, że historia, która przyszła mu do głowy ot, tak, sama z siebie, nie umknie mu na pierwszym zakręcie jak spłoszony koń.

Odszedł już od laptopa, a mimo to wciąż czuł, jak kolejne zdania układają się w jego umyśle. Kusiło go, by wrócić do pracy, ale wyczerpany wyteżoną pracą organizm upomniął się o swoje - łupało mu w skroniach, pusty żołądek natarczywie domagał się swoich praw. Poza tym miał przecież bardzo konkretne plany na lunch.

Do czasu lunchu Annie udało się zrobić tyle, ile w każdy inny dzień zrobiłaby w ciągu dwóch godzin. Ślęczała nad klawiaturą, wciąż myliła litery, a jakby tego było mało, uderzyła nosem o krawędź biurka,

schylając się do szuflady, złamała paznokiec o blat, a wreszcie zapisała dwie części tego samego tekstu w dwóch różnych plikach, które umieściła w dwóch osobnych katalogach.

- Widzę, że masz dzisiaj swój dzień. - Marge Lancaster zatrzymała się przy jej biurku i spojrzała na nią wzrokiem, w którym współczucie mieszało się z drwiną.

- Która godzina? Może już piąta? Czy jesteś pewna, że nie powinniśmy iść do domu? - Anna spojrzała na nią żałośnie.

- Niestety - uśmiechnęła się Marge, przysiadłszy na jej biurku. Wyciągnęła przed siebie nogi i przez chwilę wpatrywała się w niebieskie pantofelki ze skórzanymi kokardkami, jakby chciała ocenić ich wygląd.

- Nowe? - spytała Anna, wędrując wzrokiem za spojrzeniem koleżanki.

- Zamówiłam z katalogu - odpowiedziała Marge.

- Bardzo ładne.

- Prawda? - Marge poruszyła palcami u stóp, z trudem powstrzymując bolesne skrzywienie. - Tylko że niewygodne jak diabli. Do licha, nigdy nie mogę oprzeć się pokusie, kiedy widzę ładne buty. W moim wieku powinnam wykazywać więcej rozsądku, prawda? Niestety, moja droga, to nie takie proste. Nic nie wygra z moją próżnością. W grudniu mija czterdzieści lat, odkąd pobraliśmy się z Haroldem, a ja wciąż zachowuję się jak panienka, co to musi wystroić się dla ukochanego. On pewnie i tak nie zwróciłby

uwagi, gdybym przez cały dzień chodziła w rozczłapanych bamboszach, ale ja wciąż mówię sobie, że to właśnie dla niego zadaję sobie takie tortury.

Anna roześmiała się życzliwie. Kiedy przyszła pracować do banku, to właśnie Marge wprowadzała ją w nowe obowiązki i tłumaczyła, jak poruszać się w tym swoistym labiryncie. Formalnie była sekretarką prezesa, jednak każdy w banku, od stróża aż po jej szefa, wiedział, że gdyby zabrakło prezesa, ona sama mogłaby bez większych problemów pokierować całą instytucją. Dobiegała już prawie sześćdziesiątki, miała gęsto przetykane siwizną włosy, pulchniutkie ciało i złote serce - a do tego wszystkiego jasny i przenikliwy umysł.

- Kiedy tak na nie patrzę, to myślę sobie, że szkoda, że nie jestem o trzydzieści lat młodsza - westchnęła, przenosząc jednocześnie czujne spojrzenie na klienta, który właśnie pojawił się w drzwiach.

Anna pobiegła wzrokiem za jej spojrzeniem i zamarła. Jej serce zaczęło walić jak oszalałe, na blade policzki wypłynęły ogniste rumieńce.

W drzwiach stał Neill Devlin.

Rozejrzał się wokoło i po chwili zastanowienia podszedł do bankowego strażnika. Anna poczuła, jak ogarnia ją niepokój. Spędziła cały poranek, a wcześniej pół nocy, wmawiając sobie, że wyolbrzymia atuty jego męskiej urody. Przekonywała siebie, że przesadziła z oceną pocałunku, który uniósł ją ponoć do siódmego nie-

ba. Jeszcze tydzień lub dwa i uwierzyłaby w to wszystko, ale jak na złość Neill znów wyrósł jak spod ziemi i natychmiast wytrącił ją z równowagi, którą z takim trudem starała się odzyskać.

- Oho, chyba wchodzi mężczyzna, któremu nie odmówiłabym pożyczki. - Marge mrugnęła do niej okiem, przyglądając się jednocześnie, jak Neill zdecydowanym krokiem przemierza bankowy hol.

Anna odwróciła głowę. Nie była w stanie na niego patrzeć. Po prostu nie mogła.

- Zbliży się do nas - mówiła tymczasem Marge nieco zdziwionym, a jednocześnie zaciekawionym głosem. Wstała z biurka Anny i podeszła do niskiej, drewnianej balustradki oddzielającej biurową część banku od holu. - Czym mogę służyć?

- Chciałbym się dowiedzieć, czy zastałem może panią Annę Moore.

A więc jej nie zauważył. Zasłonięta monitorem komputera oraz potężną figurą Marge, pozostała dla niego niewidoczna. Przez ułamek sekundy Anna zapragnęła dać nura pod biurko, ale zdała sobie sprawę, że jest za późno. Oto bowiem Marge, oczywiście nie zdając sobie sprawy, dlaczego i po co Neill pyta o jej koleżankę, wydała ją na pastwę losu.

- Oczywiście, zaraz ją poproszę.

Odwróciła się do Anny i spojrzała na nią zaciekawiona. Anna udała, że nie widzi jej niemego pytania. W następnej chwili rozległ się dzwonek telefonu i po-

błogosławiła klienta, który odciągnął Marge od biurka. Wstała z krzesła i powoli podeszła do balustradki. Uniosła wzrok i stanęła twarzą w twarz z mężczyzną, przez którego ostatniej nocy nie zmrużyła oka.

Neill patrzył na nią spokojnie i uśmiechał się swoim szelmowskim uśmiechem. Zauważyła, że ma na sobie te same spodnie - prawdopodobnie jedyne, jakie zabrał w podróż - co wczoraj. Ale jeżeli mężczyzna wygląda tak diabelnie przystojnie w obcisłych, wytartych dżinsach, może w nich chodzić nawet przez całe życie, pomyślała. Jego szeroką pierś opinał za to inny, tym razem błękitny podkoszulek. Natychmiast przypomniała sobie, co czuła, gdy trzymała na tych muskularnych ramionach swoje dłonie, i na samo wspomnienie ugięły się pod nią kolana.

Po kilku sekundach ciszy Neill spytał:

- Lubisz wybrać się czasem na piknik?
- Piknik? - powtórzyła, jakby nie zrozumiała pytania.

Wiele czasu spędziła, wyobrażając sobie, jak mogłoby wyglądać to ich kolejne, jeszcze jedno spotkanie. Powtarzała w myślach elokwentne, dowcipne zdania, na które nie zdobyła się wcześniej, układała słowa, ćwiczyła argumenty, które miały przekonać go, że to właśnie spotkanie powinno okazać się ostatnim. Żaden jednak ze scenariuszy nie przewidywał odpowiedzi na pytanie o piknik.

- Tak - odparła - lubię pikniki.

- A czy będziesz bardzo zajęta podczas przerwy na lunch?

Znów się uśmiechnął, a wówczas poczuła, jak jej trema powoli znika, rozplywając się pod magiczną siłą tego czarownego uśmiechu. Gdy zaś opuściło ją napięcie, Anna uznała, że być może niepotrzebnie zadreżczała się rzeczami, nad którymi każda inna kobieta przeszłaby do porządku dziennego w ciągu pięciu minut. Powrócił ten sam argument, który odrzucała jeszcze dziś rano: że to, co robią, jest normalne, zwyczajne, że nic w tym niestosownego. Wczoraj wieczorem poniosło ich trochę, on ją pocałował, ona się zgodziła. Dzisiaj zaprasza ją na lunch. Czy to wszystko nie jest najnormalniejszą rzeczą na świecie? Czy nie tak zachowują się dorośli ludzie? To tylko jej brak doświadczenia rozdmuchał całą sprawę do niebotycznych rozmiarów, lecz przecież ani w tym żaden wstyd, ani żadne niebezpieczeństwo.

- Nie mam żadnych planów - odparła, uśmiechając się do niego. - Prawdę mówiąc, właśnie sobie myślałam, czy nie wybrać by się na jakiś piknik.

- No proszę. A mówią, że nie istnieje coś takiego jak cudowne zbiegi okoliczności.

Rzucił okiem na wielki okrągły zegar wiszący na tylnej ścianie i zapytał konkretnym tonem:

- Kiedy masz przerwę?

Najchętniej wyszłaby już teraz, ale gdyby zniknęła wcześniej niż wszyscy, towarzyszyłyby temu pytania

oraz dziesiątki wyjaśnień. To zresztą, że i tak pojawia się pytania, było oczywiste, sądząc po zaciekawionym wzroku Marge od kilku chwil wiercącym jej dziurę w plecach.

- Za pół godziny? - bardziej spytała niż oznajmiła.

- Świetnie. Piknik za pół godziny. - Neill wyprostował się, zdejmując ręce z barierki. - Zdamę przez ten czas wszystko przygotować.

- Dorothy uznała piknik za najlepszy pomysł pod słońcem - powiedział Neill trzy kwadranse później, rozciągając wielki koc na trawie w cieniu rozłożystego klonu. - Przypomniała sobie, że Humphrey Bogart zabrał kiedyś Gretę Garbo na piknik w filmie „Mogambo”. - Zmarszczył zabawnie czoło i pokręcił z powątpiewaniem głową: - Chociaż sądzę, że to był raczej Clark Gable i Ginger Rogers w „Kaczej zupie”.

- Coś ci się pokręciło - roześmiała się Anna. - „Kacza zupa” to film braci Marx.

- Może więc Clark Gable zabrał na piknik Groucho Marxa? - odparł Neill, a ona znów się roześmiała. - A propos, czy nie użyto tego w jakiejś kampanii reklamowej? „Groucho dopadł Gable'a”...

Anna usiadła na rozłożonym kocu i podkuliła nogi pod siebie. Dziękowała sobie w duchu, że akurat tego dnia założyła długą spódnicę.

- Wydaje mi się, że to Garson go dopadł - odparła.

- Garson czy Groucho... - Neill wzruszył ramionami. - Kto ich potrafi rozróżnić?

- Ja na pewno.

- Poważnie?

- Och, ty też, nie udawaj. Nie da się pomylić Groucho z nikim innym. To ten wysoki, z wąsami.

- No dobra, pamiętam. Pomożesz mi rozpakować kanapki? Jest też sałatka ziemniaczana.

Po chwili zaczęli jeść i na jakiś czas zapadła cisza. Neill rozejrzał się wokoło. Przy wejściu do parku zauważył przymocowaną na kamiennym murze tablicę z brązu, umieszczoną dla uczczenia pamięci żołnierzy poległych podczas ostatniej wojny. Wyliczała imiona mężów, synów i ojców, którzy nie wrócili do domów w Indianie. Przyszło mu do głowy, że ta rozgrzana słońcem trawa i łagodny, kojący szelest liści należą jakby do całkiem innego świata niż pełne zgiełku i huk wystrzałów pola bitew. Czy o to właśnie chodziło?

Przeniósł wzrok na wysypane żwirem alejki. W powszedni dzień mieli o tej porze niemal cały park dla siebie. Prócz nich było tu kilkoro dzieci, które bawiły się w piasku koło huśtawek, a jedynym dźwiękiem, który przebijał się czasami przez szum liści, był odgłos piłki odbijanej gdzieś w oddali na boisku koszykówki.

Zaczęli rozmawiać, a rozmowa potoczyła się tak swobodnie, jakby znali się od lat. Neill dowiedział się, że Anna lubi stare filmy, tajemnicze powieści z kłuczem i że przepada za różami. Poza tym nie cierpi ro-

bić prania, mało brakowało, a na egzaminach kończących szkołę oblałaby matematykę, natomiast kalkulator kieszonkowy uważa za jeden z największych wynalazków, porównywalny chyba tylko z płytą kompaktową. „Zanim pojawiły się kompaktki, jakimś dziwnym trafem moje ulubione kasety wręcały się w magnetofon” - wyznała i tym stwierdzeniem rozpoczął się nowy wątek ich rozmowy - muzyka.

Okazało się, że dzielą upodobanie do starego rock and rolla, ale mają zupełnie odmienne zdanie na temat bluesa. Neillowi blues towarzyszył wszędzie, także w jego wędrówce po Stanach, podczas gdy Anna miała ten gatunek za smętne nudziarstwo. W lamenujących gitarach i chrapliwych głosach, które snują przygnębiające opowieści o zdradzających żonach i nieudanej miłości, nie było dla niej niczego pociągającego.

- Najwyraźniej nie słuchałaś bluesa przez ostatnich dwadzieścia lat - powiedział Neill i Anna po chwili namysłu przyznała, że rzeczywiście od ostatniego razu upłynęło trochę czasu.

Od muzyki przeszli do ulubionych autorów. Gdy zdążyli dojść do konkluzji, że Hemingway bywa zdecydowanie przeceniany i że oboje nie lubią horrorów, zniknęły wszystkie kanapki, a wtedy - właściwie nie wiadomo dlaczego - urwała się także rozmowa.

Cisza, która zapadła, nie była jednak krępująca. Zastopieni w sennej atmosferze spokojnego popołudnia,

siedzieli oboje w milczeniu i zdawali się cieszyć tym, że nie muszą na siłę podejmować nowych tematów.

Neill po raz kolejny pomyślał o opatrności, która postawiła na jego drodze Annę Moore. Przyzwyczyił się do tego, że większość ludzi traktuje ciszę jak wyzwanie albo oznakę zagrożenia, tymczasem Anna wyglądała tak, jakby podzielała jego opinię, zgodnie z którą przyjemnie jest rozmawiać, ale czasem nawet przyjemniej wspólnie milczeć. Leżała podparta na łokciu, odprężona, z nogami wyciągniętymi wygodnie przed siebie. Głowę odchyliła do tyłu, zamknęła oczy. Jej usta ułożyły się w leniwym uśmiechu...

Niewinna zmysłowość tej pozy spowodowała, że Neill po raz kolejny poczuł erotyczny dreszcz. Zapragnął nagle wyciągnąć dłoń i zatopić ją w lśniących włosach spadających falami na ramiona. Przesunąć palcami po szyi, dotrzeć do rozkosznego wygięcia, które tak cudownie rysowało się nad karkiem.

Nie wiedział, co go w niej tak podnieca. Nie ubierała się przecież prowokacyjnie - sukienka była dość długa i miała mały dekolot - jednak palce wprost świerzyły, żeby sięgnąć do drobnych guziczków ciągnących się rzędem od pasa po szyję; żeby rozpiąć je jeden po drugim i położyć dłoń na rozgrzanych, jakby stworzonych do pieścizot piersiach.

A gdyby pochylił się teraz i ją pocałował, czy zareagowałyby na pocałunek podobnie jak wczoraj, przyjmując go z drżącą gotowością i oddaniem? Ciekawe,

co ma pod tą cienką, letnią sukienką? Koronkową bieliznę czy zwykły biustonosz?

Nie był świadomy, że poruszył się z miejsca, aż do chwili gdy jego ręka rzeczywiście wślizgnęła się w jej włosy i ujęła delikatnie jej głowę. Anna uniosła powieki i spojrzała mu w oczy, jakby spodziewała się tego zbliżenia i jakby na nie czekała. Nie odezwała się jednak ani słowem.

- Muszę sprawdzić, czy to wszystko prawda - wyszeptał - czy to nie sen.

- Co sprawdzić?

- Niezwykły smak twoich ust - odparł, a jego ostatnie słowo zniknęło w muśnięciu ich warg.

Tym razem jest inaczej, myślała Anna. Wczoraj była przestraszona i zupełnie nieprzygotowana. Nagła fala rozkoszy zalała ją i niemal pozbawiła przytomności. Tęskniła później za tą rozkoszą. Teraz, na trawie, pragnęła jej i czekała. I oto przyszła - jeszcze wspanialsza, bo świadomie przeżywana.

Z westchnieniem podała mu swoje usta i poczuła, jak ich języki splatają się ze sobą. Neill smakował piwem, jego skóra pachniała mydłem i wodą po goleniu. Objął ją i przyciągnął lekko do siebie, a wtedy zarzuciła mu ręce na szyję i wsunęła palce w jego gęste włosy. Były jak rozgrzany, czarny jedwab. Pisnęła cicho, czując, jak przygryza jej wargę.

Jest równie wspaniale, jak za pierwszym razem, myślał Neill, zdumiony siłą i impetem, z jakim działało się

to wszystko. Muśnięcie warg, jeden pocałunek - a już chciał więcej, chciał jej całej. I mógł ją mieć, wiedział o tym doskonale. Gdyby byli tu sami, mógłby zerwać jednym pociągnięciem guziczki sukienki, te zaś rozsypałyby się niczym sznur koralików, odkrywając słodką rozkosz, która czekała na swego zdobywcę.

Ale nie byli sami, poza tym było jeszcze za wcześnie. Za wcześnie, by sięgnąć po to, czego tak bardzo pragnął. Boże, skąd to pragnienie? Dlaczego jest takie silne? Kiedy trzymał ją w ramionach, czuł się tak, jakby pożałował jej od zawsze, jakby całe życie czekał, by zanurzyć się w jej słodkim wnętrzu...

Jeszcze nie teraz, powtórzył w duchu. I on, i ona pożałowałiby tego już w chwilę później. Podpowiadało mu to doświadczenie i przyjął tę podpowiedź jako coś równie naturalnego, co potrzeba, by po pierwszym spotkaniu zobaczyć ją znowu, znowu móc na nią patrzeć i dotykać jej ciała.

Mieli przecież czas. Dużo czasu. Neill postanowił bowiem, że nie wyjedzie stąd, dopóki się nie dowie, co naprawdę ich łączy.

Zmusił się, by odsunąć usta od jej warg i odchylić głowę. Powieki Anny uniosły się powoli, jakby były z ołowiu, a gdy wreszcie spojrzała na niego, dostrzegł w jej wzroku uniesienie. Jego woła po raz kolejny została wystawiona na ciężką próbę. Jak dobrze, jak łatwo, byłoby teraz pójść za głosem instynktu, pobudzić ją jeszcze bardziej, zobaczyć w tych półprzytomnych

oczach rozkosz jeszcze większą, rozkosz, która odbiera świadomość, prowadzi na skraj szaleństwa.

- Chyba będę musiał cię odprowadzić - wydusił, zsuwając dłoń na jej szyję.

- Dokąd? - wyszeptwała.

- Do pracy. - Nachylił się i dotknął językiem miejsca, gdzie pulsowała mała tętniczka.

- Do pracy... - Anna wzdrygnęła się, jakby słowo to oznaczało same nieszczęścia.

- Tak, praca, bank... pamiętasz coś jeszcze? - żartował, całując ją po raz ostatni w usta i powoli wypuszczając z objęć. - Musimy tam wrócić.

Westchnęła ciężko, unosząc się z trudem na łokciach. Drżącą ręką uporządkowała włosy i rozejrzała się wokoło, starając się wziąć w karby rozbiegane myśli. Neill wstał i zebrawszy z trawy opakowania, które pozostały po posiłku, zostawił ją na chwilę samą. Popatrzyła za nim z wdzięcznością - gdy był przy niej, skupienie myśli wydawało się niemożliwe.

Pocałunek. To tylko pocałunek, przypomniała sobie. Takie rzeczy zdarzają się każdego dnia, na całym świecie. Ludzie całują się, a jednak żyją, istnieją i pracują nadal. To nieprawdopodobne, ale tak właśnie jest.

Kiedy Neill wrócił, stała już, wygładzając dłonią sukienkę i dziwiąc się, że kolana nie drżą już pod nią tak bardzo. Schyliła się po koc i razem wytrzepali go szybko, po czym złożyli i schowali do torby. Bez sło-

wa ruszyli w kierunku parkowej bramy. W ich milczenie, które jeszcze kilka minut temu było tak błogie i kojące, wkradło się teraz napięcie i Anna zaczęła gorączkowo myśleć, co powiedzieć, żeby przerwać niezręczną ciszę.

- Więc dokąd to jechałeś, kiedy popsuł ci się motocykl? - spytała i zaraz skrzywiła się, czując, jak sztucznie zabrzmiało jej pytanie. Skąd jednak mogła wiedzieć, jak normalnie rozmawiać z osobą, która przed chwilą jednym pocałunkiem pozbawiła ją przytomności?

- Na Florydę, do Fort Lauderdale - odparł Neill, wyraźnie wdzięczny za przerwanie milczenia. - Moi rodzice przenieśli się tam kilka lat temu, gdy przeszli na emeryturę.

- A wcześniej gdzie mieszkali?

- W Wisconsin. Jeszcze wcześniej było Denver, przed Denver Teksas, Los Angeles, Michigan... Ja urodziłem się w Południowej Dakocie.

- Często się przeprowadzaliście.

- Częściej niż większość rodzin, to prawda. Ale mogłoby być jeszcze częściej, gdyby na przykład mój ojciec był wojskowym.

Jakiś nastolatek zbliżał się do nich na rozpędzonej deskorolce i Neill przyciągnął Annę za ramię, żeby zrobić mu drogę. Chłopak minął ich, lecz Neill nie wypuścił już jej ramienia, tylko ześlizgnął rękę w dół, żeby ująć jej dłoń.

- Czym się zajmował twój ojciec? - spytała znowu Anna.

- Różnymi rzeczami w różnym czasie. Prowadził restaurację, miał pralnię, kiedyś pracował na budowie. W Denver miał sklep mięsny, ale wiem też o epizodzie, kiedy był disc jockeyem w Los Angeles.

- Domyślam się, że trudno rozwinąć mały interes w coś większego - skomentowała dyplomatycznie Anna.

Neill uśmiechnął się nieznacznie.

- Nie w tym rzecz. Ojciec nie miałby z tym problemów. Po prostu zniechęcał się za każdym razem, kiedy firma zaczynała porządnie działać. Nudziło go to i tyle. Nowe wyzwanie było zawsze tym, co pchało go do działania. Kiedy sprawy toczyły się już po równej drodze, sprzedawał interes i zaczynał nowy, gdzie indziej.

Anna pomyślała, że taki ojciec nie dawał chyba swej rodzinie zbyt silnego oparcia i poczucia stabilności.

- Czy nie było to dla was... uciążliwe? - spytała.
- Całe życie w drodze?

- Nie, szczególnie. W ważnych momentach robiliśmy naradę rodzinną, na której dyskutowano o tym, gdzie wyruszyć tym razem. Wszyscy mieliśmy prawo głosu. Do Denver przenieśliśmy się na przykład dlatego, że mój starszy brat w wieku trzynastu lat zapragnął nagle zostać kowbojem.

- I został?

- Nauczył się jeździć konno, ale miał kłopoty z ujeżdżaniem. Konie ciągle zrzucały go z siodła. Gdy po raz trzeci coś sobie złamał, matka powiedziała „dosyć” i na tym skończyła się jego kariera. Myślę jednak, że sam Tony miał już do tego czasu dosyć rodeo i całego towarzystwa, które się tam kręci.

- Wcale mu się nie dziwię.

Neill wciąż trzymał jej dłoń, teraz zaś zaczął przesuwac kciukiem po gładkiej skórze. Anny nie zaniepokoił jednak ten gest. Była zaabsorbowana rozmową i uznała go za całkiem naturalny. Przecież tylko spacerowali.

- Masz tylko jednego brata? - spytała.

- I dwie siostry. Darcy jest wśród nas najstarsza. Służy w policji w Denver, jest sierżantem. Tony zrezygnował z koni na rzecz pizzy i razem z żoną prowadzi restaurację w Chicago, dosyć modną knajpkę, do której przychodzi sporo ludzi. Najmłodsza jest Maggie. Robi olśniewającą karierę jako prawnik w Nowym Jorku.

- Porozrzucało was po świecie.

- Fakt. Nie udaje nam się zebrać zbyt często. Ale rozmawiamy przez telefon, a przez ostatnich parę lat widzemy się zwykle w czasie wakacji.

- Więc jesteście zżyci i czujecie się razem dobrze - bardziej stwierdziła niż spytała, czując przy tym lekkie ukłucie zazdrości.

- Chyba tak. Może to rezultat tych ciągłych po-

droży. A może odwrotnie, właśnie to, że jesteśmy sobie bliscy, umożliwia ciągłe życie w drodze. Łatwo nam przenieść się do innego miasta, bo zawsze wiemy, że mamy siebie.

- Ja nigdy nie ruszałam się z Loving - powiedziała Anna, spoglądając na rozciągającą się przed nimi znajomą ulicę. Przez chwilę zastanowiła się, jak wyglądać może Loving widziane oczami obcego przybysza. - Nigdy, jeśli nie liczyć wyjazdu do Disneylandu, kiedy miałam osiem lat - dodała.

Neill milczał, westchnęła więc lekko i dokończyła:

- Ale zawsze myślałam, że wspaniale byłoby obejrzeć świat.

Słyszając jej smętny ton, Neill spojrział na nią pytająco.

- Świat nie zamierza zniknąć z dnia na dzień, a ty nie wyglądasz na osobę, która stoi nad grobem. Masz aż za dużo czasu, żeby zobaczyć wszystko, na co będziesz miała ochotę.

- Tak... chyba chciałabym - odpowiedziała po chwili w sposób, który wskazywał na to, że pomysł ten wydaje się jej równie niezwykły, co mało prawdopodobny.

- Jesteśmy na miejscu. - Neill zatrzymał się przed bankiem. Skarcił się w myślach za męską próżność, która nie pozwoliła mu nie zauważyć, że Anna jest po spotkaniu w takim stanie, że z trudem rozpoznaje znajomy budynek. - Dziękuję za wspólny piknik.

- Ja też dziękuję - powiedziała. - Było bardzo miło.

- Czy masz już jakieś plany na piątkową kolację? - spytał, ściskając mocniej jej dłoń.

- Na kolację? - Serce zatrzepotało w jej piersi i przez chwilę patrzyła na niego, nie mogąc wydusić z siebie słowa. - Ja... niestety, nie mogę. Właściwie... To znaczy... mam już umówione spotkanie.

Myślała o kolacji z Frankiem. Gdy w trzy miesiące po zaprzestaniu nieszczęsnych randek Frank zaproponował jej „spotkanie dwójki przyjaciół”, nie była w stanie mu odmówić. Nie była tym zachwycona, lecz zgodziła się, żeby nie robić mu przykrości. Teraz zaś niemal popłakała się ze złości.

- Chcę zobaczyć się z tobą znowu - powiedział łagodnie Neill, a wtedy ogarnęła ją taka żałość, że zapragnęła wykrzyknąć, że i ona chce się spotkać, że odwoła natychmiast spotkanie, które jest całkowicie nieważne, i że pójdzie z nim, dokąd tylko zechce ją zaprowadzić.

Powstrzymała się w ostatnim momencie. Przecież Neill jest tutaj przejazdem, przypomniał w jej głowie jakiś głos. Nie może poza tym potraktować w ten sposób Franka, który nie zrobił nigdy niczego, niczego, co sprawiłoby jej przykrość. Frank nigdy nie miewał humorów i zawsze był dla niej miły. Frank mieszkał w Loving, a nie był w Loving przejazdem.

Tak, może tak będzie lepiej, pomyślała. Lepiej

i bezpieczniej. Nie zobaczy się z Neillem przez kolejny dzień lub dwa, trudno. W tej chwili emocje wymykały się całkowicie spod jej kontroli i gotowa była popełnić jakieś głupstwo. Lepiej odetchnąć, odpocząć, zebrać myśli.

- Ale... moglibyśmy pójść do kina w sobotę wieczorem - podpowiedziała szybko, całkiem wbrew rozsądnym myślom, które z takim trudem układały się w jej głowie. - W Roxy grają coś ciekawego.

- W Roxy? Oni naprawdę grają tam jakieś filmy? - spytał Neill z nieukrywanym zdziwieniem. - Widziałem ten... budynek, ale myślałem, że to jakiś zabytek i że nic się tam nie dzieje.

- Dorothy urządza projekcje w co drugą sobotę. Puszczą stare filmy.

- Na przykład „Czarodzieja z Oz”? - spytał, unosząc brwi.

- Zgadłeś. Co roku na Boże Narodzenie i Wielkanoc - uśmiechnęła się, pokazując śliczne dołeczki w policzkach. Neill znów miał ochotę przyciągnąć ją do siebie i nie bacząc na bank ani połowę miasteczka, pocałować Annę na samym środku ulicy.

Anna odczytała chyba jego myśli, bo głęboko wciągnęła powietrze, zupełnie jakby zabrakło jej tchu, a jej wielkie szare oczy rozwarły się szeroko. Neill przyciągnął ją za rękę nieco bliżej.

- Anno...

Dźwięk jej imienia, lecz dobiegający gdzieś z boku,

wyrwał ją nagle z odrętwienia. Odwróciła się i spostrzegła, że tuż obok stoi jej brat, przyglądając im się ze zdziwieniem. Wysunęła szybko dłoń z ręki Neilla, czując, jak rumieńce znów zalewają jej policzki. Zaraz potem przyszło jednak zniecierpliwienie.

Dlaczego Jack tak na nią patrzy? Co jest złego w tym, że jego siostra stoi na ulicy, trzymając za rękę przystojnego mężczyznę? Co z tego, że nikt nigdy nie widział jej w podobnej sytuacji? Czy musi być aż tak zdumiony?

Neill również patrzył na intruza z niechęcią. Czy to jest właśnie owo „zobowiązanie”, które nie pozwoliło Annie umówić się na piątkową kolację? Facet jest dość atrakcyjny, pomyślał, taksując go wzrokiem. Jeżeli oczywiście Annie podobają się mężczyźni w typie wysokiego, jasnowłosego Apolla. A może, tak jak niektóre kobiety, cechuje ją - niezbyt zrozumiała dla niego - słabość do munduru.

- Cześć, Jack, w ogóle cię nie zauważyłam - odezwała się beztroskim tonem, lecz głos, wbrew jej woli, załamał się w środku zdania.

- Właśnie widzę - odpowiedział cierpko Jack, robiąc krok w ich kierunku. Spojrzał badawczo na siostrę, zatrzymując na chwilę wzrok na jej ustach, po czym przeniósł spojrzenie na jej towarzysza.

Neill nie dał się zmylić. Spojrzenie nie zawierało na pozór nic poza zaciekawionym zdziwieniem, ale wiedział, co może teraz nastąpić. Podświadomie usta-

wił się tak, by zbalansować ciężar ciała w odpowiedzi na cios. Przez głowę przebiegło mu pytanie, jaka też kara może go spotkać za pobicie policjanta na służbie, jeżeli to on uderzy pierwszy.

- Pozwól, Neill... to mój brat, Jack - Anna dokonała prezentacji. - Jack, poznaj Neilla Devlina.

Brat? Neill zmarszczył z niedowierzaniem brwi i dopiero po chwili poczuł, jak zazdrość zamienia się w jego sercu w uczucie ulgi.

Rozluźnił napięte mięśnie.

- Miło cię poznać, Jack.

- Mężczyzna z motocyklem? - spytał domyślnie Jack, przypominając sobie kolację w domu rodziców.

Anna w lot przypomniała sobie wszystko, o czym mówiono podczas kolacji, i otworzyła usta, żeby powiedzieć cokolwiek, nim jej brat zdąży wypaplać jakieś szczegóły.

- David ciągle reperuje jego motocykl, czeka na jakieś części - wypaliła pospiesznie. - A Neill i ja byliśmy właśnie... byliśmy właśnie ...

- Właśnie zrobiliśmy sobie mały piknik podczas przerwy na lunch - dokończył za nią Neill, dziwiąc się jednocześnie, dlaczego stała się nagle tak nerwowa.

No tak, uświadomił sobie, starsi bracia potrafią być prawdziwą zmurą, kiedy ich siostry zaczynają spotykać się z mężczyznami. Tylko Maggie, on i Bóg jeden na niebie wiedzą, jak on sam zaczął się zachowywać, gdy

jego siostra umawiała się na pierwsze randki. Ale Anna powinna już przecież mieć to za sobą.

- Miły dzień na piknik - skomentował Jack.

Anna przytaknęła skinieniem głowy, czując jednocześnie, że wszystkie pomysły na dalszą rozmowę wywietrzały jej nagle z głowy. Boże, nie powinna zachowywać się jak przyłapaną na pierwszej randce nastolatka. Nie było najmniejszego powodu. Miała dwadzieścia pięć lat, była samodzielna, wolna i nie miała żadnych zobowiązań. Całkiem niepotrzebnie zadrezczała się teraz jakimiś urojonymi wyrzutami sumienia.

Na szczęście, wyczuwając jej podenerwowanie, Neill zdecydował, że najlepsze, co może zrobić, to zostawić brata i siostrę samych, by mogli powiedzieć sobie to, o czym wahali się wspomnieć w jego obecności.

- Mam jeszcze parę spraw do załatwienia - powiedział i pogładził Annę na pożegnanie po policzku, przypominając jej jednocześnie o sobotnim spotkaniu.

Anna potwierdziła skinieniem głowy, a wtedy spojrział na nią po raz ostatni, skinął głową w kierunku Jacka i odszedł.

- Sobotnie spotkanie? - spytał Jack, gdy zostali tylko we dwoje.

Nie było nic szczególnie prowokacyjnego w tonie, jakim zadał to pytanie, ale przewrażliwienie Anny kazało jej unieść brodę i wypalić wyzywająco:

- Tak. Idziemy w sobotę do kina. Masz coś przeciw temu?

Jack wzruszył ramionami i przeniósł wzrok z jej twarzy na oddalającą się postać mężczyzny. Po chwili znów spojrzał na siostrę.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Wiem - odparła stanowczo, marząc o tym, by czuć się choćby w połowie tak pewna siebie, jak wskazywał na to jej ton.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ktokolwiek wymyślił maksymę twierdzącą, że jedynymi pewnymi rzeczami w życiu są śmierć i płacenie podatków, nie znał Franka Millera. Gdyby porównać przewidywalność jego zachowań z powyższymi zjawiskami, wypadłyby one przy nim mniej więcej tak, jak gra w ruletkę przy solidnej lokacie bankowej.

Frank jeździł porządnym czarnym czterodrzwiowym fordem, którego mył zawsze w niedzielę rano. Szedł do fryzjera w każdy pierwszy czwartek miesiąca, robił cotygodniowe zakupy zawsze we wtorek po południu i zatrzymywał się na każdym znaku „stop”, nawet jeżeli z prawej ani z lewej nie zbliżał się żaden pojazd. Urodził się i wychował w Loving i chodził do tej samej szkoły średniej co Anna, gdzie był solidnym, choć niewyróżniającym się graczem miejscowej drużyny baseballowej. Później znalazł się w college'u, gdzie uzyskiwał przyzwoite oceny, nie zwracając jednak na siebie w szczególny sposób uwagi. Po skończeniu college'u wrócił do Loving, został zastępcą szeryfa i dość szybko wpadł w codzienną rutynę, którą skrzętnie pielęgnował przez następne dziesięć lat.

Siedząc naprzeciw niego za stołem w Barney's Bar and Grill - niezbyt wytwornym przybytku, gdzie jednak można było zjeść najwykwintniejszy obiad w całym Loving - Anna przyglądała się, jak spokojnie kroi swój stek na prawie identyczne porcje, i próbowała sobie przekonać, że Frank posiada jednak wiele wartościowych cech. Był przystojny, o regularnej, silnej twarzy w typie Dicka Tracy'ego, miał ładne, zwykle równo przystrzyżone włosy, a z jego ciemnych oczu bił spokój, który rzadko przemieniał się w nieoczekiwane spojrzenie, które mogłoby wyprowadzić człowieka z równowagi. Był solidny i odpowiedzialny. Anna mogła założyć się, że nigdy nie zapomniął zapłacić żadnego rachunku ani podlać na czas kwiatków w domowym ogródku. Nigdy się nie spóźniał, nie zdarzyło mu się zapomnieć o urodzinach matki i na pewno zawsze pomagał staruszkom, kiedy przechodziły przez ulicę. Był dobry, rozsądny, uczciwy...

I piekielnie nudny.

- Dzisiaj stek jest chyba lepszy niż w ubiegłym tygodniu - skomentował, przeżuając starannie kolejną porcję. - A jak twój kurczak?

- O, świetny! - Anna posypała ziołami leżący na talerzu kawałek piersi i ukroiła niewielki kęs.

- Cieszę się. Znowu złożyłaś dobre zamówienie.

- Mhm - wydała z siebie przytakujący dźwięk, który wydał się jej najlepszą odpowiedzią.

Frank przyprowadzał ją tu na kolację w co drugi

piątek. Spotykali się zawsze o siódmej. On zamawiał befszytk z polędwicy z pieczonymi ziemniakami i kostką czosnkowego masła oraz warzywami na gorąco. Pił do obiadu kieliszek czerwonego wina - zawsze tylko jeden - a po obiedzie jedną filiżankę kawy. Po miesiącu Anna potrafiła wyrecytować jego zamówienie z pamięci, zanim Frank zdążył otworzyć usta, gdy kelnerka zatrzymywała się przy ich stoliku. Po dwóch miesiącach zasugerowała nieśmiało, by spróbował może czegoś nowego, lecz on spojrzął na nią z przepaszającym uśmiechem i przecząco pokręcił głową.

- Wiem, co najbardziej mi smakuje. Nigdy nie widziałem wielkiego sensu w zmienianiu czegoś, co jest dobre. Po co? Tylko po to, żeby coś zmienić?

Z pewnością nie widzi również sensu w poszukiwaniu w swoim życiu jakiegokolwiek urozmaicenia, pomyślała Anna. Frank był przywiązany do swoich decyzji i rzadko je zmieniał, choć zarazem zdawał się wielkodusznie przyjmować to, że ona zamawiała za każdym razem coś innego. Traktował to pewnie jako niegroźny ekscentryzm, podczas gdy dla niej była to właściwie jedyna rzecz, która urozmaicała te ich nieznośnie monotonne piątkowe spotkania. Tak, przyznała w duchu, najciekawszą ich częścią rzeczywiście było studiowanie menu.

Nieco zawstydzona własnymi myślami, zmusiła się, by skupić uwagę na towarzyszu. Jest przecież naprawdę

miły, przypomniała sobie karcąco. Nie jego wina, że „bycie miłym” przestało jej nagle wystarczać.

Przez następne pół godziny czyniła nieustanne wysiłki, by skupić uwagę na mężczyźnie siedzącym naprzeciwko. Nie było to łatwe, bowiem elokwencja nigdy nie była silną stroną Franka. Od początku zdawała sobie z tego sprawę, ale teraz, po rozmowach z Neillem, uświadomienie sobie różnicy między dwoma mężczyznami okazało się wyjątkowo bolesne. Nie powinnam ich porównywać, napominała się, starając się wykrzesać odrobinę zainteresowania dla „niesamowitej” opowieści o wysłedzonym niedawno przez radar złodzieju, który po bliższym zbadaniu okazał się psem zabłąkanym w ogródku sąsiada.

Ale jak mogła nie porównywać tych mężczyzn? Gdyby Neill opowiedział jej tę samą historię, skrzyłaby się dowcipem, a ona zaśmiewałaby się do łez, mając przed oczami obraz dorosłych mężczyzn w mundurach czołgających się z marsowymi minami przez krzaki w poszukiwaniu nieistniejącego rabusia. Historia opowiedziana przez Franka była niestety tak sucha i nieciekawa, jak oficjalny raport, który zapewne napisał po całym zajściu i włożył do policyjnej kartoteki.

Zła na siebie, że nie może pozbyć się nieustannego myślenia o Neillu, spoglądała na Franka z nieco sztucznym, przyklejonym do twarzy uśmiechem, kiedy zaś skończył swą opowieść, spytała:

- Czy panu Koshnitzkiemu było bardzo głupio, kie-

dy dowiedział się, że wezwał was do siebie tylko po to, byście schwytali jego psa?

- Nie sędzę - odparł spokojnie, jakby nieco zdziwiony tą sugestią. - Przecież nie mógł o tym wiedzieć. Poza tym lepiej zrobił, wzywając nas, niż gdyby sam próbował rozprawić się ze złodziejem. To mogło być niebezpieczne.

Pokiwała głową i zamyśliła się na chwilę.

- Powiedz mi, Frank, czy nigdy nie byłeś znudzony Loving? - spytała nagle, zdziwiona własnymi słowami. Poczwała, że mogą być one dla niego zbyt dużym zaskoczeniem, i uznała, że powinna zapytać nieco konkretniej: - Czy zastanawiałeś się na przykład, jak by ci było gdzie indziej? Gdybyś na przykład był gliną w mieście, w którym są prawdziwi przestępcy i gdzie zdarzają się większe zbrodnie niż włamania do sklepów?

Frank ujął właśnie kieliszek, ale jego ręka zamarła w powietrzu, a czarne oczy rozszerzyły się w bezmiernym zdumieniu. Twarz, która zmieniała się tak rzadko, przybrała teraz wyraz, jaki Anna widziała dwa, a może trzy razy w życiu. Patrzyła na niego z zaciekawioną i jednocześnie trochę przestraszona, czekając, co będzie dalej. Jednak po chwili Frank pokręcił tylko przecząco głową, upił mały łyk wina i odstawił kieliszek.

- Jestem za stary, żeby szukać przygód.

No cóż, ja jeszcze nie, odparła w duchu Anna, czu-

jąc gwałtowny przypływ niechęci, która zniknęła jednak równie szybko, jak się pojawiła.

- Poza tym wszyscy wiemy, ty również, że zbrodnie nie zdarzają się tylko w wielkich miastach.

Powiedział to zwykłym, spokojnym tonem, ale te pozornie obojętne słowa spowodowały, że po plecach Anny przeszły ciarki.

To prawda, kto jak kto, ale ona powinna pamiętać, że przemoc może pojawić się wszędzie, spaść jak uderzenie pioruna - i to właśnie w chwili, gdy człowiek najmniej się tego spodziewa.

- Masz rację - powiedziała cicho i ze spuszczoną głową utkwiała oczy w stojącym przed nią talerzu.

- Anno... - w głosie Franka zabrzmiał ton, który pojawiał się bardzo rzadko, ale zanim zdążyła usłyszeć więcej, jak spod ziemi wynurzyli się przy ich stoliku Jack z Lisa.

Przywitali się wylewnie, po czym Lisa spojrzała na przyjaciółkę kpiącym wzrokiem i orzekła:

- Byłam pewna, że was tu znajdziemy.

- Właśnie kończymy - powiedział najwyraźniej nieświadomy żartu Frank. - Czy przysiądziecie się na kawę?

- Wychodziliśmy już - wyjaśnił Jack. - Wypijemy kawę w domu, prawda, kochanie?

Coś w oczach Jacka przyciągnęło uwagę Anny. Pamiętała, co Lisa mówiła o jego skłonności do alkoholu, toteż teraz zajrzała w nie czujnie - były wesolutkie,

a jednocześnie spoglądały dość mętnie. Jack nie chwiał się wprawdzie, ale sposób w jaki położył rękę na oparciu krzesła, przenosząc niepewnie ciężar ciała, wskazywał na to, że ma pewne kłopoty z utrzymaniem równowagi. A może tylko się jej zdawało? Po tym wszystkim, co Lisa wczoraj nakładła jej do głowy, mogła być przewrażliwiona.

Popatrzyła uważnie na przyjaciółkę i spostrzegła w jej oczach z trudem hamowaną złość. Lisa zaś, świadoma badawczego spojrzenia, zacisnęła lekko usta, zawzięta i poirytowana. Po chwili pożegnali się i ruszyli ku wyjściu. Anna miała ochotę obejrzeć się za nimi, by przyjrzeć się bratu, zdecydowała jednak, że woli pozostać w niepewności i nie narażać się na widok Jacka chwiejnym krokiem przemierzającego hol Barney's Bar and Grill.

Nawet jeżeli wypił dzisiaj zbyt wiele, nie znaczy to jeszcze, że jest alkoholikiem, pomyślała zdenerwowana. A jeśli jest? Jeśli Lisa ma rację? Może powinna coś zrobić? Porozmawiać z nim? Czy nie było to jej obowiązkiem jako siostry? Kochała brata, ale dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak mało go zna. Nigdy nie rozmawiali ze sobą poważniej, nigdy nie wykraczali poza zdawkową wymianę zdań o zwykłych, codziennych sprawach. Nie wiedziała, co naprawdę czuje Jack, o czym myśli, a i on miał niewielkie pojęcie na temat jej życia.

Przypomniała sobie nagle, jak Neill opowiadał o swojej rodzinie: ciągłe zmiany miejsca nie miały

znaczenia, bowiem wszyscy wiedzieli, że mają siebie i mogą na siebie liczyć. Spróbowała przez moment wyobrazić sobie w ten sposób swoją rodzinę: oto siedzą przy jednym stole i obmyślają, gdzie mają zamieszkać; albo decydują się przenieść do Denver tylko dlatego, że Jack zapragnął nagle zostać kowbojem.

Niestety, obraz ten w żaden sposób nie chciał pojawić się przed jej oczami. I to nie dlatego że ich rodzina nigdy nie ruszyła się z Loving, ale ponieważ tak trudno było wyobrazić sobie któregokolwiek z rodziców konsultującego się z nimi w jakiejś ważnej sprawie. Neill nie musiał jej zresztą o tym wszystkim opowiadać, wystarczyło posłuchać, z jakim oddaniem mówił o bliskich. To najlepiej pokazywało, jak bardzo ich rodziny różnią się od siebie. Bo co ona mogłaby mu powiedzieć o swojej?

- Anno?

Głos Franka wyrwał ją z zamyślenia i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że wymówił jej imię już po raz trzeci. Obok nich stała kelnerka.

- Przepraszam, o co pytałeś?

- Spytałem, co chciałabyś zjeść na deser.

- Och nie, dziękuję, nie jestem już w stanie zjeść czegokolwiek. Trochę boli mnie głowa - dodała szybko, zanim zdążył zamówić deser, który regularnie pojawiał się na ich stole: szarlotkę na ciepło z jedną kulką lodów waniliowych, z zaznaczeniem, by lody podano na osobnym talerzyku.

I znów patrzyła, jak Frank spokojnie je swój deser, odmierzając idealnie równe porcje szarlotki na zmianę z porcją lodów.

- Zauważyłem, że wyglądasz trochę nieswojo - powiedział, połknąwszy ostatni kęs, po czym przywołał kelnerkę, zapłacił rachunek i wyprowadził ją pod rękę na zewnątrz.

Krótką jazda do domu Anny minęła bez słowa. Nie była pewna, czy przypisać milczenie Franka troskliwości, spowodowanej jej rzekomym bólem głowy, czy też naturalnej małomówności. Cokolwiek było jednak przyczyną, była zbyt wdzięczna za ciszę, by odczuwać wyrzuty sumienia z powodu małego kłamstwa.

Frank odprowadził ją jak zwykle do drzwi. Nigdy nie pytał, czy może zobaczyć, jak wygląda jej mieszkanie i wyglądało na to, że nigdy nie oczekiwał, że ona zaprosi go do środka. Teraz też czekał cierpliwie, aż wyjmie z torebki klucz i otworzy drzwi. Zgodnie z wyćwiczonym zwyczajem, Anna odwróciła się i uniosła ku niemu twarz w oczekiwaniu na pocałunek. Gdy nastąpił, był dokładnie taki sam jak zwykle: spokojny, troskliwy, beznamiętny. Choć starała się z całych sił powstrzymać obraz Neilla, stanął jej przed oczami i przez moment wyobrażała sobie, że to właśnie on całuje ją na progu, by za moment porwać w objęcia i przenieść do świata, o którego istnieniu do niedawna nie miała jeszcze pojęcia.

Westchnęła łagodnie, gdy Frank zakończył pocałunek i cofnął głowę, spoglądając na nią z uśmiechem.

- Dobranoc, Anno. Porządny sen to najlepsze lekarstwo na ból głowy.

- Dziękuję za kolację. Było bardzo miło.

Jej uśmiech zgasł, gdy tylko wślizgnęła się do mieszkania i oparła plecami o drzwi. Zamknęła oczy, odczekała, aż umilknie chrzęst żwiru pod butami Franka, a potem warkot wyjeżdżającego na ulicę samochodu, po czym znów westchnęła i ruszyła przez hol do salonu. Ostatni raz, pomyślała z ulgą.

Zaledwie tydzień temu zastanawiała się, co zrobiłaby, gdy Frank poprosił ją o rękę. Jakaś zabłąkana myśl podpowiedziała jej wtedy, że być może powiedziała by „tak”. Pragnęła domu, rodziny i nie miała wątpliwości, że Frank byłby zarówno dobrym mężem, jak i ojcem.

Dla innej tak, ale nie dla niej. Teraz wiedziała już ponad wszelką wątpliwość, że nie mogłaby za niego wyjść. Nigdy.

I nie miało to wiele wspólnego z Neilem. Przynajmniej nie w bezpośredni sposób. Po prostu rozmowa z nim, to niezwykle porozumienie, wspólny śmiech - wszystko to uświadomiło Annie, jak czułaby się w małżeństwie z człowiekiem, który naprawdę ją pociąga i intryguje. I jak bardzo byłaby nieszczęśliwa z kimś, kto rzadko jest w stanie powiedzieć więcej niż

dwa zdania i kto sądzi, że świat kończy się za opłotkami miasta, w którym mieszkają.

Przerażało ją, że krótka znajomość z Neillem zmieniła jej życie do tego stopnia. Była też jednak szczęśliwa, że ten mężczyzna obudził w niej świadomość własnych pragnień. Niezależnie od tego, czy miał tu zostać, czy nie, pokazał jej, że stać ją na więcej niż życie z człowiekiem, do którego nie byłaby w stanie wykrzesać z siebie nic ponad letnie uczucia.

Chciała więcej i potrzebowała więcej. Być może też - po raz pierwszy przyszła jej do głowy myśl, którą jeszcze wczoraj uznaby za rewolucyjną - na znacznie więcej zasługiwała.

Pięciodniowy tydzień pracy wynaleźli z pewnością purytanie, pomyślała Anna, wyciągając kłębek mokrej bielizny z pralki i wsadzając go do suszarki. Pięć dni na pracę, sobota na zrobienie tego, czego nie udało się zrobić przez pięć dni, i jeden dzień na modlitwę. Jeżeli rzeczywiście ludzkie próżnowanie diabeł upodobał sobie najbardziej, podsuwając beczynnym dłoniom figle i psoty, za które przychodzi potem smażyć się w piekle, to musiał chyba nienawidzić tych, którzy wymyślili regularną pracę od dziewiątej do piątej.

Przycisnęła guzik uruchamiający suszarkę i poprawiła niesforny kosmyk włosów, który spadł jej na czoło. Ciekawe, jak radzą sobie z życiem rodzice wychowujący gromadę dzieci? Nie dość że pracują, to jeszcze

muszą *znaleźć* czas dla swoich pociech. No cóż, jej sytuacja była na tym tle nie najgorsza. Póki co, była sama, mieszkała w małym miasteczku, więc wszystkie zakupy i inne sprawy udawało jej się załatwić w ciągu tygodnia, zazwyczaj w porze lunchu albo po pracy, bo-wiem wszędzie w Loving było blisko. Całe sobotnie przedpołudnie poświęcała wprawdzie sprzątanii i praniu, jednak już popołudnie miała wolne. No i całą niedzielę. Na taki luksus kobieta wychowująca trójkę dzieci z pewnością nie mogła sobie pozwolić.

Posiadanie męża i dzieci miało jednak pewne zalety. Pochylona nad odkurzaczem, Anna pozwoliła sobie na odrobinę fantazji. Puściła wodze wyobraźni i już po chwili ujrzała wannę pełną piany, a w niej dzieciaki pluskające się z nadmuchanym kacorkiem. Zobaczyła też siebie, siedzącą w fotelu i oddającą się planowaniu rodzinnej wyprawy do Disneylandu albo obmyślanii marszruty, według której przemierzać będą jakiś egzotyczny kraj. Wieczorem zaś wślizgującą się do łóżka, w którym czekał na nią ktoś znacznie większy i bardziej kochany od najukochańszych pluszowych misiów, z którymi zasypiała w dzieciństwie.

No cóż, wszystko ma swoje wady i zalety.

Westchnęła i pochyliła się, by odkręcić przewód odkurzacza, który zawinął się wokół fotela. Właśnie mocowała się ze sznurem, gdy usłyszała krótkie pukanie do drzwi. Rzut oka przez matową szybkę pozwolił jej rozpoznać twarz matki i Anna uniosła zdziwiona brwi.

Choć jej domek oddalony był w linii prostej zaledwie o kilkaset metrów od rodzinnego domu, matka rzadko zachodziła do niej bez zapowiedzi. Kiedy zaś już składała Annie wizytę, nie wahała się wyrazić dezaprobaty dla zmian, które zaszły w wystroju wnętrza od czasu poprzednich odwiedzin. Dlatego też Anna i tym razem nie była zdziwiona, gdy usłyszała pierwsze słowa matki:

- Naprawdę nie wiem, co wpadło ci do głowy, żeby pomalować kolumny w tak absurdalne kolory. Żółty z różową obwódką? To po prostu śmieszne.

- Dzień dobry, mamo.

Anna cofnęła się dwa kroki, żeby wpuścić ją do środka, czując jednocześnie lekkie ukłucie zazdrości na widok niewymuszonej elegancji, z jaką ubrana była Olivia: zgniłozielone spodnie połączone z prostą w kroju jedwabną bluzką, którym towarzyszyły płócienne espadryle i dyskretne złote akcenty w postaci klipsów i delikatnej bransoletki. W zderzeniu z nimi różowe szorty i luźna bawełniana bluza, które wydawały się jej przed chwilą wygodne i bezpretensjonalne, wypadały prawie prostacko. No cóż, Anna dawno już doszła do wniosku, że jeżeli istnieje coś takiego jak geny elegancji, matka z pewnością przekazała je komuś innemu.

- Całe to miejsce jest zwariowane - odpowiedziała niedbale - więc dołożyłam do tego zwariowane kolory.

- Mogłabyś mu nadać bardziej sensowny charakter

właśnie za pomocą kolorów. Chociaż nie byłoby to łatwe, bo ten twój dom to moim zdaniem dość absurdalne połączenie domku z pierników z wiktoriańskim zamczyskiem.

- Mhm - Anna słyszała już tę uwagę wiele razy, więc bez trudu przeszła nad nią do porządku dziennego-

Porównanie Olivii było zresztą trafne. Domek pod różą - jak go nazywano - został zbudowany przez pradiadka Anny jeszcze w latach dwudziestych, kiedy rodzina była dość zamożna, i był wykwitem jego pasji architekta-amatora. Bryła przypominała tudorowskie budowle i pasowałaby świetnie do jakiejś posiadłości pochylonej nad angielskim wrzosowiskiem, lecz wśród prostych domów rolniczego miasteczka sprawiała ekscentryczne wrażenie - co nie zdawało się zresztą w najmniejszym stopniu przeszkadzać jej twórcy.

Domek ów pełen był wiktoriańskich ornamentów, boazerii i półprzeźroczystych barwionych szybek, miał solidną dębową podłogę oraz bardzo niewygodną, lecz czarującą kręconą klatkę schodową, po której wchodziło się na pierwsze piętro. Anna pamiętała czasy, kiedy domek dwa lub trzy razy w roku zamieniał się w gościnną rezydencję, w której zatrzymywali się przyjaciele matki z Atlanty. Ale wizyty te skończyły się piętnaście lat temu, podobnie zresztą jak wiele innych miłych rzeczy.

- Napijesz się kawy? - spytała, gdy matka wygło-

siła już wszystkie krytyczne uwagi, od których rozpoczynała się każda jej wizyta.

Olivia zawahała się, lecz kiwnęła potakująco głową, ruszając razem z Anną do kuchni, mieszczącej się po drugiej stronie domu.

- Jajka z bekonem na śniadanie? - Zmarszczyła brwi, przyjrzawszy się patelni.

- Właśnie tak.

Anna otworzyła kredens i uniosła się na palcach, żeby wyjąć z górnej półki porcelanowe filiżanki. Sama piła zwykle w kubku, ale wiedziała, że na matce zrobiłoby to jak najgorsze wrażenie.

- Mam nadzieję, że uważasz na dietę - usłyszała za plecami. - Wiesz sama, jak mało trzeba, żebyś utyła.

Anna ustawiła filiżanki na stole i zamknęła na chwilę oczy.

- W twoim wieku - kontynuowała matka - wydaje się, że z dnia na dzień można pozbyć się paru kilogramów. Niestety, zła dieta wchodzi w nawyk i potem trudno walczyć z nadwagą. Przyjrzyj się zdjęciom swojej babki. Na początku była miłą, trochę tylko pulchną dziewczyną, ale gdy dochodziła już do czterdziestki, przykro było na nią patrzeć. Ty masz figurę po niej, więc możesz mieć podobne kłopoty.

Anna zacisnęła palce na krawędzi stołu, starając się pohamować zniecierpliwienie. Uczyła się nie słuchać tego, co matka sączyła jej do uszu, odkąd została nastolatką. W podtekście wszystkich wygłaszanych przez Oli-

wię uwag słyszała bowiem wyraźnie nigdy nie wypowiedziany żal, że Anna nie jest taka, jak jej siostra. Brooke nigdy nie zdarzyło się być pulchną dziewczynką, od urodzenia była wysoka, szczupła i klasycznie piękna.

Teraz więc, korzystając z doświadczeń i wyuczonych sposobów, które praktykowała od tylu lat, Anna starała się zepchnąć złość i pretensje do najdalszego zakamarka mózgu i zatrzaskać za nimi drzwi. Matka chce dobrze, powtarzała sobie z uporem, zdejmując dzbanek z ekspresu i rozlewając kawę do filiżanek. Z ulgą stwierdziła, że nawet nie drżą jej ręce. Lata tresury zrobiły swoje, pomyślała.

- Naprawdę, mamó, nie sądzę, żeby zjedzona od czasu do czasu jajecznicą na bekonie zrobiła ze mnie grubasa - powiedziała nad podziw spokojnym głosem.
- Powiedz lepiej, co cię sprowadza. Bo chyba nie przyszłaś tylko po to, żeby powiedzieć mi, że nie znam się na kolorach.

Olivia zacisnęła usta. Nie chciała wcale denerwować Anny drobiazgami. Nie żałowała oczywiście tego, co powiedziała, bo pomysł pomalowania wejścia do domu w ten sposób zdawał jej się idiotyczny, a obowiązkiem matki było powiedzieć o tym córce. Naprawdę przyszła jednak po to, żeby ostrzec ją, co może się stać, jeżeli sprawy zajdą za daleko. Jakie sprawy? Cóż, temat był skomplikowany i wymagał delikatnego wstępu, dlatego też Olivia była wyjątkowo niezadowolona, że Anna tak obcesowo spytała ją o cel wizyty.

- Rozmawiałam wczoraj z Betty Hardeman - zaczęła. - Betty kieruje komitetem, który stara się zebrać środki na odbudowę starego dworu. Spytała mnie, czy chciałabym wziąć w tym udział...

- Chyba słyszałam już o tym od kogoś - odparła Anna i żeby zrobić coś z rękami, podeszła do kuchennego blatu i zaczęła robić na nim porządek. Wyczuła napięcie w głosie matki i ogarnął ją niepokój. Tknęło ją złe przeczucie i już w następnej chwili domyśliła się, z czym przyszła matka.

Betty Hardeman była ciotką DeDe Carmichael. DeDe widziała w Luanne Annę z Neillem. Co prawda DeDe nie rozmawiała z ciotką, odkąd ta bez ogródek powiedziała jej, co sądzi o lekkim prowadzeniu się siostrzenicy, jednak było prawie pewne, że DeDe podzieliła się niezwykłą nowiną z matką, ta zaś natychmiast powtórzyła wszystko siostrze.

Usiadła przy stole, wrzuciła do kawy dwie kostki cukru, zamieszała. I tak dziwne, że matka dowiedziała się dopiero teraz, pomyślała. W Loving wieści rozchodzą się lotem błyskawicy. Gdyby matka nie spoglądała na wszystkich z góry, dowiedziałyby się już następnego dnia rano, a tak zajęło jej to trzy dni.

A to nowina, pomyślała cierpko. Anna Moore prześiaduje w barze z nieznanym!

Przez chwilę obie milczały, wreszcie Anna odezwała się pierwsza:

- Przypuszczam, że Betty powiedziała ci także, że

widziano mnie na lunchu z jakimś mężczyzną, którego jak na złość nikt w całym miasteczku nie potrafił zidentyfikować.

Spojrzała na matkę. W jej oczach spostrzegła błysk zdziwienia. Olivia wiedziała, że córka jest zazwyczaj potulna i skłonna zgodzić się na wiele, by uniknąć wymówek i awantur. I oto teraz usłyszała w jej głosie buntowniczą nutę. Być może przypomniała sobie, że córka potrafi być również uparta - tak jak wtedy, gdy zdecydowała się wyprowadzić z domu. Ta myśl spowodowała, że postanowiła zmienić strategię.

- Zanim jeszcze powiedziała mi o lunchu, zdążyła opowiedzieć co nieco o samym mężczyźnie - odparła pozornie obojętnym tonem. - Neill Devlin, o ile sobie przypominam. Pisarz, któremu popsuł się motocykl. Domyślałam się, że to ten sam dżentelmen, którego spotkałaś w ubiegłym tygodniu w warsztacie Davida Freemana.

- Ten sam - odpowiedziała z wahaniem Anna.

Zbyt dobrze znała matkę, by wziąć ten życzliwy ton za dobrą monetę. Kilka dni temu sama wiadomość, że córka wdała się w rozmowę z nieznajomym, doprowadziła ją przecież prawie do hysterii.

- Widziałam się z nim później jeszcze parę razy - dodała śmiało.

- Naprawdę? - spytała Olivia z uśmiechem. O tym najwyraźniej jeszcze nie wiedziała, lecz utwierdzało ją to tylko w jej obawach: córka wplątała się

w niebezpieczną aferę, należało jej pomóc, nie było ani chwili do stracenia.

- A dziś wieczorem idę z nim do kina. - Anna spojrzała matce prosto w oczy. - Lubię go, mam. A nawet bardzo lubię. Dużo podróżował, jest interesujący, ma poczucie humoru...

Każde kolejne stwierdzenie wprawiało Olivię w coraz większą panikę, postanowiła jednak nie zmieniać taktyki.

- O ile mogę wierzyć Betty, jest także bardzo przystojny?

- Tak - tym razem Anna nie zdołała powstrzymać rumieńców napływających na policzki - rzeczywiście, bardzo atrakcyjny.

Olivia skinęła głową i uniosła powoli filiżankę, zastanawiając się nad następnym zdaniem. Starła się nadać swojemu głosowi łagodny i miły ton, mówić w sposób wskazujący na przyjacielskie zrozumienie.

- Och, wiem dobrze, co sobie myślisz... Chyba przesadziłam w ubiegłym tygodniu. Za bardzo się uniosłam, gdy zaczęliście o nim mówić. Przypuszczam, że wydaje ci się to nawet trochę śmieszne, prawda? Po tym, jak minęło piętnaście lat... - umyślnie zawiesiła głos, by dopiero po ciężkim westchnieniu podjąć przerwana wypowiedź: - Po tym, jak minęło piętnaście lat, może wydawać się, że to już całe wieki, ale ja ciągle przeżywam to, co się wtedy stało. Uwierź mi, córeczko, nie mogę zapomnieć. Próbuję i nie mogę.

- Ja też o tym pamiętam. - Anna dotknęła ramienia matki. - Wierzysz mi?

- Więc potrafisz chyba zrozumieć, dlaczego tak bardzo się o ciebie niepokoję.

- Oczywiście, że rozumiem, mamo.

Anna znów poczuła wyrzuty sumienia. Zapomniała na moment, że gra na uczuciach jest jedną ze specjalności jej matki, i proszę - Olivia już zdołała osłabić jej pewność siebie. Podobne subtelne manipulacje dziesiątki razy doprowadzały do tego, że inni robili dokładnie to, co chciała. I co jednocześnie było w jej mniemaniu najlepsze dla jej bliskich.

- Zastanawiałam się już nawet - mówiła dalej - czy może ten twój... czy może w tej sytuacji pan Devlin nie zechciałby przyjść do nas na kolację któregoś dnia. Co tym myślisz?

Sploszony wzrok córki umocnił ją w przekonaniu, że wreszcie udało jej się przejąć inicjatywę, więc szybko dodała:

- Wiem, że jestem trochę nadopiekuńcza, ale czułabym się dużo lepiej, gdybym mogła poznać mężczyznę, z którym się widzisz.

- To za dużo powiedziane - zaprotestowała Anna.
- Po prostu spotkaliśmy się kilka razy. Poza tym... on wyjeżdża... już niedługo. Pozostanie tu, dopóki Davidovi nie uda się sprowadzić części do motocykla.

- Cóż, jeżeli tak, to żadna z nas nie powinna zaprzątać sobie nim głowy. No, ale jeśli tylko pozostanie

w Loving, to będzie mi miło, gdy zaprosisz go na kolację. Czułabym się o wiele spokojniej, gdybym mogła go poznać.

- Dobrze, spytam go o to - powiedziała Anna po chwili milczenia, bezskutecznie starając się ukryć niechęć do tego pomysłu.

Naprawdę nie miała ochoty przychodzić z Neillem do matki. Czas spędzany z nim był oderwaniem się od rzeczywistości, od tego wszystkiego, co do tej pory wypełniało jej życie. Dla niego była po prostu Anną Moore, dziewczyną, która pracuje w banku i jeździ śmiesznym samochodziem o imieniu Lucy. Nie wiedział o jej życiu nic poza tym, co sama mu powiedziała. Nie patrzył na nią przez pryzmat dawnej tragedii, która przyćmiła jej życie, ani nieporozumień, które wlokły się za nią latami. Widział tylko ją, wyrwaną z kontekstu, wyjętą z tego nieciekawego obrazka, jakim było Loving. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak wiele to dla niej znaczy.

Nie mogła jednak odmówić prośbie matki. Jakakolwiek była, jej ból po stracie pierwszej córki i lęk, jaki po tym pozostał, były prawdziwe. I chociaż nie wahała się manipulować ludźmi, jej troska z pewnością nie była fałszywa.

- Dobrze, zaproszę go na kolację - powtórzyła, zmuszając się do uśmiechu.

- Dziękuję ci - w głosie matki zabrzmiało tym razem prawdziwe ciepło.

Znowu udało jej się określić mnie wokół palca, pomyślała Anna smętnie, odprowadzając matkę do drzwi. Pod tym względem nic się nie zmieniło.

Wróciła do pokoju i usiadła w fotelu, myśląc o tym, że powinna skończyć sprzątanie. Wstała, żeby odwinąć przewód zakreślony wokół fotela i zaczęła powoli odkurzać dywan, zastanawiając się, jak zareaguje Neill, kiedy przekaże mu zaproszenie na kolację.

- Ten facet był po prostu męskim szowinistą!

- Nie sądzę, żeby tak zwana „męska szowinistyczna świnia” istniała sto lat temu - zaprotestował Neill.

- Moim zdaniem ten gatunek pojawił się gdzieś w latach sześćdziesiątych. Uważam poza tym, że trzeba oddać bohaterowi sprawiedliwość i powiedzieć przynajmniej, że nie brakowało mu uczuć rodzinnych. Mógł przecież nie zauważać tego, co dzieje się z jego braćmi, a zdecydował się działać, żeby ulżyć ich cierpieniu. Jeżeli spojrzysz na to w ten sposób, z pewnością dojdziesz do wniosku, że wyprzedzał nawet w jakiś sposób swoje czasy. Nie było wtedy zbyt wielu tak wrażliwych mężczyzn.

Anna z wrażenia zatrzymała się i spojrzała na niego oburzona.

- Porwanie sześciu przestraszonych dziewcząt i przetrzymywanie ich na odludziu wśród bandy nieokrzesanych prostaków ma być dowodem wrażliwości?!

- No dobrze, może okazał się zbyt porywczy - zgodził się niechętnie Neill.

Minęli parę, która z ciekawością przyglądała się ich sprzeczce.

- Ale ci nieokrzesani prostacy - kontynuował - byli przecież jego braćmi i to właśnie troska o nich sprowadziła go na manowce.

- „Na manowce”! - Teraz Anna niemal zachłysnęła się z oburzenia. - Jeszcze chwila i powiesz mi, że był najbardziej świetlaną postacią w całym filmie!

- No cóż... - Neill zrobił krótką pauzę. - Nie posunąłbym się tak daleko, ale myślę, że były w nim szlachetne pobudki... - urwał w reakcji na szydlerczy śmiech Anny. - Tak czy inaczej, to dobrze, że dyskutujemy o społecznym przesłaniu tego filmu, nie sądzisz?

- Sądzę, że jesteś pierwszą osobą na świecie, której udało się znaleźć w „Siedmiu żonach dla siedmiu braci” jakieś społeczne przesłanie!

Neill spojrział na nią spod oka.

- Lepiej późno niż wcale - odpowiedział niewzruszony. - Poza tym nie udawaj, że sama jesteś tak mało domyślna i spostrzegawcza. Nie powiesz mi chyba, że nie dostrzegłaś wielowarstwowych znaczeń i głębi słów niektórych piosenek, na przykład „Samotny jak jenot...”

- Oraz szlachetnej melancholii ukrytej pod pozorną beztroską piosenki „Daj na górę swoją skórę” - odpowiedziała żartem na żart.

- Co do tego ostatniego nie jestem pewny - sprawnie odbił piłeczkę. - Myślę, że akurat ona mogłaby przy bliższym zbadaniu okazać się manifestem paskudnego męskiego szowinizmu.

Ich śmiech przyciągnął uwagę kilku przechodniów, wywołał na twarzach miłe uśmiechy. Budzili sympatię.

Przez większą część tygodnia uliczki Loving były o tej porze opustoszałe, lecz zmieniało się to w sobotni wieczór. Młodzi ludzie umawiali się na randki, całe rodziny wędrowały na wspólną kolację, a z kina wysypywał się co dwie godziny mały tłumek, który niespiesznie przemierzał uliczki. Mieszkańcy miasteczka spacerowali, zachodzili do barów i szukali innych sposobów miłego spędzenia wieczoru.

Anna i Neill minęli jakąś starszą parę, która w wyjątkowo zgrany sposób powłóczyła nogami, trzymając się za ręce jak dwójka kochanków. Przed nimi szli młodzi rodzice, rozdzieleni przez synka uwieszonoego na ich ramionach, który co kilka kroków zawisał na nich jak na huśtawce, wymachując jednocześnie nogami.

- Kraina pieczonych gołąbków - wymamrotał Neill, dziwiąc się w następnej sekundzie, że głośno wypowiedział te słowa. Gdy Anna spojrzała na niego pytająco, wzruszył lekko ramionami. - Mam na myśli to miasto... Czuję się tutaj, jakbym znalazł się na planie filmowym. Poważnie, zdaje mi się, że za moment usłyszę: „Kamera, stop!”, a ci wszyscy ludzie okażą się statystami...

Anna rozejrzała się, starając się zobaczyć otoczenie jego oczyma. Dla niej było to po prostu jej rodzinne miasto, miejsce, gdzie znała na pamięć każdy kamień. Wiedziała, że jest małe, prowincjonalne i trochę „nie-dzisiejsze”, ale nigdy by nie pomyślała, że dla kogoś może to mieć swoisty urok. Zdaje się, że Neill patrzył na to wszystko z rozrzewnieniem.

- Jakie ono jest? - spytała, unosząc ku niemu twarz.

- Chyba ty wiesz więcej na ten temat - odpowiedział.

- Jakie jest w twoich oczach? - sprecyzowała.

- Na tle wielkich molochów jest bardzo miłą odmianą. - Ujął ją za rękę i splótł z nią palce. - Mijamy ludzi, którzy uśmiechają się do nas, nie musimy się martwić, gdzie zostawić samochód, bo miejsca dosyć. Nie ma zbrodni, przestępców, szaleńców...

Mimo ciepłego wieczoru Anna zadrżała lekko.

- To wcale nie raj - powiedziała, czując dławienie w gardle. - Przestępstwa i zbrodnie zdarzają się nie tylko w wielkich miastach.

- Oczywiście, tyle że tutaj zdarzają się rzadziej, nie codziennie, ale... - urwał, widząc jej odmienioną nagle twarz. - O co chodzi? Czy coś się stało? - spytał.

- Nic - uśmiechnęła się z trudem, starając się powstrzymać falę przykrych wspomnień. Spojrzała mu śmiało w oczy, a w jej uśmiechu pojawiła się iskierka przekory. - Pomyślałam właśnie o tym, że wciąż nie

zrewanżowałam ci się za lunch. Może postawię ci pyszne lody, żeby wyrównać rachunek? Co ty na to?

- Pyszne lody? Niezły pomysł - odpowiedział powoli, jakby zastanawiając się nad czymś. - Chociaż muszę powiedzieć, że przychodzą mi do głowy inne formy rewanżu...

Anna spojrzała na niego pytająco, a gdy ich oczy spotkały się ze sobą, odgadła, o czym pomyślał. Poczowała ciepło napływające do policzków i odwróciła spojrzenie, jakby bojąc się, że Neill ujrzy w nim zbyt wiele. Że ujrzy w nim emocje, które szeroką falą napłynęły do jej serca.

Kino, lody waniliowe i odprowadzenie dziewczyny do jej samochodu po skończonej randce. Neill starał się sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni przeżył tak wspaniały, tak niewinny, a zarazem tak ekscytujący wieczór. Wieczór pozostawiający dreszczyk erotycznego niespełnienia. Zdaje się, że coś podobnego spotkało go jeszcze w szkole średniej.

Obejrzelі wspólnie film, potem przeszli do Luanne i jedli lody. Siedzieli i rozmawiali tak długo, aż właściciel oznajmił wreszcie, że nadszedł czas zamknięcia lokalu i odprowadził ich, ostatnich gości, do drzwi. Przez cały czas, gdy Neill był obok Anny, czuł, jak pod rozmową, śmiechem i spojrzeniami, których nie mogli oderwać od siebie, narasta napięcie; napięcie, które z czasem przemieniało się w prawdziwy głód.

Wiedział, że ona czuje podobnie. Widział błyski w jej oczach, w tych wielkich szarych oczach, którym tak trudno było ukryć uczucia i myśli. Tak, widział, co czuła, gdy delikatnie przesunął ręką po jej dłoni, a potem po policzku, odgarniając niesforny kosmyk, który spadł jej na twarz.

Nie mógł powstrzymać się od zastanawiania, czy udałoby się ją namówić, by pojechała z nim do motelu. Szanse nie były takie małe, ale ponieważ chciał od niej czegoś więcej, postanowił nie próbować.

Czego chciał? No właśnie, nie był pewny, co miałyby oznaczać owo „coś więcej”. Przez chwilę zaniepokoił się nawet, że nie kontroluje już własnych pragnień. Z drugiej jednak strony, to właśnie dzięki temu nieokreślonemu pragnieniu był w stanie opanować krnąbrne instynkty. Zresztą, dopóki nie rozumiał do końca, co czuje, postanowił nie przyspieszać niepotrzebnie biegu spraw.

- To był naprawdę piękny wieczór - powiedziała Anna, gdy doszli do jej samochodu. - Dziękuję ci, Neill.

- To ja dziękuję.

Wyglądała ślicznie. Stała przed nim w świeżutkiej koszulce w biało-niebieskie paski i zgrabnych dżinsach, z włosami spiętymi z tyłu głowy parą małych, złotych spinek. Dziękowała mu, jak grzeczna mała dziewczynka dziękuje gościom po urodzinowym przyjęciu. Nikt nie oparłby się dziewczynie, która ma tyle wdzięku.

Neill zbliżył się o krok i oparł rękę nad jej ramieniem na dachu garbusa. Oczy Anny rozszerzyły się nieco, jej oddech stał się nierówny i przez chwilę nie mogła oderwać spojrzenia od jego ust.

Co takiego w niej jest, nie mógł zrozumieć Neill. Na pierwszy rzut oka była całkiem zwyczajna, raczej nie w jego typie. Lubił wysokie, zwracające na siebie uwagę kobiety, długonogie, długowłose, o bystrych oczach, po których widać, że wiedzą, czego chcą i jakie robią wrażenie. Nie zaś wiotkie istoty o niewinnym spojrzeniu i niewinnej mince. Czy jednak kiedykolwiek przelotny uśmiech karminowych ust odebrał mu zmysły, tak jak działa się teraz? Takich ust, jakie miała Anna, jakby stworzonych do całowania, nie widział jeszcze nigdy w życiu!

Nachylił się i dotknął ich wargami.

Anna westchnęła. Znowu działo się to, o czym marzyła przez całą poprzednią noc. Marzyła o tym, odkąd Neill pocałował ją w parku dwa dni temu. Dziś nad ranem znowu niemal udało jej się przekonać samą siebie, że wymyśliła to wszystko, że to niemożliwe, że świat może kręcić się i wirować, rozbłysnąć feerią świateł i kolorów za sprawą jednego małego pocałunku. Ale to była prawda - tak właśnie się czuła.

Klucze od samochodu, które wyjęła wcześniej i ścisnęła w dłoni, wypadły na chodnik. Wczepiła się w ramię Neilla, żeby nie stracić równowagi, a on przyciągnął ją bliżej i nie odejmując ust od jej warg, całował

tak długo, aż poczuła, że niemal roztapia się w jego ramionach.

Wysiłkiem woli zmusił się, by przerwać pocałunek. Patrząc w jej twarz, znów zadał sobie to samo pytanie: co takiego jest w tej kobiecie, że on, doświadczony przecież i pozbawiony przesadnych skrupułów, nie jest w stanie posunąć się dalej; że kontroluje się i trzyma żądze na wodzy, podczas gdy z każdą inną kobietą nie zawahałby się zapewne iść na całość. Był rozpalony, płonął namiętnością, był gotów unieść ją w ramionach i posiąść natychmiast. A jednak za każdym razem potrafił się zatrzymać. I oto teraz, tak jak poprzednio, Anna drżała przytulona do niego, a on czule przesuwiał dłońią po jej włosach.

W chwilę później wypuścił ją delikatnie z objęć i odsunął się o krok. Przekłęte skrupuły, pomyślał i schylił się, żeby podnieść klucze z chodnika.

- Wracaj do domu - powiedział, wciskając jej klucze w garść.

- T-tak - wyjąkała, patrząc na nie, jakby nie była pewna, do czego służą.

Po chwili nieporadnego mocowania się z zamkiem udało się jej wreszcie otworzyć drzwi. Neill wsunął ręce do kieszeni i stał obok z zamyśloną miną. Nim weszła do auta, odwróciła się jeszcze i spojrzała na niego z wahaniem.

- Czy... czy podwieźć cię do motelu?

- Nie, dziękuję. Chyba dobrze mi zrobi mały spacer.

Neill nie ufał sobie na tyle, by narażać swoją wolę na jeszcze jedną próbę. Ale gdy Anna odwróciła się już, przytrzymał w ostatniej chwili drzwi i spytał:

- Zjesz jutro ze mną obiad?

- Ja... - Anna przypomniała sobie nagle obietnicę daną matce. - Chciałabym, ale... my... jemy zawsze z bratem niedzielny obiad u rodziców. Zapomniałam ci powiedzieć...

- Nic nie szkodzi.

- Zapomniałam powiedzieć, że moja matka poprosiła mnie, żebym zaprosiła ciebie w jej imieniu.

- Twoja matka? - Neill uniósł zdziwiony brwi i Anna poczuła, że się rumieni.

- Ona słyszała... to znaczy... powiedziałam jej kiedyś, że się spotkaliśmy, a wtedy powiedziała, że chciałyby cię poznać.

Czuła, że jej twarz płonie. Była już tak przyzwyczajona do tego, że rodzina, a właściwie matka, dogląda wszystkiego, co dzieje się w jej życiu, że dopiero w momencie, gdy wypowiedziała ostatnie zdanie, dotarło do niej, jak dziwne mogło to zrobić wrażenie. Czy normalna dwudziestopięcioletnia kobieta przyprowadza na obiad do rodziców faceta, którego poznała zaledwie kilka dni wcześniej?

Neill przez chwilę zastanawiał się nad zaproszeniem. Zwyczaje mogły co prawda zmienić się ostatnio, ale wizyta u rodziców dziewczyny zawsze pozostawała oficjalną deklaracją. To nic, pomyślał. Właściwie był

nawet ciekaw, jak wygląda taki niedzielny rodzinny obiad w Loving. Powiedział jej przecież sporo o swojej rodzinie, a Anna tak niewiele mówiła o własnej. Może przyszedł czas, żeby bliżej ją poznać?

- Oczywiście - uśmiechnął się. - Chętnie do was przyjdę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

To już tydzień, pomyślał ze zdziwieniem Neill, przyglądając się nielicznym samochodom wjeżdżającym i wyjeżdżającym ze stacji benzynowej przylegającej do warsztatu Davida Freemana. Tydzień temu pchał w pocie czoła motocykl wzdłuż drogi zagubionej wśród pól kukurydzy i marzył, żeby jak najprędzej znaleźć się na pokładzie samolotu, który zabierze go jak najprędzej z tej przeklętej ziemi. Teraz wystarczyło, żeby odwrócił głowę, i widział te same pola, tyle że w ich widoku nie było już nic wstrętnego. Był nawet skłonny wyobrazić sobie, że jest coś majestatycznego w tych bezkresnych rzędach zielonych łodyg zwieńczonych kolbami w kolorze złota.

Gorące powietrze zdawało się zastygać w bezruchu, z czystego nieba pozbawionego jakiegokolwiek chmurki lał się żar. Neill spędził kilka wieczorów w jednym z lokalnych barów, sącząc piwo i przysłuchując się niespiesznym rozmowom, wiedział więc, że ludzie zaczynają martwić się o deszcz - czy spadnie go tyle, ile trzeba, i czy przyjdzie na czas, żeby uchronić uprawy przed wyschnięciem. Czasami w środku lata spadał

tu podobno grad. Kukurydza była już niemal gotowa do żniw, więc grad nie byłby takim nieszczęściem jak wcześniej, gdy rośliny nie były jeszcze dość silne, by mu się oprzeć. Dowiedział się też o tym, że Milt Bowdrie przeszedł operację prostaty i że najmłodsza córka Lewisa dostała stypendium w jakimś modnym college'u na Wschodzie, a także wysłuchał plotek na temat Sally Ann Weaver, której rzekoma wyprawa do rodziny w miasteczku Bismarck nie była niczym innym, jak kamuflażem mającym ukryć, że zamierza sobie po kryjomu wstawić implanty.

Każdy, kto naiwnie sądził, że plotkowanie jest domeną kobiet, powinien pójść do pubu i spędzić popołudnie w sali bilardowej, pomyślał z ironicznym uśmiechem. Ujrzał, jak wielka niebieska cysterna wyjeżdża powoli ze stacji benzynowej i pomachał ręką kierowcy. Ten odpowiedział uśmiechem i również pomachał przyjacielsko dłonią, a Neill po raz kolejny pomyślał, że takie gesty przychodzą tu ludziom znacznie łatwiej niż w Seattle.

Spokój, tak chyba można by nazwać to, co czuł. Nie był to stan, którego doświadczał zbyt często w ciągu ostatnich lat. Owszem, przeżywał chwile entuzjizmu, jak wtedy, kiedy udało mu się wydać pierwszą książkę, i potem, gdy patrzył z ekscytacją, jak ta uparcie wspina się w górę listy bestsellerów „New York Timesa”. Później przyszła druga, którą udowodnił sobie, że to, co się stało, było czymś więcej niż tylko

przysłowiowym łutem szczęścia, i że wreszcie znalazł coś, co chciałby robić do końca życia.

Byłoby kłamstwem, gdyby powiedział, że był nie-szczęśliwy, ale ostatnio coraz dotkliwiej czuł, że w jego życiu czegoś brakuje. Jak zgrany refren raz po raz powracało pytanie: czy to wszystko, czego można się spodziewać? Czy wyrósł już z młodzieńczych złudzeń i zobaczył po prostu życie takim, jakim jest naprawdę? A może chciał od niego zbyt wiele?

W ciągu ostatniego tygodnia zdał sobie sprawę, że problem leży zupełnie gdzie indziej. Nie chodziło wcale o to, że chciał więcej, ale o to, że pragnął czegoś innego. Tak, pragnął odmiany. Był dla niej gotów zrezygnować nawet z tego i owego, mieć mniej niż mieściło się w stereotypowych wyobrażeniach o sukcesie i karierze. Z wielką jasnością zdał sobie sprawę, jak bardzo kocha pisanie i że właśnie dlatego powinien pisać o tym, co ma do powiedzenia, a nie to, czego oczekują od niego wydawcy.

Historia, którą zaczął układać tamtego popołudnia, nie zniknęła z pamięci jego komputera, lecz rozwijała się, przyciągając coraz bardziej uwagę i nie pozostawiając mu innego wyboru, jak tylko pisać dalej. Nie miał pojęcia, co z nią zrobi, gdy dobiegnie końca, ale na razie było mu to obojętne. Radość z tworzenia była wystarczająca, by nie pytać o więcej.

- Czy możesz mi pomóc? - usłyszał za plecami głos Davida Freemana.

Odwrócił się do drzwi i ruszył w głąb warsztatu, gdzie David składał silnik jakiegoś starego pickupa. Silnik, zawieszony na prowadnicy, miał lada moment zostać opuszczony z powrotem do samochodu.

- Naprowadź go z lewej strony - poprosił David, kładąc rękę na lewarku hydraulicznego podnośnika.

- Mam go - sapnął Neill, pilnując, by motor oparł się dokładnie tam, gdzie trzeba.

Ano właśnie, tego także mu brakowało przez ostatnie lata. Pobrudzonych smarem rąk, zapachu spalin i oleju, zadowolenia, które może przynieść tworzenie czegoś własnymi rękami. Po kilku dniach w Loving Neill rozwinął zwyczaj, by po porannym pisaniu wędrować do garażu i pomagać Davidowi - w czymkolwiek. Jeżeli nawet Freeman dziwił się tym, że nie płacąc ani centa, wzbogacił się nagle o niespodziewanego pomocnika, nie powiedział ani słowa. Gdy zaś stwierdził, że Neill potrafi odróżnić gaźnik od pompy paliwa i nie pyta, do czego służy prądnicą, pozwolił mu przychodzić i dał mu spokój.

- Gdybym miał zgadywać wiek tego grata, powiedziałbym, że ma tyle lat, co mój dziadek - skomentował, gdy już skończyli mocować się z silnikiem.

- Czy nie sądzisz, że przydałaby mu się przynajmniej częściowa wymiana podwozia?

- Bill Brent kupił go chyba w 1955. Takie auto kosztowało wtedy parę tysięcy. Jeżeli wierzyć temu, co usłyszałem od ojca, przez następnych piętnaście lat

nie przestawał opowiadać o tym, jak to w salonie zdarli z niego skórę,. Potem wstawił do niego nowy silnik i przez następnych pięć lat nie przestawał narzekać, że musiał wymienić stary już po dwustu pięćdziesięciu tysiącach kilometrów. Od tamtego czasu narzeka po każdej naprawie i po każdym przeglądzie - najpierw u ojca, a potem, kiedy przejąłem warsztat, u mnie. Przyprawia go tutaj co rok i za każdym razem marudzi. Ale powiem ci coś, Neill, tak naprawdę ten staruch jeździ jeszcze całkiem dobrze tylko dlatego, że Bill dba o niego bardziej niż o własną żonę. Zresztą wcale mu się nie dziwię.

Neill spojrział na niego spod oka.

- Roberta ma twarz, jakby spadła z kolczastego drzewa, zawadzając po drodze o wszystkie gałęzie - wyjaśnił David. - A jak się odezwie, masz bracie wrażenie, że wszystkie szklanki rozlecą się zaraz w kredensie. Zresztą jak już mówi, to zrzędzi niemiłosiernie, tak jak on.

- To dobrze się dobrali.

- Jasne, ale kiedy Bill zrzędzi, to nie aż tak. Człowiekowi przynajmniej nie puchną uszy.

Przez dłuższą chwilę pracowali w milczeniu. Neill przypomniał sobie dawne lata - kiedy był jeszcze w szkole średniej, spędził całe wakacje, pracując w warsztacie. Zarobił wtedy tyle, że udało mu się kupić pierwszy samochód: stary camaro ze zwijanym dachem, który sam doprowadził do stanu używalności.

Nie pamiętał, by kiedykolwiek w życiu był bardziej dumny z jakiegokolwiek innego nabytku.

Skończyli robotę i Neill sięgnął po wiszącą na haku szmatę, by wyczyścić zatłuszczone smarem palce. Kto wie, gdyby miał warsztat, może sam zabrałby się do zreperowania swojej starej indyany?

- Słyszałem, że spotykasz się z Anną Moore - odezwał się niespodziewanie David, nie odwracając wzroku od silnika.

Neill zmarszczył czoło. Z tonu, jakim David zadał to pytanie, nie sposób było stwierdzić, czy zawiera jakieś podteksty.

- W miasteczku tej wielkości niewiele rzeczy może umknąć uwadze?

- Zgadłeś - odparł David i spojrzał na niego badawczo. - Znam Annę prawie od urodzenia.

- I co w związku z tym?

- I nie chciałbym, żeby ktokolwiek ją zranił.

To wypowiedziane wprost ostrzeżenie nie pozostawiało wątpliwości, że David bacznie ich obserwuje. Cóż, Neill martwił się o to samo, też nie chciał, by ktokolwiek ją zranił. Nie trzeba było wielu lat znajomości, żeby zobaczyć w Annie wrażliwą i delikatną kobietę, niemal zupełnie pozbawioną pancerza, za którym ludzie chronią się przed ciosami, których prędzej czy później nie szczędzi im życie.

- Myślałem, że Anna ma już brata, który się o nią troszczy - rzucił Neill.

- Połowa tego miasteczka uważa się za jej braci. Wszyscy tu wiemy, że wystarczająco dużo się nacierpiała.

Neill obrócił gwałtownie głowę i wbił w Davida pytające spojrzenie.

- Ktoś ją skrzywdził?

- To było wiele lat temu. Najlepiej o tym zapomnieć. - David znów pochylił się nad silnikiem, skupiając całą uwagę na dokręcaniu kolejnej śruby. Jednak po kilku sekundach uniósł spojrzenie i Neill spostrzegł w nim tłumiony gniew. - To niby nie mój interes, ale nic nie poradzę, że czuję się za to odpowiedzialny...

- Za co?

- Żeby nie powtórzyło się coś, co przytrafiło się kiedyś w tej rodzinie.

- Myślisz o mnie?

- Raczej o niej.

Neill westchnął ciężko. W głosie Davida słyszał szczerłość, więc i on postanowił być szczerzy.

- Sam nie wiem, dokąd zmierza to wszystko. Faktem jest - zawahał się - że coś się między nami zaczęło. Ale wiem na pewno, że zranienie jej jest ostatnią rzeczą, na którą mam ochotę.

- Z twojej miny widzę, że prędeż mi przywalisz po szczęce? - David uśmiechnął się nieznacznie.

- Wolę walić w nos. Ręka mniej boli - odparował Neill i obaj zarechotali głośnym, męskim śmiechem.

David ponownie zajął się silnikiem, lecz Neill po-

stanowił wykorzystać okazję i dowiedzieć się czegoś więcej o sprawie, która go zafrapowała.

- Opowiedz mi o tym - poprosił, opierając się o maskę po przeciwnej stronie i patrząc na pochyloną głowę Davida.

- Po co?

- Wpadniesz do kanału, kiedy ci powiem. Bo jutro idę do nich na kolację.

David zastygł przez moment w bezruchu i spojrzał na niego zdumiony.

- Weź ze sobą kamizelkę kuloodporną - powiedział po chwili, ale chyba zaraz tego pożałował.

- Kamizelkę? - Neill znów zmarszczył czoło. Mógł spodziewać się różnych rzeczy, ale nie takiej odpowiedzi. - Niby dlaczego? Czy spotkam tam zazdrosnego ojca-despotę z dubeltówką pod stołem?

- Skąd - uśmiechnął się David. - Doktor Moore nie odróżniłby dubeltówki od kija baseballowego. Jedynie, czego możesz się po nim spodziewać, to że siedząc po drugiej stronie stołu, zapomni na amen o twoim istnieniu.

- Spotkałem już brata Anny. Przyznaję, mundur i pistolet zrobiły na mnie pewne wrażenie, ale nie wyglądał na faceta, który najpierw strzela, a potem zadaje pytania.

- Jack też jest w porządku. Chodziliśmy razem do szkoły. Zmienił się przez te lata, ale... nadal jest w porządku.

Pozostała więc tylko matka, pomyślał Neill.

- A matka? - zapytał od razu. - Czy jest czarownicą, która znika podczas pełni księżyca wśród pól kukurydzy? Żuje tytoń i pluje do talerza? A może wydłubuje sobie nożem z zębów resztki jedzenia?

- Czarownica? Nic o tym nie wiem - odpowiedział David, jakby nie rozumiejąc żartu.

- A co wiesz?

- Że mieszka tu od czterdziestu lat i przeszła przez ten czas na „ty” może z dwojgiem lub trojgiem ludzi w miasteczku.

- To ciekawe - zainteresował się Neill. W takich miasteczkach wszyscy są ze sobą na „ty”. Jeżeli matce Anny udało się zachować dystans wobec mieszkańców Loving, to znaczy, że musi mieć wyjątkowo wysokie mniemanie o sobie. Jaka więc jest? Nieprzystępna, wyniosła? Jeśli tak, to jakim cudem wychowała tak ciepłą i wrażliwą dziewczynę jak Anna?

Chciał o to zapytać, ale David odezwał się pierwszy:

- Chyba niepotrzebnie powiedziałem ci to wszystko.

- Dlaczego? Poza tym sam spytałem. - Neill odsunął się od maski i postanowił zmienić temat. - W mieście nie ma chyba żadnej wypożyczalni samochodów, prawda?

- Nikt by tu z tego nie wyżył. Wszyscy mają własne wozy. A co, chciałeś gdzieś pojechać?

Neill wzruszył ramionami.

- Nie myślałem o żadnym konkretnym miejscu. Po prostu zmęczyłem się już kręceniem po mieście.

W istocie chodziło mu o coś innego. Choć wiedział, że niektóre jego męskie przesady są śmieszne, nie miał ochoty na to, by Anna podwoziła go własnym samochodem na rodzinną kolację. Nie mógł pozbyć się myśli, że to on powinien zabrać ją z domu.

Typowy przykład męskiego szowinizmu, pomyślał. Tak nazwałaby to Anna. I całkiem słusznie.

David wyprostował się i sięgnął do kieszeni bluzy, żeby wyciągnąć stamtąd szmatę. Wycierając ręce, przez chwilę przyglądał się Neillovi w milczeniu.

- Mam chyba coś, co mógłbym ci pożyczyć - powiedział wreszcie. - Nie jeździłem nim już szmat czasu, ale wóz powinien być na chodzie.

- Nie jestem wybredny - zapewnił Neill bez zastanowienia. - Wystarczy mi kierownica i cztery koła.

David zaśmiał się wesoło.

- Ten wóz ma więcej. Chodź, sam zobaczysz.

- David pożyczył ci swoją corvette?! - spytała Anna, patrząc z niedowierzaniem na czerwony sportowy samochód stojący przed domem.

Gdy zobaczyła przez okno, jak dobrze znane jej auto wjeżdża na podjazd, serce w niej zamarło. Myślała, że to David przyjechał, by powiedzieć, że Neill opuścił miasto. I nawet gdy zobaczyła już szczupłą sylwetkę

Neilla unosząc się znad kierownicy, nie była w stanie pozbyć się lęku. Dłuższą chwilę zajęło jej odzyskanie równowagi i złożenie w jedną całość elementów tej układanki.

- David nigdy nie pożycza nikomu tego auta - stwierdziła na poły z podziwem, na poły z niedowierzaniem.

- Wiem. Powiedział mi to samo.

Neill przesunął pieszczotliwie ręką po masce samochodu, a ona nie mogła oprzeć się pokusie, by nie wyobrazić sobie, jak z równie wniebowziętą miną dotyka jej ciało.

- Powiedział mi też, że kupił go za marne grosze od jakiejś starej damy w Arkansas. Jej mąż uciekł trzydzieści lat wcześniej z jakąś młodą przedszkolanką i przez cały ten czas samochód stał pod gołym niebem na podwórku. Czy wyobrażasz to sobie? Oryginalny 65 Stingray coupe trzymany na deszczu i śniegu przez trzydzieści lat?!

Neill był tak bardzo tym wstrząśnięty, że Anna przygryzła wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Pamiętam, że wyglądał jak wrak, kiedy przyholował go do Loving. Pomyślałam wtedy, że może rzeczywiście powinien oddać go na złom - powiedziała, przyglądając się z zaciekawieniem, jak Neill przyjmie tę prowokację.

- Żartujesz chyba?! - Spojrzał na nią z oburzeniem pomieszanim ze zgrozą. - Czy zdajesz sobie

sprawę, co to jest? Przed tobą stoi sportowy model ze zwijanym dachem. Ma silnik turbo-jet V8 o pojemności sześciu litrów! 425 koni mechanicznych, pięć biegów i automatyczna regulacja zaworów! Zrobiono takich modeli tylko kilkaset! Ma takie przyspieszenie, że... - urwał nagle, widząc rozbawioną minę Anny. - No tak, chyba trochę mnie poniosło - dokończył tonem skarconego chłopca.

- W porządku, mów. Rozumiałam wszystko do momentu składanego dachu, bo to widzę na własne oczy. Ale potem trochę się pogubiłam. Zdaje się, że wszystko sprowadza się do faktu, że jeździ to-to cholernie szybko, czy tak?

- Mniej więcej. Pomyślałem, że może wybralibyśmy się nim w poniedziałek lub we wtorek na dłuższą wycieczkę. Zwinąłbym dach i zobaczylibyśmy, co ta maszyna naprawdę potrafi.

Anna uśmiechnęła się pogodnie. To była miła wiadomość. Nie tyle rozważania o zwijaniu dachu i pędzeniu wśród tumanów kurzu, co nowina, że Neill zostanie tu jeszcze na przyszły tydzień.

- A więc powiedz mi teraz, gdzie mieszkają twoi rodzice. - Wziął ją za rękę. - Czy przespacerujemy się tam, czy pojedziemy autem?

- To blisko, chodźmy na piechotę. Nie zajmie to dłużej niż dziesięć minut. Wezmę tylko klucze, zamknę dom i ruszamy.

Neill przyglądał się, jak znika w drzwiach. Miała

na sobie jedną z tych prostych, zgrabnych sukienek, w które najbardziej lubiła się ubierać - tym razem błękitną, bez rękawów, ze skromnym dekoltem. Wyglądała w niej tak niewinnie, naturalnie i słodko, jakby cały ten strój był częścią jej ciała.

Niewinnie? Więc dlaczego jedyną rzeczą, o której mógł teraz myśleć, było odgadywanie, co też kryje się pod spodem owej sukienki?

Zły, że znowu wystarcza jedna myśl, żeby rozpałił się jak osiemnastoletni szczeniak, Neill odwrócił się na pięcie i zaczął spacerować przed domem, starając się skupić myśli na czymś bezpiecznym. Na czymś innym niż jej długie, cudowne nogi, oplatające się wokół jego bioder, albo sposób, w jaki jej piersi...

Zaklął cicho pod nosem i zdeterminowany zapanować nad rozbrykanymi myślami, postarał się skupić całą uwagę na stojącym przed nim domku. Miał przed sobą bez wątpienia niezwykłą budowlę - dwupiętrowy fronton pełen łuków i ceglanych sterczyn, różowe okiennice, wysunięty do przodu portyk z kolumnkami oplecionymi przez róże. Wszystko to przypominało jakiś zamek z bajki o śpiącej królewnie. Różany pałacyk, domek zaczarowanej róży...

Teren wokół budynku otoczony był przez ogrodzenie z drewnianych palików, do którego przylegała schowana nieco z tyłu altanka - również opleciona przez róże. Róże zresztą ciągnęły się także wzdłuż płotu i podchodziły pod sam dom. Były rozmaitych ko-

lorów i kształtów, a wszędzie wokół unosił się ich lekki zapach, który docierał do niego silniej za każdym razem, gdy wietrzyk poruszał powietrze. Gdy zaś Anna wyszła wreszcie z domu, Neill pomyślał, że ona i ten dom stanowią całość, niczym obraz z bajkowej opowieści o księżniczce ukrytej w różanym ogrodzie.

Wyszedł naprzeciw i podał jej rękę, a ona spojrzała na niego pytająco. Nie wiedział, czego dotyczyło to pytanie i nie znał również odpowiedzi. Jedyne, co wiedział, to że chce znowu poczuć smak jej ust i usłyszeć to słodkie westchnienie, które rozlegało się za każdym razem, gdy brakowało jej tchu i zawisała bezwolnie w jego ramionach.

- Czy pokazać ci moją altankę? - spytała.

Poczuł, jak ogarnia go namiętność. Czyżby Anna wybrała właśnie miejsce, w którym mógłby pocałować swoją księżniczkę? Czy zaprowadzi go tam, gdzie wśród kwiatów i brzęczenia pszczół będzie mógł napić się wreszcie do syta z naczynia rozkoszy?

Ujrzał, jak wpatrzona w niego oczy rozszerzają się powoli, i ujął ostrożnie w dłonie jej głowę. Spojrzenie Anny zmaćniło się, zakręcone rzęsy zasłoniły oczy, usta rozchyliły się leciutko...

Całował ją długo, żarliwie, z czułością, od której serce Anny zdawało się zwalniać, zatrzymywać. Jej dłonie uchwyciły się rozpaczliwie jego nadgarstków, jakby czuła, że bez tego rozplynie się i zniknie. Pocałunek trwał, trwał i nie mógł się skończyć, a gdy

wreszcie zabrakło im tchu, ich usta rozstały się ze sobą z równym trudem, jak trudno im było wyobrazić sobie opuszczenie tego czarodziejskiego świata, w którym chcieli pozostać na zawsze. Gdy Neill odsunął się nieco, ujrzała w jego błękitnych oczach czułość i pytanie, którego nie potrafiła odczytać.

Czy pytał ją, czy to, co dzieje się między nimi, może trwać całe wieki?

Stali tak wpatrzeni w siebie długą chwilę, a gdy wreszcie minęło największe oszołomienie, Anna ujrzała w oczach Neilla tak dobrze jej znany zawadiacki uśmiech. Pogładził ją czule kciukiem po policzku i wypuścił z ramion, a ona poczuła się nagle tak, jakby zabrakło jej życiowego oparcia.

Żadne z nich się nie odezwało. Neill ujął bez słowa jej dłoń i ruszyli w kierunku bramy, był zatopić się w zapadający powoli sierpniowy zmierzch.

Niedzielną kolacją w zagubionym wśród pól miasteczku. ..

Wypowiedzianemu w myślach zdaniu towarzyszył sielankowy obrazek, który pojawił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki - oto rodzina zebrana wokół wielkiego dębowego stołu, rozmowy i śmiech towarzyszące przesuwaniu półmiska z pieczonym kurczakiem, talerza białych placuszków i czarki z sosem. Zasłony w biało-czerwoną kratkę poruszające się delikatnie w drzwiach otwartych na ogród, lekkie muś-

nięcia wpadającego stamtąd ciepłego wiatru, świergotanie ptaków, mała weranda z bujanymi wiklinowymi fotelami, na którą cała rodzina przenosi się po kolacji, żeby sączyć lemoniadę. Może jakaś huśtawka, na której bawią się dzieci, albo hamak, w którym sennie kołysze się senior rodziny. Może zapach fajki lub cygar...

Rzeczywistość różniła się jednak od tego obrazu. Stół był nie z matowego dębu, ale z mahoniu na wysoki połysk, w wypielegnowanym salonie przeważały chłodne odcienie szarości i lila, czyniąc go bardziej eleganckim niż przytulnym, a lekki szum sprawnie działającej klimatyzacji zastąpił zefirek z ogrodu i świergotanie ptaków. Zamiast werandy przed domem były dwie kolumnienki zwieńczone tympanonem, przed którymi w żaden sposób nie można było wyobrazić sobie rodziny Moore'ów zasiadającej w wiklinowych fotelach i oddającej się leniwej pogawędce.

Podczas oczekiwania na podanie kolejnych dań rozmowa nie kleiła się. Po kilku pytaniach, jak każde z nich spędziło tydzień, krótkich wzmiankach o pogodzie i wyznaniu doktora Moore'a, że recepcjonistka w jego gabinecie myśli już o odejściu na emeryturę, tematy chwilowo się wyczerpały. Neill nie mógł powstrzymać się, by mimowolnie nie porównać tego spotkania ze spotkaniami w gronie własnej rodziny, podczas których trudno było czasami dokończyć zdanie, by nie zostało ono przerwane przez jakiś komentarz czy uwagę. Przez chwilę zastanowił się nawet, czy

ktoś kiedykolwiek śmieje się w tym chłodnym, choć eleganckim pokoju. Z pewnością nie dzieje się to bez pozwolenia pani domu, rozstrzygnął, patrząc na siedzącą po drugiej stronie stołu Olivie Moore.

Po porannej rozmowie w warsztacie nie zastanawiał się już nad rodziną Anny. Wiedział, że jej rodzice mieszkają w Loving od niepamiętnych czasów, ale nie miał powodu, żeby próbować wyobrazić sobie coś więcej. Kilka zdań wypowiedzianych przez Davida wydało mu się interesujących, ale zgodnie ze swym zwyczajem postanowił nie przywiązywać się do cudzych opinii i wyrobić sobie własną. Teraz, kiedy już siedział z Moore'ami przy rodzinnym stole, uderzyła go trafność wszystkiego, co usłyszał.

Ojciec Anny był trochę więcej niż średniego wzrostu, miał lekko przygarbione ramiona i bujną czuprynę przetykanych siwizną włosów. Wyglądał dokładnie tak, jak można by wyobrazić sobie lekarza na prowincji. Uprzejmie przywitał się z nim, gdy Anna przedstawiła ich sobie, nalał mu aperitif, po czym zatopił się w miękkim fotelu i od tej chwili wycofał się w świat swoich myśli. Osobowość doktora Moore'a była tak bardzo odmienna od charakteru jego żony, że pewne jego zachowania czy odruchy wydały się Neillowi skutkiem naturalnego instynktu samozachowawczego, wyćwiczonego przez trzydzieści lat małżeństwa.

Z niewiadomych powodów Neill wyobrażał sobie, że Anna jest o dwadzieścia pięć lat młodszą repliką

własnej matki, ale widząc je teraz obok siebie, stwierdził, że oprócz płci trudno jest znaleźć inne wspólne cechy. Olivia była wyższa, szczuplejszej budowy, miała blond włosy o popielatym odcieniu, zadbane tak starannie, że trudno było wyśledzić na nich jakikolwiek ślad siwizny. Ubierała się z taką samą chłodną elegancją, z jaką urządziła swój dom. Gdyby nie wiedział, że ma już z pewnością pięćdziesiąt kilka lat, dałby jej najwyżej czterdziestkę. W zmaganiach z wiekiem matka Anny wychodziła niewątpliwie obronną ręką, a patrząc na nią, nie miał wątpliwości, że ma przed sobą kobietę, która w młodości musiała wyróżniać się niezwykłą urodą. Nawet teraz wciąż była atrakcyjna, choć brakowało jej ciepła i serdeczności, które Neill przyzwyczał się uważać za typowe dla kobiet w jej wieku.

Gdy Anna przedstawiła go Olivii, jej oczy dały mu do zrozumienia, że jest tu tak samo mile widziany, jak zabłąkany truteń.

- Pan Devlin? Bardzo miło pana poznać - przywitała się. - Wiem, że gości pan w mieście z powodu nieszczęśliwego incydentu z motocyklem. Czy kiedy naprawa będzie skończona, wyruszy pan zaraz w drogę?

Inaczej mówiąc: „zmykaj stąd czym prędzej, kochasiu”, pomyślał cierpko Neill. Bezceremonialność Olivii zaskoczyła go, ale też rozbawiła. Natychmiast zaczął się zastanawiać, czy też Olivia nie zaprosiła go wyłącznie po to, żeby dać mu do zrozumienia, że po-

winien trzymać się z dala od jej kochanej córeczki. A może były i inne powody. Spoglądając w jej niebieskie, lodowato chłodne oczy, zdał sobie sprawę, że nie sposób zbyt wiele z nich wyczytać.

- Trudno powiedzieć - odrzekł, wytrzymując twarde spojrzenie. - Na razie brakuje kilku części. Mogą się pojawić równie dobrze jutro, jak za tydzień.

Uśmiechnął się jowialnie, jakby chciał dać do zrozumienia, że perspektywa dłuższego pozostania w miasteczku nie przeraża go ani trochę.

- Na szczęście nie mam w tej chwili żadnych zobowiązań - dodał.

- A nie ma pan kogoś z rodziny albo przyjaciela, który mógłby po pana przyjechać?

- Mamo... - wtrąciła z zażenowaniem Anna.

- Nie mówię chyba niczego niestosownego? - Matka spojrzała na nią, marszcząc surowo brwi. - Podpowiadam tylko rozwiązanie, o którym pan Devlin mógł nie pomyśleć. Nie ma przecież powodu, żeby bez potrzeby przedłużał swój przymusowy pobyt w Loving.

Anna zaczerwieniła się, a Neill stracił resztkę rozbawienia, które pojawiło się na początku rozmowy. Dotknął lekko dłoni stojącej obok Anny i odparował:

- Właściwie nie planuję szybkiego wyjazdu. Nawet jeśli David upora się z motocyklem.

Usta Olivii wygięły się w ironicznym uśmiešku.

- Ciekawa jestem, czy nie zmieni pan zdania, gdy

już wskoczy pan na siodełko swojego ukochanego pojazdu.

- Chyba nie - odpowiedział i widząc, że atmosfera staje się zbyt napięta, postanowił załagodzić ją uśmiechem.

Nie wyglądało na to, że Olivia uważa temat za wyczerpany, jednak rozmowę przerwało nagłe wejście Jacka. Towarzyszyła mu kobieta, która w przedziwny sposób zdawała się nie pasować do reszty otoczenia: burza rudych włosów na głowie, zmierzwionych w wystudiowanym, artystycznym nieładzie, leginsy w odblaskowym pomarańczowym kolorze, cytrynowa jedwabna koszula na tyle luźna i długa, że można było ją wziąć za sukienkę - żaden z elementów garderoby nie pozostawiał wątpliwości, że gość nie dzieli zbyt wielu upodobań z panią domu. Obrazu dopełniały wielkie złote kolczyki zwisające z jej uszu, para złotych sandałów nabijanych guzami z kamienia reńskiego oraz pomalowane opalizującym lakierem paznokcie.

Gdy dokonano prezentacji, Neill dowiedział się, że ma przed sobą Lisę Remington, która wróciła do rodzinnego miasta dwa lata temu, spędziwszy wcześniej dziesięć lat w Kalifornii. Polubił ją od pierwszego wejścia, zwłaszcza gdy okazało się, że Olivia traktuje ją równie chłodno, jak jego. Wkrótce okazało się, że obydwie panie rzeczywiście nie darzą się sympatią. Olivia zadała z pozornym zainteresowaniem pytanie

„jak tam twój mały interes”, który, jak Neill domyślił się po paru minutach, polegał na projektowaniu kapeluszy. Lisa zrewanżowała się pozornie nie dotyczącą rozmówczyni informacją, że widziała reklamę kremu, który, w myśl zapewnień producenta, usuwa po pół roku prawie wszystkie zmarszczki i ma się okazać wybawieniem dla starszych pań szczególnie zatroskanych o swój wygląd.

Olivia zachwyciła się następnie czarującym strojem Lisy, który „niewątpliwie przyciąga uwagę i zapewnia bezpieczeństwo w czasie przechodzenia przez jezdnię”, na co Lisa podziękowała za komplement i zdobyła się na wyznanie, że bardzo zazdrości paniom w średnim wieku tego, że mogą przestać ubierać się w żywe kolory i świetnie wyglądają w szarościach i brązach.

Zupełnie jak mecz w Wimbledonie, pomyślał Neill. Z tą różnicą że tenisiści, zamiast strzelać loby i smecze, przerzucają nad siatką kąśliwe uwagi. Kolacja miała jak na razie niewiele wspólnego z miłym rodzinnym spotkaniem, jakie sobie wyobraził, ale musiał przyznać, że posiadała walory zajmującego widowiska. Kobiety wydawały się godnymi partnerkami i żadna nie oddawała pola. Gdyby miał być sędzią, przyznałby co prawda lekką przewagę Lisie, a to głównie z tego powodu, że podobnie jak on, dostrzegała w całym widowisku elementy groteski i patrzyła na nie z lekkim dystansem. Spotykając od czasu do czasu jej spojrze-

nie, z trudem powstrzymywał się, by nie wybuchnąć śmiechem.

Tak, Lisa była osobą, którą z pewnością mógł polubić. Do głowy przyszło mu jednocześnie pytanie, co łączy ją z mężczyzną siedzącym u jej boku.

Jack nie wnosił do rozmowy właściwie nic, choć było widać, że śledzi jej przebieg, czego nie można było powiedzieć o jego ojcu. Brat Anny obserwował jednak słowną szermierkę z umiarkowanym zainteresowaniem, pilnując za to uważnie, by kieliszki gości - i jego własny - wypełniały się w regularnych odstępach winem.

Właściwy pisarzom zmysł obserwacji pozwalał Neillowi domyśleć się więcej niż przeciętnemu obserwatorowi tego rodzinnego spotkania. Patrzył na zebrane wokół stołu indywidua i z fascynacją odkrywał podskórne prądy, jakie zdawały się krążyć między członkami rodziny. Od razu się zorientował, że Anna nie widzi w wymianie ciosów między Lisa i matką niczego zabawnego. Widząc jej skrępowanie, odszukał pod stołem jej dłoń i ścisnął ją w solidarnym geście. W uśmiechu, którym mu odpowiedziała, pojawiła się żałosna nuta.

Olivia dostrzegła tę wymianę spojrzeń i mocniej zacisnęła usta. Zapraszając Neilla Devlina do swego domu, chciała upewnić się co do swoich podejrzeń. Intuicja podpowiadała jej różne rzeczy i jak na razie nic nie wskazywało, by miała się mylić. Człowiek pozba-

wiony jakichkolwiek zobowiązań, niezwiązany z żadnym miejscem, posiadający zapewne niewiele więcej niż mógł zapakować do torby wrzuconej na bagażnik motocykla nie był partnerem, jakiego pragnęła dla swojej córki. Od początku myślała o nim z niechęcią, a teraz niechęć ta jeszcze się wzmogła. Pisarz z bożej łaski, artysta bez osiągnięć i reputacji, darmozjad i pasożyt. ..

Skąd brał się u jej dzieci ten dziwny pociąg do artystów? Oczywiście, Neill Devlin był przystojny, mogła zrozumieć, dlaczego spodobał się córce. Ale wiedziała też, że z ich spotkań nic dobrego nie wyniknie. Nie chciała przyglądać się biernie, jak Anna będzie cierpieć, gdy ten nicpoń wyjedzie stąd równie nagle, jak się pojawił. Musiała znaleźć sposób, by otworzyć jej oczy.

- Córka powiedziała mi, panie Devlin, że jest pan pisarzem - zagadnęła.

- Tak, to prawda.

Uśmiechnęła się, wypowiadając ostatnie słowo, a Neill przypomniał sobie wówczas film przyrodniczy, który niedawno oglądał. Na jednym z ujęć krokodyl spoglądał na zabłąkaną u wodopoju antylopę z równie niewinnym rozczuleniem, jak to, które zobaczył w spojrzeniu Olivii.

- To z pewnością interesujący zawód...

- Zdarzają się miłe chwile.

- Domyślam się, że chodzi o tak zwaną twórczą

satysfakcję. Czy sądzi pan, że podobną satysfakcję ma nasza Lisa, kiedy szyje swe kapelusze? I czy równie trudno zarobić pisaniem na godziwe życie?

Neill pomyślał o swojej ostatniej zaliczce, za którą mógłby kupić cały ten dom łącznie z jego zawartością, ale uśmiechnął się tylko niewinnie i odparł:

- Nie jest łatwo, ale mi, dzięki Bogu, dopisuje szczęście. Nie chodzę głodny dłużej niż miesiąc. No, a gdybym nawet znalazł się na bruku, zawsze mogę wrócić do rodziców.

Usta Olivii wygięły się w teatralny sposób.

- Proszę wybaczyć, że to mówię, ale wydaje mi się dziwne, że mężczyzna w pana wieku ma kłopoty z zapewnieniem sobie utrzymania.

Przez chwilę Neill poczuł impuls, by powiedzieć jej, żeby pilnowała swego nosa, ale nie mógł oprzeć się pokusie, by dalej grać rozpoczętą komedię.

- Mój starszy brat mówi to samo.

- Pana brat? Domyślam się, że prowadzi ustabilizowane życie?

- On? Jeszcze jak! Zona, dwójka dzieci, dom... Co prawda spłaca kredyt... ale to tylko kolejny kamień, który uwiązał sobie u szyi - ostatnie zdanie powiedział z całkowitą świadomością efektu, jakie wyrze na Olivii.

Widział niepokój na twarzy Anny, ale skupił się teraz całkowicie na swoim przeciwniku. Olivia zaś patrzyła na niego z taką miną, jakby nagle odkryła w szałacie dżdżownicę.

- Nie dla każdego rodzina jest kamieniem u szyi, panie Devlin.

- Z pewnością - odpowiedział z nonszalancją, jakby chciał powiedzieć w ten sposób, że „są gusty i guściki”.

- Pana brat zachowuje się po prostu jak przystało na dorosłego, odpowiedzialnego mężczyznę.

- Otóż to - westchnął Neill - taki właśnie jest Tony. No, ale tak w ogóle to jest całkiem w porządku. Szkoda tylko, że już nie umie się zabawić. Dawno biedak zapomniał, jak to jest, kiedy można wypić parę piw z kumplami, powłóczyć się wieczorem, a w piątek rozejrzeć się za dziewczynami.

Jack, który do tej pory siedział spokojnie, zachłysnął się winem i omal nie parsknął na obrus. Lecz Neill, nie zwracając na to uwagi, ciągnął beztrąsko dalej:

- Powiem pani, że czasami mam go dość. Tony ciągle marudzi, żebym znalazł sobie porządną robotę. Ale młodym jest się tylko raz i szkoda tracić czas na głupoty. Spokojnie, mówię mu, jeszcze cztery, pięć lat i może zacznę myśleć o tym, żeby się ustatkować. Znajdę sobie jakieś niedrogie mieszkanko, a może i trafi mi się dobra żona, która ma stałą pracę. Nie chodzi o to, żeby zaraz miała mnie utrzymywać - zastrzegł z oburzeniem - ale wie pani, pisarzowi nie tak łatwo sprzedać książkę, więc stały dochód się przyda. Zwłaszcza kiedy posypią się dzieciaki.

Po tych słowach, zdając się nie zauważać zgrozy

malującej się na twarzy Olivii, Neill z powagą nadział na widelec ostatni kawałek brzoskwiniowego ciasta i zaczął spokojnie go przeżuwać.

Przez kilka długich chwil przy stole panowała śmiertelna cisza. Patrząc spod oka, Neill uchwycił lekkie rozbawienie w oczach Jacka oraz nateżony wysiłek na twarzy Lisy, która wszystkimi siłami powstrzymywała się, by nie parsknąć śmiechem. Za to Anna siedziała milcząca, spięta i zażenowana.

Neill pożałował, że dał się ponieść i pozwolił, by przekora zapanowała nad zdrowym rozsądkiem. Opinia jej matki nie obchodziła go wiele. Jej ojciec w ogóle chyba nie miał żadnej opinii - wycofał się w swój świat, by nie uczestniczyć w rodzinnej farsie i można było się tylko zastanawiać, ile słów tygodniowo zamienia z własną żoną. Jack prawdopodobnie znieczulił się już odpowiednią porcją alkoholu, Lisa była rozbawiona i wyraźnie wdzięczna za wspaniały spektakl, ale Anna... Cóż, Anna nie była ani rozbawiona, ani pijana, nie umiała również jak ojciec odizolować się od wszystkiego, co niewygodne. Anna cierpiała.

Nie powiedziała ani słowa, ale doskonale wyczuwał jej napięcie. I był zły na siebie, że pozwolił spowodować się zaczepkom matki. Satysfakcja, z jaką przyglądał się pełnej zgrozy reakcji Olivii, nie była warta przykrości, jaką sprawił Annie.

Szukając tematu, który pozwoliłby przerwać przedłużającą się ciszę, zatrzymał wzrok na kolekcji zdjęć

na komódce. Największe z nich przedstawiało śliczną blondynkę, wyglądającą na nie więcej niż dwadzieścia lat. Zapamiętał to zdjęcie również z sąsiedniego pokoju. Tamto było typowym, upozowanym portretem pokazującym twarz i ramiona. Neill sądził, że to portret matki Anny z lat młodości. Zdjęcie w jadalni było jednak niepozowane i ukazywało śmiejącą się dziewczynę w dżinsach i sportowej koszuli. Chociaż podobieństwo do Olivii było uderzające, tym razem nie miał wątpliwości, że to dwie całkiem różne osoby.

- Czyje to zdjęcie? - spytał głośno, wskazując ruchem głowy na portret.

Anna powiodła za jego wzrokiem i poczuła, jak serce zamiera w jej piersi. Ta fotografia stała w tym miejscu od lat i dla wszystkich było oczywiste, kogo przedstawia. Choć jednak pamiętano dobrze o Brooke i o tym, co się stało przed piętnastu laty, to bodaj nigdy nie wymówiono jej imienia. Nie mówiono też głośno o szczęśliwych chwilach, które spędzali razem, jak gdyby to był temat tabu. Ten niepisany zwyczaj ustalił się już w pierwszych miesiącach po śmierci Brooke i nigdy nie został naruszony.

Tylko skąd mógł o tym wiedzieć Neill?

Anna wciąż siedziała jak sparaliżowana, bała się spojrzeć na matkę, nie była nawet w stanie oderwać spojrzenia od twarzy śmiejącej się dziewczyny na fotografii. Sekundy ciszy wydłużały się w całą wieczność.

Niespodziewanie z głębi pokoju odezwał się spokojny głos doktora Moore'a:

- To Brooke, nasza starsza córka - powiedział, odzywając się po raz pierwszy od rozpoczęcia kolacji. - Brooke... umarła piętnaście lat temu. W kilka miesięcy po zrobieniu tego zdjęcia.

Anna była równie zdumiona odpowiedzią ojca, jak wcześniejszym pytaniem Neilla.

- Przepraszam... - wydusił z siebie Neill. Przeniósł wzrok ze smutno uśmiechniętej twarzy ojca z powrotem na fotografię. Czuł wyraźnie grozę, która zawisła w powietrzu po wypowiedzianych przed chwilą słowach. Natychmiast zrozumiał, że za lakoniczną odpowiedzią doktora kryje się znacznie więcej.

- Powiniennem cię przeprosić za całe to przedstawienie - powiedział, ześlizgując rękę ku dłoni Anny i splatając z nią palce. - Poniosło mnie, ale zawsze reaguję w ten sposób na zaczepki.

Gdy wyruszyli z domku Anny trzy godziny temu, zapadał zmierzch. Teraz otulała ich noc, rozjaśniana tylko księżycem i rzadkimi światłami latarń wzdłuż drogi. Noc była rozkosznie ciepła i pachnąca, a z prawa i lewa dobiegała kojąca muzyka świerszczy.

- Moja matka potrafi być... trudna - wydusiła w końcu, znalazłszy odpowiednie słowo. - Wiem dobrze, że jest wobec mnie trochę nadopiekuńcza. Martwi się, że...

- Wpadniesz w złe towarzystwo? - dokończył za nią tak poważnym tonem, że Annie wydało się, że słyszy głos matki.

- Chyba tak - zaśmiała się lekko.

Nie chciała mówić o matce, zwłaszcza teraz, kiedy szli, trzymając się za ręce, zanurzeni w rozkosznej sierpniowej nocy. Znowu czuła się tak, jakby na całym świecie byli tylko oni, otoczeni cykaniem świerszczy i słodkawym zapachem kwitnących róż.

- Co się stało z twoją siostrą? - spytał po chwili Neill i Anna poczuła, że czar nagle pryska.

- Umarła - powiedziała. - Umarła. To wszystko.

Neill zawahał się chwilę, ale zdecydował się nie naciskać i pozostawić rzeczy własnemu biegowi. Anna nie chciała o tym mówić. Ta śmierć dotknęła ją, to oczywiste, ale nie dotknęła w zwyczajny sposób. Była w tym wszystkim jakaś tajemnica, jakaś zagadka, a on, pomijając nawet to, co czuł do Anny, nie byłby sobą, gdyby nie spróbował jej rozwikłać.

Później, pomyślał. Jeszcze przyjdzie na to czas. Teraz powinien cieszyć się tym, że jest sam na sam z piękną dziewczyną, którą wolno mu wziąć w ramiona i pocałować. Tak po prostu, tak naturalnie, jakby znali się całą wieczność.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Chyba rozumiesz, że po spędzeniu dziesięciu lat w Los Angeles ulewa w środku lata może wydawać się czymś niezwykłym - powiedziała Lisa, zamykając drzwi za Anną, kryjącą się do jej pracowni przed lejącymi z nieba strugami deszczu. - Wydaje się, że skoro się tu wychowałam, nie powinno mnie to dziwić, ale dziesięć lat robi swoje.

- Czytałam gdzieś, że człowiek zaczyna poważnie traktować pogodę dopiero po dwudziestce i wtedy przyzwyczajają się do czegoś, co uważa później za normalne.

Anna wyślizgnęła się z letniego żakietu i powiesiła go niedbale na oparciu krzesła, po czym przeczesła palcami zmoczone włosy.

- To dziwne, nie sądziłam, że może istnieć jakiś „wpojony” wzorzec pogody - zastanowiła się Lisa.

- Myślę, że jeżeli nikt tego jeszcze nie zbadał, to z pewnością Kongres przeznaczy na to wkrótce niemałe środki.

- Z pewnością. Zaraz po zbadaniu niezidentyfikowanych obiektów latających - odpowiedziała trzeźwo

Lisa. - Możesz być pewna, że wielkość środków przeznaczonych na badanie zjawiska okaże się wprost proporcjonalna do jego absurdalności.

Lisa myszkowała przez chwilę wśród koszy, w których leżały różnokolorowe wstążki, a znalazłszy wreszcie właściwą, podeszła do stołu, na którym rozłożone były elementy powstającego właśnie kapelusza.

- Wczoraj wieczorem wpadłam na wspaniałą pomysłu - oznajmiła. - Mam zamiar zaprojektować kapelusz dla Tytanii.

Anna usadowiła się na stołku naprzeciw niej i z nieco roztargnioną miną sięgnęła po landrynkę.

- Tytanii? Nie widziałam jeszcze okrętu w kapeluszu.

- Nie „Titanic”, tylko Tytania! - skarciła ją Lisa. - Ja myślę o Tytanii, wiesz, tej królowej wróżek, która poślubiła Oberona. Poszłam nawet do biblioteki, żeby sprawdzić, jak wyobrażała sobie Tytanię Cicely Mary Barker.

Anna obróciła w ustach landrynkę i zaczęła przyglądać się z ciekawością sztucznym kwiatom z jedwabiu i wstążkom porzucanym na stole.

- Czy wróżki nosiły w ogóle kapelusze? - zastanowiła się głośno. - Nie wiem dlaczego, ale miałam zawsze wrażenie, że biegały nago i nie troszczyły się o ubranie. Czy to nie będzie dziwne: wróżka, która nie ma na sobie nic oprócz kapelusza?

- No dobrze, powinnam raczej powiedzieć, że bę-

dzie to kapelusz zainspirowany przez postać Tytanii - zgodziła się Lisa. - Nie będę starała się jej zmusić, żeby rzeczywiście go nosiła.

Obie roześmiały się i Anna pomyślała, że jedną z najcenniejszych rzeczy w ich przyjaźni jest to, że mają podobne poczucie humoru. Zanim Lisa wróciła z Kalifornii i zbliżyły się do siebie, Anna nie zdawała sobie sprawy, jak rzadko śmiano się w jej rodzinie. No tak, Brooke była zawsze roześmiana, przyszło jej niespodziewanie do głowy i zaraz poczuła się wytrącona z równowagi.

- Opowiedz mi wreszcie o tym swoim Neillu - odezwała się Lisa i obraz Brooke natychmiast zniknął sprzed oczu Anny.

- On nie jest „mój” - zaprotestowała niepewnie. - Spotkaliśmy się tylko kilka razy. Nie ma nic, co by nas... - urwała, po czym dokończyła zmienionym tonem: - A poza tym Neill wyjedzie stąd, jak tylko odzyska swój motocykl. Nic między nami nie ma. Koniec, kropka.

- Naprawdę nic? - zmrużyła oczy Lisa.

- Na pewno nic poważnego - odparła Anna, uświadamiając sobie zarazem, że jej zapewnienie nie brzmi zbyt przekonująco. - Przecież znam go dopiero od tygodnia!

- A jakie to ma znaczenie?

- Takie, że nikt nie zako... nie angażuje się w związek z kimś, kogo zna od kilku dni.

- Tak? Czy jakieś prawo tego zabrania?

- Prawo nie, zdrowy rozsądek.

Zsunęła się nerwowo ze stołka i chciała przejść się po pokoju, żeby przez chwilę nie patrzeć Lisie w oczy, ale pudełka i koszyki upodobniły pracownię do toru przeszkód. Podeszła więc tylko do półki i zaczęła się przyglądać koronkowym opaskom w różnych kolorach i po-
ustawianym obok nich rolkom jedwabnych wstążek.

Ponieważ Lisa nie powiedziała więcej ani słowa, lekko zaniepokojona jej milczeniem Anna odwróciła się do niej i spytała:

- I co? Nie zamierzasz mi powiedzieć, że się mylę?

- A chcesz, żebym ci to powiedziała?

- Oczywiście, że nie. Sama wiem, że mam rację.

Wzięła do ręki nakręcanego pingwina z plastiku i nie zastanawiając się nad tym, co robi, zaczęła kręcić małym kluczykiem, aż poczuła opór sprężyny.

- On jest tu dopiero od tygodnia - powtórzyła.

- Może wyjechać jutro albo pojutrze i nigdy więcej go nie zobaczę. Byłabym głupia, gdybym o tym nie pamiętała.

- Nikt nie mówi, że nie powinnaś pamiętać. Po prostu zastanawiam się, jakie to ma znaczenie. - Długie palce Lisy przebierały między wstążkami i kwiatami, starając się dopasować je do siebie, odkładały i brały nowe. Przyjaciółka pracowała jakiś czas w milczeniu, wreszcie dodała: - Chciałam ci tylko powiedzieć, że nie każdy związek musi kończyć się czymś trwałym.

Anna wiedziała o tym doskonale. Sęk w tym, że ostatnio zaczęła myśleć, iż niczego nie pragnie bardziej, niż żeby Neill stał się częścią jej życia i by mogła związać się z nim na stałe. Odstawiła pingwina na stół i przyglądała się, jak kołyszac się, brnie do przodu, po czym dotarłszy do szpulki nici, potyka się o nią i przewraca na czarny dzióbek, żałośnie przebierając w powietrzu łapkami.

Pomyślała sobie, że jest jak ten pingwin. Przez jakiś czas brnęła z trudem przez życie, mając poczucie, że jakoś uporządkowała swoje sprawy. Owszem, miała niejedną wątpliwość, zastanawiała się, dokąd to wszystko prowadzi, ale mimo to stała mocno na ziemi. I nagle w jej życiu pojawił się Devlin i za jednym zamachem wyrzucił cały świat do góry nogami.

- Więc spotykasz się z nim dzisiaj wieczorem?
- spytała Lisa niedbałym tonem.

- Idziemy na kolację do Luanne.

Wyplątała pingwina z jakiejś wstążki i odstawiła z powrotem na półkę.

- Jeżeli ma to dla ciebie jakieś znaczenie, to mogę ci powiedzieć, że już zdażyłam go polubić - powiedziała Lisa. - Rozumiem więc dobrze twoją fascynację...

- Przestań - zaprotestowała Anna - tu nie chodzi o żadną fascynację.

- Więc o co?

- O to, że ja... sama nie wiem - wzruszyła ramio-

nami. - Przez długi czas moje życie toczyło się utartym torem, bez wzlotów i bez upadków. A teraz nagle wszystko zaczęło się zmieniać. I to w takim tempie...

- I tego właśnie się boisz.

- To mnie przeraża - przyznała. - Nie wiem, co on do mnie czuje. Ja sama nie wiem, co czuję do niego. Nie wiem, co zdarzy się jutro, pojutrze ani za tydzień. Czy to nie przerażające?

Lisa pozostawiła na chwilę kwiaty i wstążki i spojrzała poważnie na przyjaciółkę.

- Nikt nie wie, co zdarzy się jutro albo za tydzień - powiedziała. - Niezależnie od tego, jak stabilne i bezpieczne może wydawać się życie, wszystko potrafi zmienić się w jeden dzień. Zwłaszcza ty powinnaś o tym pamiętać.

Lisa uśmiechnęła się do niej łagodnie i nie czekając na reakcję, ciągnęła:

- Pozwól, że wykorzystam to, że jestem o parę lat starsza, zgoda? Otóż moim zdaniem spotkanie Neilla jest w tej chwili najlepszą rzeczą, jaka mogła ci się przydarzyć. I to nawet jeśli ten chłopak rozedrze ci serce...

- Co? - Anna spojrzała na nią przestraszona.
- Dziękuję ci bardzo!

- Masz dwadzieścia pięć lat - Lisa nie dała się zbić z tropu - a przez ostatnie sześć tkwiłaś w swoich codziennych małych sprawach. Dwadzieścia pięć lat... to przecież najbardziej szalony czas w życiu kobiety,

który nigdy się nie powtórzy. To czas, kiedy powinnaś mieć szalone romanse i spędzać całe noce na marzeniach, na rozmowach z mężczyzną, który może okazać się - choć zwykle jest inaczej - miłością twojego życia. To czas, kiedy ubierasz się w najbardziej zwariowane ciuchy i zmieniasz fryzurę pięć razy w miesiącu. Chodzisz na szalone przyjęcia, upijasz się winem i nie przejmujesz się tym, że rano boli cię głowa...

- Brzmi jak bajka - wtrąciła się Anna cierpkim głosem.

- Po co ten sarkazm? Tak właśnie jest, tak żyją dziewczyny w twoim wieku i to jest normalne. Owszem, przychodzą chwile, kiedy czujesz się strasznie, kiedy myślisz, że twoje życie jest skończone. Ale wkrótce widzisz, że koniec świata nie nastąpił, a ty żyjesz dalej. - Lisa wyciągnęła rękę i oparła ją na ramieniu Anny. - Przez ostatni tydzień zdarzyło się w twoim życiu więcej niż przez całe dwa lata, odkąd tu jestem. Być może Neill wyjedzie stąd, gdy tylko będzie mógł wskoczyć na swój motocykl. Ale może też zakochacie się w sobie do nieprzytomności i będziecie żyli razem przez najbliższe pięćdziesiąt lat. Cokolwiek się stanie, obudzisz się wreszcie z zimowego snu, w który zapadłaś jak borsuk.

- A jeżeli tylko ja się zakocham, a on wskoczy na siodełko i pomacha mi ręką na pożegnanie?

- Wtedy pobierasz się do kupy, odchoryjesz wszystko przez miesiąc i będziesz żyć dalej. I przynajmniej

będziesz wiedziała, co to znaczy zakochać się w przystojnym motocykliście.

To wszystko prawda, myślała Anna. Nie sposób było nie przyznać Lisie racji. Problem polegał jednak na tym, że ona prawdopodobnie już się zakochała. Lisa nie musiała jej do niczego przekonywać, bowiem sprawy zaszyły dalej niż wszyscy się spodziewali. A najmniej ona sama.

Gdy opuszczała pracownię Lisy pół godziny później, deszcz zamienił się w drobną mżawkę. Ulice były puste, Loving chyliło się do snu. W wieczory takie jak ten nawet Luanne, ze swoim „najlepszym pod słońcem domowym jedzeniem”, świeciła pustkami. Ponieważ restauracja znajdowała się zaledwie kilkadziesiąt metrów od pracowni, Anna postanowiła przejść tam na piechotę, pozostawiając Lucy zaparkowaną przed pracownią Lisy.

Wciąż rozpamiętywała słowa przyjaciółki, jednak poważne myśli wkrótce ustąpiły miejsca narastającej ekscytacji. Za chwilę miała spotkać się z Neillem i tylko to było ważne. „Pozbierasz się do kupy”, mówiła Lisa. Ciekawe jak? Czy można „pozierać się do kupy”, jeśli skończy się coś tak niezwykłego, tak wspaniałego, jak ten romans?

A więc miała romans. Tak, właśnie tak trzeba było to nazwać. Romans z nieznanym, romans z pisarzem. Boże, jak bardzo to do niej niepodobne. Gdyby miała odrobinę zdrowego rozsądku, powiedziałyby mu choćby i dzisiaj, za chwilę, że powinni przestać się

widywać. Ale trudno było myśleć rozsądnie, kiedy patrzyło się w nieziemsko błękitne oczy Neilla Devlina.

A może Lisa miała rację?

Może nadszedł czas na szaleństwo?

Przedzierając się z pochyloną głową i skurczonymi ramionami przez mżawkę, minęła wąską alejkę dobiegającą do głównej ulicy. Była tak pochłonięta myślami, że nie zauważyła szczupłej postaci stojącej na rogu. Gdy więc nagle jakaś ręka oparła się na jej ramieniu, Anna podskoczyła jak oparzona. W pierwszym odruchu chwyciła mocno przewieszoną przez ramię torebkę i zacisnęła na niej palce. Poczowała szarpnięcie, ale nie wypuściła jej.

- Oddaj to - usłyszała. - Oddaj, bo...

Struchlała ze strachu. Wiedziała, że powinna się poddać. W torebce nie miała nic cennego: kilka dolarów i parę osobistych drobiazgów. Nic, co byłoby warte ryzykowania zdrowia albo życia. Chciała to zrobić, ale jakby wbrew woli palce zacisnęły się jeszcze mocniej na cielej skórce torebki. Zrobiła gwałtowny ruch, żeby się wyrwać, lecz wówczas napastnik zaklął i znów szarpnął za torbę. Zakręciła się wokół własnej osi, straciła równowagę. Uderzyła ramieniem w twardą ceglana ścianę i syknęła z bólu. Wciąż jednak nie zwalniała kurczowego uścisku palców.

- Oddaj tę pieprzoną torebkę, dziwko!

Przed oczami mignęła jej jego spiczasta twarz. Wąziutkie, złowrogie szparki oczu, a zaraz potem błysk noża.

Zamknęła oczy. Strach ścisnął ją za gardło i niemal przestała oddychać. Więc umrze tutaj, na chodniku głównej ulicy. Tu odnajdzie ją jakiś zapóźniony przechodzień albo litościwy kierowca, który pojawi się po niewczasie. A może nikt nie zatrzyma się aż do rana?

Gdzieś w głębi świadomości błysnęła jej nagle myśl, że przecież wiedziała, że kiedyś to się zdarzy. Podobno piorun nie trafia nigdy dwa razy w to samo drzewo - tym razem jednak trafił.

- Zostaw ją!

Jakiś odległy krzyk z trudem przedarł się do jej uszu, jakby oddzielone były od reszty świata grubą warstwą waty. Szamotanina na chwilę ustała, złodziej obejrzał się za siebie i zaklął ze złością. Raz jeszcze pociągnął z całej siły za torebkę, powalając swą ofiarę na kolana, jednak w następnej chwili już go nie było.

Anna poczuła, jak opuszczają ją siły. Zawirowało jej przed oczami, ogarnęły ją mdłości. Upadła.

- Anna! Boże, czy nic ci się nie stało? - Neill przykląkł obok niej i ujął drżącymi rękami jej dłonie. Powoli podniósł ją z ziemi i zaczął badać, czy na jej ciele nie ma ran. - Szedłem właśnie do Luanne - tłumaczył. - Zobaczyłem szamotanię, ale nigdy bym nie pomyślał... Boże - westchnął, przyciskając ją do siebie - dlaczego nie krzyczałaś?

- Nie wiem - wyjąkała, z trudem wydobywając z siebie głos. - Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje.

Teraz dopiero zdała sobie sprawę, że całe zajście

trwało nie dłużej niż kilkanaście sekund. Od czasu, kiedy poczuła na ramieniu jego rękę, do momentu, gdy rozległ się krzyk Neilla, nie upłynęło więcej niż kilka chwil, jej zaś wydawało się, że to cała wieczność.

- Anno, kochanie, czy wszystko w porządku? Nic ci nie zrobił?

- Nic mi nie jest - wyjąkała, nie mogąc poznać własnego głosu.

Podtrzymywał ją ostrożnie, jakby nie wierzył, że utrzyma się na własnych nogach. Wciąż drżały mu ręce.

- Dlaczego, do diabła, nie oddałaś mu tej pieprzonej torebki?

- Tak właśnie ją nazwał...

- Co?

- Pieprzona torebka - wymamrotała. - Dostałam ją od rodziców... w ubiegłym roku na Gwiazdkę.

Neill popatrzył na nią, jakby postradała zmysły.

- Wszystko jedno, czy dostałaś ją od Świętego Mikołaja, czy od Rudolfa Valentino - rzucił przez zaciśnięte zęby. - Powinnaś mu ją oddać!

- Chciałam, ale palce nie puszczały - wyszeptała.
- Ciagle nie chcą puścić.

- Jezu... - złość Neilla ustąpiła równie szybko, jak się pojawiła. Oparł policzek na jej czole i wziął ją w objęcia. - Przepraszam, że na ciebie krzyczę. Nigdy w życiu nie bałem się tak o nikogo, jak o ciebie.

Nie zważając na siąpiący deszcz, długo stali przy-

ciśnięci do siebie. Neill nie mógł się nacieszyć, że trzyma ją całą i zdrową. Czuł wyraźnie jak nigdy wcześniej, że ta kobieta została mu zesłana przez opatrzność. Wiedział, że nigdy nie zapomni tej chwili śmiertelnego przerażenia, kiedy rozpoznał w szamocącej się postaci Annę i uzmysłowił sobie, że jest być może za daleko, żeby obronić ją przed zbirami, który ją napadł.

Coraz cięższe krople padającego wciąż deszczu przywróciły mu poczucie rzeczywistości. Trzeba wracać do domu, pomyślał. Oboje są przemoczeni do suchej nitki. Anna powinna wziąć gorącą kąpiel i ochłoniąć po tym wszystkim, a on... On musi się zastanowić, jak dopaść tego drania, który ośmielił się zaatakować kobietę. Jego kobietę.

Wypuścił ją powoli z ramion i jeszcze raz przyjrzał się jej uważnie.

- Jesteś pewna, że nic ci nie jest? Nie jesteś ranna?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Miała poobijane kolana, a od uderzenia w ścianę bolało ją ramię, ale były to drobiazgi.

- Poczekaj, pojedziemy na policję - powiedział, starając się odgiąć delikatnie jej palce, wciąż kurczowo zaciśnięte na torebce. - Musisz opowiedzieć o tym bratu.

- Nie! - słowo protestu wystrzeliło z jej ust jak pocisk. Anna odchyliła głowę tak gwałtownie, że omal uderzyła go w podbródek. - Nie chcę o tym mówić... nikomu.

- Zrozum, ten bandzior zaatakował cię na ulicy, próbował obrabować. Nie możesz puścić mu tego płazem.

- On uciekł. Jack nic nie pomoże. Proszę...

Wbiła się palcami w jego ramię i nawet w słabym świetle ulicznej latarni Neill mógł dostrzec w jej oczach błagalną prośbę.

- Proszę cię, Neill - powtórzyła. - Jeżeli powiem o tym Jackowi, on napisze raport. Wszyscy się dowiedzą. Wszyscy przypomną sobie o... wszyscy przypomną sobie i znów będą tak na mnie patrzeć. Proszę... ja... chcę do domu. Zabierz mnie do domu, Neill.

- W porządku - zgodził się z westchnieniem. - Jeśli nie chcesz, nikt się o tym nie dowie.

Nie pytając o nic więcej, uniósł ją w górę jak dziecko i zaniósł w ramionach do samochodu. Nie rozumiał, dlaczego tak gwałtownie wzbraniała się przed złożeniem zeznań. Policja rzeczywiście nie zdałaby się teraz na wiele, ale należało to zrobić choćby dla zasady.

Mniejsza z tym. Nic nie jest warte tego, żeby znów wyprowadzać ją z równowagi.

- Już dobrze. Zawiozę cię do domu, kochana - powiedział i delikatnie pocałował ją w czoło. - Już dobrze.

- Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? - spytał nie wiadomo już który raz, wyjmując z jej rąk klucze. Sprawnie otworzył zamek, pchnął drzwi i podtrzymując za łokieć, wprowadził Annę do środka.

- Dobrze - skinęła głową, choć jej wygląd zdawał się temu zaprzeczać. Całą drogę do domu nie odezwała się ani słowem. Siedziała nieruchomo jak sparaliżowana i patrzyła tępo przed siebie.

Może teraz poczuje się lepiej. Była wystraszona, ale na szczęście poza tym nie ucierpiała. Pozwoli jej się odprężyć i porządnie wypłakać. Łzy pomagają w takich sytuacjach.

Ale Anna nie zamierzała płakać. Zrobiła kilka kroków, rozglądając się wokół półprzytomnym wzrokiem, popatrzyła na niego bezradnie

- Czy chciałabyś, żebym do kogoś zadzwonił? Do Lisy?

- Nie - pokręciła głową. - Nie chcę. Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział.

- Dobrze.

Położył delikatnie rękę na jej ramieniu i niemal natychmiast poczuł, jak spinają się mięśnie na jej karku.

- Dobrze - powtórzył - nie będę nigdzie dzwonił. Zostanę tu z tobą, aż się uspokoisz, zgoda?

Łagodny, kojący ton jego głosu uświadomił jej, w jakim jest stanie. Neill musiał pomyśleć, że zwariowała, skoro przemawiał do niej w taki sposób. Jak do wariatki, wariatki, która może zrobić sobie krzywdę. Musi wziąć się w garść. Pozbierać się do kupy, jak mówiła Lisa. W końcu wyszła cało z tej opresji.

Z trudem przywołała uśmiech na twarz.

- Wszystko w porządku - odezwała się cicho

- naprawdę. Nie musisz zostawać. Czuję, że powoli dochodzę do siebie.

Neill patrzył na nią z niedowierzaniem. Nic nie było w porządku. Jej skóra miała wciąż kolor pergaminu, a w oczach czaił się lęk - paniczny strach małego, zranionego zwierzątka.

Ogarnęła go nagle wściekłość na drania, który doprowadził ją do takiego stanu. I żal, od którego krwawiło mu serce. I okropne poczucie bezsilności. Chciał wziąć ją w ramiona i przycisnąć rozpaczliwie do piersi, przytulać tak długo, aż zniknie w jej wielkich oczach ten bolesny, smutny cień. Było jednak w jej trwożliwym zachowaniu coś, co podpowiadało mu, by tego nie robił. Wiedział, że gdy dotknie jej teraz, będzie jeszcze gorzej - Anna odgrodzi się od niego na zawsze i nigdy już nie będzie taka jak przedtem.

Nie dotknął jej więc, tylko powiedział:

- Nigdzie nie pójde. Nie zamierzam zostawić cię samej w takim stanie.

- Dobrze - zgodziła się szybko i odwróciła wzrok, nim zdążył dostrzec, jak bardzo jest mu wdzięczna.

- Może weźmiesz gorący prysznic? To pomaga. Ja w tym czasie przygotuję coś gorącego do picia.

Anna przytaknęła ruchem głowy, wstała bez słowa i niczym mechaniczna zabawka ruszyła sztywnym krokiem w kierunku schodów. Nie chciała, żeby Neill oglądał ją w takim stanie. Przez długie lata nauczyła się, jak wypędzać strach z duszy, jak zatrzasnąć go

gdzieś głęboko, w małej przegródce, do której starała się nie zaglądać. Ale teraz przegródka otwarta była na oścież i lęk sączył się z niej coraz szerszym strumieniem, jakby miał pochłonać ją bez reszty.

Neill przyglądał się jej ze zmarszczonym czołem. Nie umiał jej pomóc. Gdyby zrzuciła z siebie ten przekłety gorset samokontroli i pozwoliła sobie na wybuch, na płacz, na cokolwiek, co dałoby ujście emocjom, byłoby mu o wiele łatwiej. Cóż, póki co mógł tylko towarzyszyć jej w bólu i rozpacz.

Znów pomyślał o tym, że policja powinna dowiedzieć się o napaści. Facet, który ją zaatakował, mógł być przecież niepoczytalny, mieszkać gdzieś tutaj, kilometr lub dwa od jej domku, zaczaić się na nią powtórnie. Może dzięki zeznaniom łatwiej go znajdą?

Tylko że Anna nie chciała zeznawać. Co ona takiego powiedziała? „Znów będą tak na mnie patrzeć”? Co to, do diabła, miało znaczyć?

Z zamyślenia wyrwało go trzaśnięcie drzwi do łazienki. Nie przestając marszczyć brwi, wstał i ruszył do kuchni. Jak na kobietę, z której twarzy można czytać jak z otwartej księgi, Anna miała zadziwiająco dużo sekretów.

W niewielkiej, przytulnej kuchni szybko znalazł mleko i nalał je do małego rondelka, żeby przyrządzić kakao. Nad zlewem było okno, które wychodziło na różany ogródek i altankę. Ściany pomalowano na biało, szafki z jasnego naturalnego dębu zdobiły porce-

lanowe gałki w kształcie truskawek. Pilnując, by mleko nie wykopiało, Neill zjrzał do kilku szafek i znalazł w nich puszki z gotową zupą. Ciekawe, co powie Anna, kiedy po wyjściu spod prysznic zobaczy na stole talerz gorącego bulionu, pomyślał z zadowoleniem. Pamiętał, jak matka mówiła mu, że to najlepsze lekarstwo na wszystkie choroby.

Mleko zaczynało się gotować, więc wyłączył kuchenkę, nasłuchując jednocześnie, czy z góry dochodzą jakieś odgłosy. Nie usłyszał jednak nic poza monotonnym stukaniem deszczu o szyby. Może już skończyła się kapać i suszy głowę?

Wyszedł z kuchni i wciąż nasłuchując, podszedł do schodów. Na górze panowała cisza i dopiero po chwili usłyszał stłumiony, monotony dźwięk, który spowodował, że włosy stanęły mu dęba na głowie. Rzucił się na schody i skacząc po trzy stopnie, wspiął się na górę. Rozejrzał się szybko wokół. W małym holu ujrzał trzy pary drzwi, spod jednych wypływała przez szparę smuga światła. Dźwięk stał się wyraźniejszy. Przypominał niski, żałosny jęk, był jak skamlanie królika w sidłach.

- Anna?

Zastukał do drzwi i przyłożył do nich ucho. Boże, może jednak jest ranna? Przekręcił gałkę w drzwiach, zaklął cicho - zamknięte. Starając się opanować, znów oparł czoło o drzwi i powiedział najłagodniej, jak potrafił:

- Proszę, otwórz drzwi, kochanie...

I tym razem nie doczekał się odpowiedzi. Z drugiej strony wciąż dobiegał ten sam monotony jęk, który powoli przechodził w zawodzenie, w lament udręczonej jakimś koszmarem duszy.

Może wyważyć drzwi?

Powstrzymał się przed tym w ostatniej chwili. Anna przeżyła już dziś niemało, takie wtargnięcie dołożyłoby kolejną porcję wrażeń. Ale nie mógł przecież stać tu beczynnym. Jej zawodzenie wierciło mu w głowie dziurę niczym świder. Spokojnie, Devlin, pomyślał, musi być jakiś sposób.

Krzywiąc się niemiłosiernie, wyciągnął portfel z tylnej kieszeni spodni. Każdy detektyw w pierwszym lepszym serialu potrafi otworzyć taki zamek, posługując się kartą kredytową. Może nie jest to takie trudne?

Okazało się trudniejsze w sytuacji, gdy detektywo- wi drżą ręce, a serce wali jak młotem. Po kilku minutach mocowania się z zamkiem i plastikową kartą Neill usłyszał jednak ciche kliknięcie i odetchnął z ulgą. Pchnął lekko drzwi i postawił nieśmiało pierwszy krok.

Anna siedziała skulona na podłodze pod oknem. Zwinięta niemal w kłębek, kołysała się miarowo, obejmując ramionami podwinięte nogi. Twarz przyciskała do kolan.

- Aniu? - Przykucnął przy niej i drżącą dłonią dotknął jej ramienia. - Co ci jest? Czy coś cię boli?

Niski, łagodny głos z trudem przedarł się przez grubą zasłonę lęku, która otulała Annę niczym wełniany koc. Nauczyła się kiedyś, jak uciekać przed strachem, jak wycofać się w głąb siebie, zaciskając mocno powieki i zakrywając rękami uszy. Tak było jej lepiej, skuteczniej potrafiła radzić sobie ze strachem. Musiała być jednak sama. Wstydziła się swojej słabości i nie chciała jej okazywać. Tak, zawsze było jej wstyd. Wszystkiego się wstydziła.

„Nie płacz, Anno. Jak możesz być tak samolubna? To przecież ja straciłam córkę... No, przestań zachowywać się jak dziecko... Czy ty w ogóle myślisz o tym, co ja teraz czuję... czy jesteś w stanie sobie to wyobrazić?”

Dawne słowa matki szumiały jej w głowie, wbijały się w mózg. Ostry głos pełen był złości, sprawiał, że chciała przycisnąć dłonie do uszu jeszcze mocniej, byle nie słyszeć ich więcej, nie słyszeć już ani słowa, ani słowa...

Słowa ucichły, lecz zamiast nich pojawiły się obrazy. Była noc. Coś strasznego przydarzyło się jej siostrze. Nikt nie chciał jej o tym powiedzieć, a gdy wyszła z pokoju i spytała, co się stało, mama uderzyła ją i odesłała z powrotem do łóżka. Mama nie uderzyła jej nigdy wcześniej, więc Anna bardzo płakała. Zwinęła się w kłębek na łóżeczku i przycisnęła do siebie misia, jakby chciała, by obronił ją przed złem. Przed gniewem, przed ciemnością, przed strachem, który jak

oszalały tłukł się w jej piersi. Nie rozumiała, co stało się z Brooke, nie rozumiała też, dlaczego wszystko nagle się zmieniło i dlaczego nie wolno już iść jej samej do szkoły ani nawet pobawić się z dziećmi bez opieki kogoś dorosłego. Wiedziała tylko jedno: że nie wolno jej pytać „dlaczego”.

Ale teraz nie była już dzieckiem. Była dużą dziewczynką, a duże dziewczynki nie boją się ciemności.

- Anno?

Spróbowała odepchnąć go od siebie, ale jej nie pozwolił. Ogarnął ją silnym ramieniem i przytulił do szerokiej piersi.

- Wszystko będzie w porządku, kochanie. Wyrzuć tylko z siebie to wszystko... Tak, wypłacz się, będzie ci lepiej. I nie bój się, przy mnie jesteś bezpieczna.

Mówił do niej jak ojciec do dziecka. Dobry ojciec do kochanego dziecka. Ramiona, które ją obejmowały, były silne i opiekuńcze, zdawały się skuteczną ochroną przed nieprzyjaznym światem.

„Bezpieczna... przy mnie jesteś bezpieczna”.

Poczuła lekki dreszcz, zadrżała i wtulając twarz w jego ramię, znowu załkała.

Nie wiedziała, jak długo płakała, lecz gdy łyzy przeszły wreszcie w urywany, niemy szloch, zdała sobie sprawę, że nie siedzą już na podłodze, lecz Neill trzyma ją na kolanach. Policzek wciąż miała wsparty na jego piersi, słyszała rytmiczne i głośne bicie jego serca.

To ją uspokoiło.

- Lepiej? - spytał łagodnie i Anna ze zdziwieniem stwierdziła, że strach i lęk rzeczywiście gdzieś odpływają. Na chwilę przypomniała sobie, że powinna czuć wstyd, ale było jej tak dobrze wtulonej w jego pierś, głaskanej łagodnie czującą dłonią, że zapomniała o wszystkim, nawet o wstydzie. Wydała z siebie jęk protestu, gdy dłoń Neilla oddaliła się na moment, lecz gdy zrozumiała, że chciał jedynie wziąć papierową chusteczkę ze stojącego na parapecie pudełka, westchnęła z ulgą i pozwoliła sobie wytrzeć zapłakaną twarz.

- Najpierw wytrzymaj łezki, a potem przebierzesz się w jakieś suche ubranie, zgoda? Możesz się przeziębic.

Znów zawstydzona spróbowała wykręcić szyję, ale Neill powstrzymał z łatwością jej głowę i wytarł całą buzię, a na koniec pocałował ją w czoło. Z oporem, jakby bała się, co zobaczy w jego oczach, podniosła na niego wzrok.

Nie śmiał się z niej ani nie spoglądał na nią z niesmakiem.

- Posłuchaj, bardzo mi...

- Ciii... Jeśli jeszcze raz powiesz, że ci wstyd albo że ci przykro, wścieknę się i stracę cierpliwość - zażartował.

- Ale ja... - zaczęła, lecz gdy ujrzała jego zmarszczone brwi, znowu zamilkła.

- No właśnie - rozpogodził się i pocałował ją

w policzek. Potem zaś uniósł w górę jak piórko i postawił na nogi. - Chcę, żebyś wzięła teraz gorący prysznic i rozgrzała się jakąś zupą. Masz jakiś szlafrok? - rozejrzał się po pokoju. - Powiedz mi, gdzie go znaleźć.

- Ja mogę sama...

- Nie, nie możesz - przerwał jej i wyciągnął rękę, żeby odchylić kosmyk włosów, który zsunął się na jej czoło. - Pozwól, że teraz ja będę się tobą opiekował, dobrze? Tylko przez chwilę.

Jak mogła dyskutować z kimś, kto uśmiechał się w taki sposób? Czy mogła protestować, kiedy było jej tak dobrze? Poddając się jego woli, powiedziała, gdzie jest szlafrok, i poczekała posłusznie, aż Neill włączy prysznic i wyreguluje temperaturę. Dopiero kiedy sięgnął do pierwszego guzika, żeby rozpiąć jej sukienkę, zaprotestowała.

- Rozebrać potrafię się sama.

- Jesteś pewna? - zmienił ton na zawadiacki i z zadowoleniem stwierdził, że po raz pierwszy powróciły na jej twarz rumieńce.

Gdy zeszła na dół dwadzieścia minut później, Neill ustawiał na stole talerze z dymiącą zupą.

- W samą porę! - rzucił i cofnął się do kuchenki, żeby wyjąć z piekarnika tosty z serem, które ułożył następnie na talerzu i postawił koło zupy. - Splądrowałem twoje szafki i lodówkę. Kolacja gotowa. Jestem wściekle głodny, ty chyba też?

Otwierała już usta, żeby powiedzieć, że nie będzie w stanie zjeść ani kęsa, ale ugryzła się w język. Jeżeli on był głodny...

- Nie byłem pewny, czego będziesz chciała się napić...

- Ja... chyba wody. Tak, najlepsza będzie woda.

Gdy była pod prysznicem, po raz pierwszy od dwóch godzin udało jej się skupić myśli. Pomyślała zaś o tym, że gdy zejdzie do kuchni, Neill z pewnością zacznie zadawać kłopotliwe pytania. Będzie na przykład chciał wiedzieć, dlaczego odmówiła złożenia zeznań. Prawdopodobnie sądził, że zachowuje się histerycznie. W końcu poza paroma siniakami nic się jej nie stało, nie straciła nawet torebki. Nie pamiętała, czy powiedziała coś o Brooke, ale jeśli tak było, na pewno ją spyta, jaki jej siostra ma związek z tym wszystkim. Nic więc dziwnego, że schodziła na dół z sercem na ramieniu, wiedząc jednocześnie, że jest mu winna jakieś wyjaśnienie.

Tymczasem jedyne pytanie, jakie jej zadał, dotyczyło tego, czego chce się napić.

- Nie masz wielkich wymagań - skomentował, podsuwając jej szklankę z wodą. - Urozmaiciłem trochę tosty, spróbuj. To mój własny wynalazek.

Jeszcze przed chwilą była pewna, że nie zdoła przełknąć ani kęsa, ale widząc, z jaką dumą Neill spogląda na swoje kulinarne dzieło, uznała, że nie może zrobić mu przykrości. Ugryzła skromny kawałek - i w dwa-

dzieścia minut później ze zdziwieniem stwierdziła, że jadła wszystko, co postawiono przed nią na stole.

- Jest jeszcze zupa - przypomniał Neill.

- Nie, dziękuję - uśmiechnęła się przepraszająco.

- I tak się dziwię, że zjadłam to wszystko.

- Nikt nie jest w stanie oprzeć się moim tostom

- powiedział z dumą Neill i zebrał talerze.

- Poczekaj, ja pozmywam. - Wstała i zdecydowanym krokiem ruszyła w kierunku zlewu, lecz Neill delikatnie choć stanowczo usadził ją z powrotem.

- Nie będziesz dzisiaj robić nic, jasne? Położysz się teraz do łóżka - ujął ją za łokieć i poprowadził w kierunku schodów - a ja posprzątam w kuchni i prześpię się na dole, na kanapce. Gdybyś mnie potrzebowała...

- Nie musisz, naprawdę... - Protest wypowiedziany został niemal automatycznie, lecz poczuła wdzięczność, gdy Neill spokojnie pokręcił głową.

- Muszę. Nie zostawię cię przecież.

- Dziękuję - powiedziała szybko, ciesząc się, że nie będzie tej nocy sama. Wiedziała, że nie powinna zgodzić się tak łatwo, że powinna kazać mu odejść, ale potrzeba jego bliskości była silniejsza od skrupułów czy wstydu. Zrobiła dwa kroki po schodach i odwróciła się do niego. - Nie wiem, jak odwdzięczę ci się za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Uratowałeś mnie... i później... - urwała, napotkawszy jego groźne spojrzenie. - No dobrze, chciałam tylko powiedzieć, że jestem ci wdzięczna za to, że byłeś przy mnie.

Nieświadomie - a może całkiem świadomie - pochyliła lekko głowę, jakby spodziewając się pocałunku. Neill potraktował ten gest jak zaproszenie. Urocze zaproszenie, pomyślał, zbliżając usta do jej warg. Pocałował ją czule i przez chwilę oboje smakowali słodycz tej łagodnej pieśczoły.

Wreszcie Anna odsunęła się nieco i dotknęła guziczka na jego piersi.

- Masz ciągle mokrą koszulę.
- Powieszę ją gdzieś, wyschnie do rana.

Sama myśl o Neillu, śpiącym w jej domu z odsłoniętą piersią, spowodowała, że zaschło jej w gardle.

- Właściwie... nie musisz męczyć się na kanapie
- wyszeptła, czując, jak rumieńce wypływają na jej policzki.

W ciszy, która zapadła po tych słowach, słychać było tylko monotony szum deszczu za oknem. Anna nie była w stanie ruszyć się z miejsca. Zrobiłam z siebie idiotkę, pomyślała i spojrzała niepewnie na Neilla. Nie odpowiadał, więc szybko odwróciła oczy.

- Nie dzisiaj - odezwał się jakimś dziwnym, jakby niepewnym głosem. - Bardzo cię pragnę, Anno... - mówił dalej, zacisnąwszy palce na jej dłoni - nawet nie wiesz jak bardzo. Ale jeśli złamiemy pewne zasady, zemści się to na nas bardzo szybko. Przeszłaś dzisiaj bardzo wiele, jesteś mi wdzięczna, że przyszedłem ci z pomocą...

- Tak - szepnęła.

- A ja nie chciałbym - ujął dłonią jej podbródek i uniósł go lekko, aż ich oczy spotkały się ze sobą - żebyś oddała mi się z wdzięczności. Kiedy będziemy się kochać, nie będziemy tego robić z wdzięczności. Ani ty, ani ja.

Anna poczuła, jak uginają się pod nią kolana. Nie „jeśli”, lecz „kiedy”. Powiedział: „Kiedy będziemy się kochać...”

Pocałował ją jeszcze raz w usta, a potem położył dłonie na jej ramionach i delikatnym ruchem obrócił ją w kierunku schodów.

- Dobranoc - powiedział - i nie wystawiaj już dzisiaj mojej woli na próbę.

Weszła posłusznie na górę, zdumiona i zachwycona jego słowami. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że będzie zdolna wzbudzić pożądanie w mężczyźnie takim jak Neill Devlin. A jednak to właśnie jej powiedział.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Za szlachetność trzeba płacić. Nie znalazł się jeszcze nikt, kto wymyśliłby, w jaki sposób mężczyzna wzrostu metr osiemdziesiąt miałby się wyspać na kanapie krótszej od niego o cały łokieć. W próbach zaśnięcia nieszczególnie zdawała się również pomagać Neillowi świadomość, że w pokoiku tuż nad jego głową nie stoi puste łóżko, lecz że leży w nim rozgrzana, pełna podobnych co on pragnień kobieta.

Przeklęta kanapa była za wąska nawet na to, żeby swobodnie przewrócić się z boku na bok, dlatego też Neill zasnął dopiero nad ranem - by otworzyć oczy godzinę później, obudzony dobiegającym znad sufitu terkotaniem budzika. Na w pół przytomny przewrócił się na drugi bok i spadł nagle na podłogę, w ostatniej chwili wyciągając rękę, by nie wyrznąć nosem w deskę. Dzwonienie budzika umilkło i po chwili usłyszał nad sobą skrzypienie podłogi.

No tak, w bankach pracuje się od dziewiątej, pomyślał z niechęcią. Usiadł na podłodze i jęknął, czując ból przy każdym ruchu. Kawy! To tylko mogło po-

stawić go na nogi. Po trzech filiżankach przejrzy może na oczy i będzie w stanie wydusić z siebie słowo.

Przed zejściem na dół Anna wyjrzała przez okno i zobaczyła, że czerwona corvette stoi wciąż przed domem, co upewniło ją, że Neill spędził całą noc w jej domku. Miała ochotę wyjść na schody, żeby podejrzeć, co robi na dole jej gość - zupełnie jak mała dziewczynka, chcąc podpatrzeć, czy święty Mikołaj już szykuje prezenty - ale powstrzymała się siłą woli.

Włożyła na siebie efektowną błękitną bluzkę z jedwabiu, bez rękawów, która świetnie podkreślała kolor jej włosów, i krótką szarą spódnicę odsłaniającą nogi. Nic w tym złego, zdecydowała po chwili zastanowienia. Miała za sobą straszny dzień i potrzebowała czegoś, co doda jej pewności siebie i świadomości, że dobrze wygląda. Zrobiła starannie makijaż, sięgnęła po torebkę z toaletki i zerknęła jeszcze raz do lustra. Zadowolona z widoku, ruszyła na dół. Z kuchni dobiegały już odgłosy krzątania i zapach kawy.

Nie ma się czym denerwować, zestrofowała samą siebie, jeszcze raz poprawiając włosy przed wejściem do kuchni i wygładzając dłonią spódniczkę. Ona jest przecież dorosłą kobietą, a on...

On jest mężczyzną. Naoczne potwierdzenie tego faktu osadziło ją w miejscu niczym szarpnięcie cugli. Anna ujrzała przemierzającą się w kuchni postać - i natychmiast straciła pewność siebie. Z ciemnym, jednodniowym zarostem, ze zmierzwionymi włosami,

Neill wydawał się uosobieniem męskiej siły i nieokiełzanej energii. Włożył na siebie wczorajszą koszulę, a nie spodziewając się Anny na dole tak wcześnie, pozostawił ją rozpiętą. Po raz pierwszy ujrzała jego silny, owłosiony tors przechodzący w płaski brzuch spięty pasem spodni. Wymagało sporego wysiłku, by oderwać od niego spojrzenie.

- Dzień dobry - przywitał się, spostrzegłszy ją na progu, i odwrócił się, by zrobić porządek z garderobą.

- Zaparzyłem już kawę.

- To świetnie - jej głos uciekł gdzieś w górne rejestry, ale nie zająknęła się, co poczytała sobie za sukces.

Całkiem świadoma efektu, jaki wywierają te zaspasne niebieskie oczy i silny zarost, postanowiła, że lepiej nie zatrzymywać dłużej spojrzenia na jego twarzy.

Tymczasem Neill pociągnął łyk kawy i zastanowił się przez chwilę, jaka byłaby jej reakcja, gdyby nagle posadził ją na stole, uniósł tę podniecająco krótką spódniczkę okrywającą jej biodra i...

Cóż, spojrzenie, jakie rzuciła na niego minutę temu, sugerowało, że być może nie spotkałoby się to ze zbyt gwałtownym sprzeciwem. Niestety, ta fantazja nie pomogła mu w żaden sposób pozbyć się bolesnego uścisku w kroku, który pojawił się wkrótce po tym, jak zaczął o niej myśleć, usłyszawszy pierwsze odgłosy krzątania na pięterku.

Daj spokój, próbował przemówić sobie do rozsądku.

To nie pora ani miejsce na seks. Wiedział, że kiedy po raz pierwszy będzie się z nią kochał, potrzebne im będzie wielkie łóżko i dużo, dużo czasu. Chciał poza tym być pewny, że Anna nie odda mu się tylko dlatego, że okazał się dzielnym rycerzem, który wyratował ją z opresji.

Ta chwila już wkrótce nadejdzie, pocieszył się, dopijając resztę kawy z filiżanki. Musi nadejść, bowiem dalsze oczekiwanie może okazać się nie do zniesienia...

Ponieważ samochód Anny stał wciąż zaparkowany w miasteczku, Neill podwiózł ją do banku. Po drodze zastanawiał się, czy Anna zdaje sobie sprawę, że ktośkolwiek zobaczy ich razem, pomyśli, że spędzili razem noc - co oddawało stan rzeczy - i że są kochankami - co akurat nie było prawdą. Cokolwiek jednak myślała, nie zawahała się pocałować go na pożegnanie - i to na samym środku ulicy!

Pocałunek, trzy filiżanki kawy i nieprzespana noc złożyły się na całość, która utrudniała logiczne składowanie myśli. Gdy więc Neill zajechał przed motel i ujrzął Dorothy, która na klęczkach pielęła rabatki przed domem, postanowił przemknąć się do pokoju niezauważony. Oczywiście nie udało się to - Dorothy podniosła się na jego widok i spojrzała na niego badawczo. Dzisiaj miała na sobie granatowe szorty, białą męską koszulę oraz - jak zwykle - czerwone tenisówki, tym

razem w białe kropki. Na jej głowie zatknięta była baseballowa czapeczka drużyny New York Jets.

- Wracasz do domu? - spytała, przesuwając wzrokiem po wymiętoszonej koszuli i jednodniowym zarości.

- Tak... - Neill przymrużył oczy przed oślepiającym słońcem i spojrzał na barwną kępę kwiatów, koło której krzątała się jego gospodyni. — Lwie paszcze, prawda? - zapytał beztrąsko. - Moja matka hodowała je, gdy mieszkaliśmy w... - z trudem usiłował wydobyć ze zmęczonej głowy nazwę miasta. — W każdym razie znam je, hodowała je kiedyś - dokończył.

- Te, które widzisz, spotyka się już bardzo rzadko - odpowiedziała Dorothy tonem przechwałki. - Są jeszcze inne, które mają rozchylone płatki i wyglądają jak petunie. Wszyscy takie teraz mają. Ale ja jakbym chciała mieć petunie, nie hodowałabym w ogródku lwich paszczy.

- Zupełnie się zgadzam.

- Słyszałam, że widzisz się ostatnio z naszą małą Anną Moore?

Neill zacisnął palce w kieszeniach i uśmiechnął się smętnie. A więc nie uda mu się uniknąć rozmowy na ten temat. A już myślał, że Dorothy chwyciła przynętę i będą rozprawiać o kwiatkach.

- Widzę, że wróble ćwierkają już o tym w całym mieście? - odparł. - Czy wszyscy wiedzą również, co zjedliśmy ostatnio na lunch?

Dorothy roześmiała się rozbawiona.

- Nie musiałam się wcale wysilać, żeby się o tym dowiedzieć. Tak płynie życie w małym miasteczku.

- Właśnie niedawno to odkryłem.

Właściwie mógł na tym zakończyć rozmowę i ruszyć na górę, żeby wziąć wreszcie upragniony prysznic, a potem przespać się kilka godzin, ale wyczuł, że Dorothy ma mu jeszcze coś do powiedzenia. Pamiętając, jak bezcenne okazały się wszystkie jej dotychczasowe rady, spojrzał na nią wyczekująco.

- Ładna dziewczyna - zagadnęła.

- Mhm... - skinął głową.

- Słodziutkie dziecko.

- Można tak powiedzieć.

- Pewnie myślisz, że powinnam pilnować swojego nosa? - spytała lekko zaczepnym tonem.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Nikt w tym miasteczku tego nie robi, więc; dlaczego miałyby pani płynąć pod prąd?

Roześmiała się znowu i Neill odpowiedział jej uśmiechem. Zdażył już polubić Dorothy Gale, razem z jej starymi filmami, czerwonymi bucikami i dobrodusznym uśmiechem.

- No cóż, to rzeczywiście nie mój interes - przyznała łaskawie. - Ani niczyj inny, jeśli już o to chodzi. Ale wiem, że jest w tym miasteczku paru facetów, którzy uważają, że Annie należy się z ich strony męska opieka.

- Tak? A to dlaczego?

Prostota tego pytania spowodowała, że zmarszczyła brwi, westchnęła i spojrzała na niego z zastanowieniem.

- W tej rodzinie zdarzyło się parę bardzo przykrych rzeczy - odpowiedziała powoli. - Być może Moore'owie mogliby lepiej poradzić sobie z kłopotami, ale łatwo to mówić komuś, kto sam tego nie przeżył.

- Co się stało? - spytał Neill. - Coś związanego z tą drugą córką, prawda? Tą, która umarła?

Dorothy potwierdziła niechętnym ruchem głowy.

- Nie było mnie wtedy tutaj. U mojego męża stwierdzono raka i spędziliśmy większą część tamtego roku w klinice w Bostonie. Mąż miał zabiegi, które zresztą nic nie dały. Umarł latem, więc nie myślałam wtedy o niczym innym i na nic nie zwracałam uwagi... - Zamyśliła się na chwilę. - Ale jeśli chcesz, możesz dowiedzieć się czegoś więcej od syna mojego bratanka. On widywał się wtedy z siostrą Anny.

- Dziękuję - Neill uśmiechnął się z wdzięcznością.
- Chyba tak zrobię.

Miał już odwrócić się na pięcie i ruszyć na pięterko, ale Dorothy najwyraźniej nie skończyła.

- Zanim zaczniesz zadawać pytania - zatrzymała go - i rozgrzebywać stare sprawy, które być może lepiej byłoby zostawić w spokoju, zastanów się dobrze, czy naprawdę chcesz. I czy naprawdę warto. Możesz nie być zadowolony z tego, co usłyszysz.

- Jak mogę wiedzieć, czy będę zadowolony, czy nie, skoro na razie nie wiem nic? — odpowiedział pytaniem na pytanie, a potem odwrócił się i zostawił ją samą.

Gorący prysznic, kilka godzin snu, dwie filiżanki aromatycznej kawy, tost i trzy jajka na twardo - wszystko to spowodowało, że Neill, opuszczając motelowy pokój, czuł się jak nowo narodzony. Przed wyjściem zawahał się przez chwilę, czy nie usiąść do komputera i nie napisać paru stron rozpoczętej kilka dni temu powieści, ale wciąż był pod zbyt wielkim wrażeniem ostatnich wydarzeń, by skoncentrować się na dziewiętnastowiecznym Wyoming, gdzie umieścił akcję swej książki.

Gdy wszedł do warsztatu Davida, na podnośniku stał tym razem całkiem niedawny model ford.

- Myślałem, że z zasady reperujesz tylko modele sprzed 1970 roku - skomentował żartobliwie, przyglądając się, jak David luzuje śruby na przednim kole.

- Od czasu do czasu muszę iść na kompromis - odpalił David. - Tak po prawdzie, nie mam tu wyposażenia, żeby majstrować przy nowych wozach. Żeby coś w nich dzisiaj zrobić, potrzeba raczej komputera niż prawdziwego mechanika. - Pokręcił głową z niesmakiem. - Wyobrażasz sobie? Komputer za sto tysięcy dolarów, żeby wyregulować obroty!

- To się nazywa postęp - skomentował Neill.

- Domyślam się. Trochę kosztowny postępek jak dla mnie. Odbiera zajęcie każdemu, kto chciałby sam naprawić jakiś drobiazg.

Jękliwy dźwięk elektrycznego klucza odkręcającego kolejną śrubę zagłuszył dalsze słowa. Neill wcisnął pięści do kieszeni i oparł się o stół, czekając, aż David skończy zdejmować koło. Rzucił okiem na swój motocykl, wciąż stojący smętnie w kącie, i zastanowił się przez chwilę, czy jest prawdopodobne, by Davidowi udało się już sprowadzić jakieś części. Nie poczuł specjalnej chęci, by wprost go o to zapytać. Nawet jeżeli indiana zostałaby zreperowana, nie zamierzał stąd wyjeżdżać - ani dziś, ani jutro. Pozostanie tu tak długo, aż będzie miał pewność, co naprawdę łączy go z Anną. A wtedy może się okazać, że nie wyjedzie z Loving sam.

David ściągnął drugie koło i spuścił je delikatnie na betonową podłogę, pozwalając, by odbiło się kilka razy i potoczyło pod ścianę.

- Powiedziałeś, że znasz Annę prawie od urodzenia? - zagadnął Neill, gdy David wziął do ręki klucz nasadkowy i zabrał się do dalszej roboty.

- Taak... - odpowiedział ten nieco roztargnionym tonem.

- Musiałeś więc znać również jej siostrę?

Klucz wypadł nagle Freemanowi z ręki i zadźwięczał na betonowej posadzce. Przez chwilę panowała cisza, po czym David schylił się, żeby podnieść go

z podłogi, wyprostował się i spojrzał na Neilla spod przymrużonych powiek.

- Tak, znałem ją. Nawet umawialiśmy się ze sobą w szkole.

- Co jej się stało? - Neill zdecydował się nie owijać dalszych pytań w bawełnę. - Jak umarła?

David uderzył kilka razy kluczem o otwartą dłoń i popatrzył na niego z zastanowieniem.

- Dlaczego chcesz wiedzieć?

Neill zawahał się przez chwilę. Był niemal pewny, że jeśli opowie teraz Davidowi o wczorajszym napadzie i panice, w jaką wpadła Anna, usłyszy od niego całą historię. Ale Anna prosiła go, by nie mówił o tym nikomu. Nikt nie miał dowiedzieć się o nocnym zajściu i chociaż Neill nie rozumiał powodów, postanowił uszanować jej życzenie. Wzruszył więc tylko ramionami i powiedział:

- Anna mówiła mi o czymś, czego nie rozumiem.

- Dlaczego więc jej nie prosisz o wyjaśnienia?

- Prosiłem. Powiedziała, że to dawne sprawy, o których nie chce rozmawiać.

- Więc dlaczego nie zamierzasz na tym skończyć?

- spytał David. - Czemu drażysz ten temat?

- Bo ten temat nie jest skończony - powiedział Neill głosem pewnym i zdecydowanym. Nie wiedział dlaczego, ale był przekonany, że cokolwiek zdarzyło się kiedyś jej siostrze, jest to wciąż obecne w życiu Anny.

- Może masz rację. - David powoli skinął głową i spuścił wzrok na klucz. Przez jakiś czas zastanawiał się nad czymś, po czym podniósł oczy na Neilla. - Nie sądzę, że Anna byłaby mi wdzięczna, gdybym ci powiedział... ..

Neill wzruszył ramionami. Nie zamierzał nalegać. Gdyby był w sytuacji Davida, prawdopodobnie postąpiłby tak samo. To była przecież kwestia lojalności. Była w tym pewna ironia, że ich wzajemna troska o Annę musiała doprowadzić do takiej konfrontacji.

- Dziękuję ci, tak czy owak. - Odwrócił się na pięcie, ale zatrzymał się natychmiast, słysząc, że David chce powiedzieć coś jeszcze.

- Zaczekaj - usłyszał jego cichy głos. - To nie była żadna tajemnica. Kiedy to się stało - wymawiał słowa powoli, jakby przychodziło mu to z trudem - pisały o tym prawie wszystkie gazety. W maju za rok minie piętnaście lat, więc jeśli chcesz...

Miejska biblioteka w Loving mieściła się w małym, betonowym budynku, cofniętym nieco od ulicy, i oddzielona była od niej szerokim, starannie wypielegnowanym trawnikiem. Duża mosiężna tablica umieszczona na murze obok wejścia głosiła, że w roku 1953 państwo Whiteberry podarowali ten budynek miastu ze szczytną intencją umożliwienia jego mieszkańcom korzystania ze zgromadzonej tam wiedzy oraz wielorakich przyjemności lektury. Budynek zaprojektowany

został przez członka tej szlacheckiej rodziny, Alvina Whiteberry'ego. Neill doceniał obywatelską ofiarność, nie mogąc jednocześnie powstrzymać się od złośliwej refleksji, że Alvin Whiteberry inspirować się musiał patriotyczną architekturą wojennych bunkrów.

Wnętrze kryło jednak miłą niespodziankę. Dominowały w nim pastelowe kolory, a jasna boazeria dawała wrażenie przestrzenności i swobody. Oprócz kobiety, siedzącej za długą ladą, zza której wydawano książki, i jakiegoś staruszka, drzemającego nad trzymanym na kolanach magazynem, w bibliotece nie było nikogo.

Po przekroczeniu progu Neill zastanowił się raz jeszcze nad sensownością całej tej wyprawy. Spytał Annę o siostrę i odpowiedziała mu, że nie chce o tym mówić. Może na tym należało poprzestać? Jeżeli uzna to za stosowne, powie mu o tym sama w przyszłości. Czy to, że między nimi zaczęło właśnie dziać się coś niezwykłego, daje mu prawo do grzebania w jej przeszłości?

Nie był tego pewny, ale nie mógł również pozbyć się obrazu Anny drżącej i szlochającej w jego ramionach, jak również niepokojącego przekonania, że jej lęk spowodowany był czymś więcej niż tylko napadem jakiegoś rzezimieszka.

Poza tym jeżeli sprawa ta rzeczywiście została opisana w gazetach i podana do publicznej wiadomości, przeczytanie odpowiednich sprawozdań nie było już

wkraczaniem w cudzą prywatność. Oczywiście takie rozumowanie było nieco naciągane, Neill jednak postanowił się go trzymać.

Gdy tylko poprosił o majowe egzemplarze lokalnego dziennika sprzed piętnastu lat, bibliotekarka, dwudziestoparoletnia puciołowata brunetka, spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Morderstwo panny Moore? - powiedziała domyślnie.

Odwróciła się i odeszła parę kroków do jednej z półek, na której leżały wysokie sterty związanych tasiemką gazet.

- Trzymaliśmy oddzielnie te numery, bo od czasu do czasu ktoś o nie pytał. Ostatnio mniej, ale podobno przez pierwszych parę lat ta gazeta była tutaj niczym najlepszy bestseller. - Ściągnęła z półki tekturową teczkę i przytaszczyła ją na ladę. - To oczywiście zdarzyło się, zanim tu przyszłam. Pracuję tu od paru lat, ale Jim, mój mąż, chodził do szkoły razem z tymi siostrami. Był chyba o trzy albo cztery lata młodszy od... jakże ona się nazywała... Brooke Moore. Ja jestem z Detroit. Na początku dziwiłam się trochę, że jedno morderstwo może przyciągać uwagę miasteczka przez tyle lat. Ale gdyby pomieszkał pan tu trochę, pewnie i pan by to zrozumiał.

- Morderstwo w takim małym miasteczku nie zdarza się znowu tak często - powiedział niemal automatycznie, bowiem słowo „morderstwo” huczało mu

w głowie jak burza. Brał pod uwagę taką możliwość, ale nawet po tym, jak usłyszał od Davida, że cała sprawa znalazła się w gazetach, wciąż przypuszczał, że chodzi raczej o wypadek, może o samobójstwo. Właśnie samobójstwo mogło zostawić trudny do usunięcia uraz w całej rodzinie. Jednak morderstwo...

- To było podobno wyjątkowo okropne. - Kobieta wzdrygnęła się z niechęcią. - A najgorsze jest to, że nie złapano mordercy. Cała rodzina żyje do dzisiaj tą myślą.

- Tak... - westchnął Neill. - Wykrycie sprawcy pomogłoby im zamknąć tę sprawę, z pewnością - zgodził się, przypominając sobie przypadki, o których pisał w swoich książkach. Ich bohaterowie, bliscy zamordowanych, długo nie mogli wrócić do normalnego życia. Żyli wyłącznie myślą o tym, żeby kiedyś zobaczyć mordercę przed sądem albo na krześle elektrycznym.

- Tak, to na pewno pomaga - kontynuowała dziewczyna. - Nie wypożyczamy egzemplarzy gazet, ale jeżeli pan chce, może pan coś zkserować. Kopiarka stoi przy tamtej ścianie - wskazała ręką - za półkami z książkami dla dzieci. W środy zamykamy nieco wcześniej, ale ma pan jeszcze godzinę.

Neill wziął od niej pakunek, podszedł do jednego ze stołów i przysunął sobie krzesło. Położył przed sobą teczkę, ale nie otworzył jej od razu, tylko bębniąc w nią palcami, zastanawiał się nad tym, co powiedziała mu Dorothy.

„Może nie spodobać ci się to, co usłyszysz”.

Miał niejasne przeczucie, że jej słowa mogą okazać się prorocze.

Pochylił głowę, jakby szykując się do ataku, i powoli otworzył teczkę.

Mimo rozlicznych artykułów, wywiadów i prasowych analiz, sam przypadek nie wyglądał na zbyt skomplikowany. Owszem, był wystarczająco upiorny, żeby zainteresować nawet brukowce w Nowym Jorku lub Chicago, składał się jednak z kilku zaledwie wyrazistych i prostych faktów.

Brooke Moore była osiemnastolatką, która chodziła do ostatniej klasy szkoły średniej. Była spontaniczną, radosną dziewczyną, wiodła prym w gronie koleżanek, otoczona była zawsze przez licznych wielbicieli, należała do American Honor Society - ideał amerykańskiej nastolatki. Jedna z czarno-białych fotografii ukazywała ją w efektownym kostiumie wspartą na ramieniu szczupłego młodzieńca o poważnym spojrzeniu, w którym Neill z pewnym trudem rozpoznał Davida Freemana. Jeżeli wierzyć relacji miejscowego dziennika, była ulubienicą prawie wszystkich nauczycieli i dumą swojej rodziny.

I nagle zniknęła.

Tego dnia poszła jak zawsze do szkoły, była na lekcjach, a gdy ją opuszczała, kilku kolegów zaproponowało jej podwiezienie do domu, odpowiedziała jednak,

że ma przyjechać po nią brat. Tyle że Jack spóźnił się o całe pół godziny, a kiedy przyjechał wreszcie do szkoły, okazało się, że Brooke już w niej nie ma. Domyślając się, że poszła do domu na piechotę, wybrał się na hamburgera z przyjaciółmi. Rodzice również myśleli, że rodzeństwo wybrało się gdzieś razem, i dopiero kiedy Jack wrócił do domu sam, zaczęli się niepokoić.

Przerzucając kolejne artykuły, Neill stopniowo odtworzał całą historię. Minęło kilka godzin, zanim nieokreślony niepokój zaczął przeradzać się w prawdziwy lęk. Zadzwoniono do wszystkich przyjaciół, sprawdzono miejscowy klub i bary, których w Loving nie było zresztą wiele, ale nie znaleziono żadnego śladu. Pojawiła się panika. Obdzwoniono jeszcze raz wszystkie koleżanki i kolegów. Koleżanki i koledzy dzwonili do siebie nawzajem, a wieść, że Brooke Moore zniknęła, obiegła miasteczko lotem błyskawicy.

Neill domyślał się, że w spokojnej osadzie, takiej jak Loving, gdzie wszyscy znają się ze sobą i wszystko o sobie wiedzą, przypuszczenie o zbrodni z dużym trudem przedzierało się do świadomości. Chociaż relacje donosiły, że szeryf rozpoczął postępowanie według oficjalnych procedur, Neill był pewny, że uważał to zrazu za stratę czasu i był przekonany, że Brooke pojawi się prędzej czy później w domu, cała i zdrowa, z wypiekami na twarzy po przeżytych przygodach. Ot, dziewczęńska fanaberia. Nawet najle-

pszym uczennicom zdarzają się w końcu chwile szaleństwa.

Dopiero kiedy minął dzień, potem drugi, i zaczął się trzeci, policja przyjęła do wiadomości, że może mieć do czynienia z poważnym przestępstwem. W dużym mieście byłoby to bardziej oczywiste, ale w Loving, gdzie najpoważniejsze policyjne akcje sprowadzały się do tropienia kradzieży sklepowych i uciszaniu od czasu do czasu rozbrykanej młodzieży, konstatacja ta przyszła z trudem.

Upłynęły prawie dwa tygodnie, nim znaleziono pierwszy ślad. Żołądek podszedł mu do gardła, gdy czytał dalsze sprawozdanie: jakiś farmer złapał gumę i zatrzymał się, żeby zmienić koło dwie mile od miasta, a kiedy zajrzał do rowu, znalazł z nim uciętą kobiecą rękę. Zwymiotował podobno cały lunch, zostawił przy drodze stare koło, żeby odnaleźć później feralne miejsce, i pojechał na policję. Ojciec Brooke rozpoznał rękę córki po pierścionku, który nosiła na palcu.

Jeżeli rodzina Moore'ow miała do tamtej pory jakąś nadzieję, makabryczne odkrycie położyło jej kres. Po dwóch dniach odnaleziono następny szczątek ciała, o milę dalej od pierwszego miejsca. Cała reszta poszukiwań sprowadziła się do systematycznego przeczesania okolicy, przerywanego kolejnymi znaleziskami, które znaczyły drogę mordercy niczym zużyte opakowania wyrzucane przez okno samochodu.

Pogrzebowi, na który przyszli niemal wszyscy mie-

szkańcy Loving, towarzyszyło duże zainteresowanie prasy i mediów z całego stanu. Neill starał się nie przyglądać zbyt długo zdjęciom, zastanowiło go jednak, że stojący obok siebie rodzice Brooke nie obejmują się ani nie trzymają nawet za ręce. Stali osobno: Olivia wyprostowana jak struna, w czarnej prostej sukni, z kamiennie poważną twarzą, jej mąż przygarbiony, z pochyloną głową, co uniemożliwiało zobaczenie twarzy. Bardzo młody Jack, z falą włosów spadającą na czoło, spoglądał przed siebie pustym i pozbawionym wyrazu wzrokiem osoby znajdującej się w stanie głębokiego szoku.

A obok dziesięcioletnia Anna - w czarnej sukience, z chudymi jak patyki nogami i pełnymi łez oczami, otwartymi szeroko w zdumieniu i lęku.

Neill zastanowił się w duchu, czy Olivia udała się przed pogrzebem na zakupy, żeby sprawić sobie stosownie elegancką suknię, ale zaraz skarcił się i pomyślał, że krzywdzi ją tym przypuszczeniem. Jej spojrzenie było wprawdzie lodowate, ale może tak właśnie reagowała matka na śmierć córki.

Z dalszej lektury dowiedział się o prowadzonym przez kilka miesięcy dochodzeniu, które nie doprowadziło jednak do wykrycia sprawcy. Ze sprawozdań policyjnych, które dotarły do prasy, wynikało, że oprócz ciała nie odkryto żadnych śladów ani poszlak, które pozwoliłyby kontynuować sprawę. Nikt nie przypomniał sobie, żeby widział w mieście w owym czasie ja-

kichś obcych. Przesłuchano niemal każdego, kto znał Brooke, ale nie wykryto u nikogo motywów, które mogłyby doprowadzić do morderstwa. Rozczarowanie kilku młodocianych adoratorów, odrzuconych przez miejscową piękność, nie wydawało się wystarczającym powodem, by pociąć kogoś na kawałki.

Przerwy między datami umieszczonymi na kolejnych wycinkach prasowych stawały się coraz większe, aż do czasu kiedy mniej więcej rok później pojawiła się sensacyjna wiadomość o morderstwie dokonanym w podobny sposób w sąsiednim stanie Illinois. Do sprawy wkroczyło FBI i powstały domniemania, że oba makabryczne mordy mogą być dziełem tego samego zbrodniarza-psychopaty. Jeśli nawet jednak tak było, człowiek ów nie dokonał już następnej zbrodni - lub być może ciało kolejnej ofiary nie zostało po prostu znalezione - i tragiczna śmierć Brooke Moore stała się jeszcze jedną nierozwikłaną zagadką w policyjnych archiwach.

Neill siedział przez dłuższą chwilę, wpatrując się w ścianę tępym wzrokiem. To wszystko wyjaśniało bardzo wiele. Reakcja Anny, jej stan bliski hysterii, który pojawił się na myśl, że ludzie, słysząc o napadzie, przypomną sobie natychmiast, co wydarzyło się z jej siostrą...

Mógł sobie wyobrazić, co działo się wtedy w jej głowie, co musiałaby słyszeć z pokątnie szeptanych uwag. „Zobaczcie, to siostra tej zamordowanej dziew-

czyny... Ciekawe, co przeżywa tym razem ta biedna rodzina... To biedactwo musi strasznie się czuć, najpierw siostra, teraz ona..."

Anna bała się wracać do tej sprawy, to oczywiste. Bała się, bo bardzo ją przeżyła. Czy jej rodzina zdawała sobie sprawę, że śmierć Brooke była w jakiś sposób najtrudniejsza właśnie dla jej młodszej siostry? Czy byli tak przejęci własnym bólem, że nie widzieli, co przeżywa Anna?

Osobną sprawą było teraz, jak Anna zareaguje na odkrycie, że on sam nie jest jakimś początkującym pisnikiem, ale uznanym autorem, który wyrobił sobie markę, pisząc o takich właśnie sprawach.

Powinam czuć się dziwnie, pomyślała Anna, mówiąc „dzień dobry” kolejnemu pracownikowi banku, którego spotkała na korytarzu. Po burzy emocji, przez którą przeszła wczoraj, naturalną kolejną rzeczy powinna chcieć teraz unikać Neilla Devlina. Powinna być zażenowana utratą panowania nad sobą i stanem, do jakiego się doprowadziła. Powinna wstydzić się tego, że łkała w jego ramionach jak przestraszone dziecko, odkrywając przed nim cały lęk, który starała się ukryć przed światem. I tego też, że zaraz potem złożyła mu niedwuznaczną propozycję, stwierdzając, że nie musi wcale spać na kanapie. Zaprosiła go do własnego łóżka, a on, oczywiście, zachował się jak szlachetny dzentelmen.

Tak, powinna się czuć po takiej nocy co najmniej dziwnie, a jednak czuła się normalnie. Była spokojna, zadowolona z siebie. I podekscytowana za każdym razem, kiedy przypominała sobie, co jej powiedział: „Kiedy będziemy się kochać...”. Nie „jeżeli”, ale „kiedy”!

Usta Anny wygięły się w lekkim uśmiechu. Z pewnością istniały kobiety, które byłyby obrażone podobną arogancją, ale ona do nich nie należała. Wręcz przeciwnie, poczuła się pewniej. On jej pragnął. Powiedział jej to. I zależało mu na niej, bo gdyby było inaczej, wykorzystałby chwilę jej słabości i spędziłby z nią noc, zamiast przewracać się z boku na bok na niewygodnej kanapie. Z jego strony było to zatem coś więcej niż tylko ochota, żeby się z nią przespać.

Była w nim prawie zakochana - a może nawet więcej niż „prawie” - i nie miało już dla niej żadnego znaczenia, że zna go zaledwie od kilku dni. Gdy próbowała nieraz wyobrazić sobie, jak to będzie, gdy zakocha się kiedyś w mężczyźnie, widziała zawsze długi proces, w czasie którego poznawała stopniowo swego wybranka, uczyła się jego przyzwyczajień, upodobań, marzeń. Kiedy te obrazy stawały jej przed oczami, były zwykle lekko rozmyte i nieostre, z romantyczną muzyką w tle, delikatne i czułe.

Z pewnością nie oczekiwała eksplozji świateł i kolorów, która nastąpiła, kiedy Neill ją całował; nie wyobrażała sobie, że może nagle poczuć spazm po-

żądania, nad którym trudno jej będzie zapanować. W tym, co zdarzyło się między nimi, nie było sentymentalnych, mdłych wzruszeń. Wszystko było mocne i wyraziste. I tak bardzo erotyczne. Najważniejsze zaś, że ona, po raz pierwszy w swym tak ostrożnym, tak spokojnym życiu, nie miała zamiaru się temu opierać.

- Kiedy będziemy się kochać...

O tak, chciała się z nim kochać. To zdanie było teraz dla niej czymś więcej niż tylko niespełnioną fantazją. I kiedy wymówiła je po raz kolejny, nie czuła bynajmniej żadnego wstydu. Wiedziała, że „kochanie się” z Neillem jest już tylko kwestią czasu.

Przeciętny dzień w pracy nie stawiał przed Anną nadzwyczajnych wymagań, a i ten nie różnił się szczególnie od innych. Zostawiał jej sporo czasu na rozmyślanie, a myśli jej niezmiennie krążyły wokół Neilla. W pewnym momencie przyłapała się na tym, że wpatruje się niewidzącym wzrokiem w ścianę, z palcami bez ruchu na klawiaturze i rozanielonym wyrazem twarzy. Nic więc dziwnego, że w ciągu godziny Marge zdażyła już po raz drugi zatrzymać się przy jej biurku, żeby spytać, czy dobrze się czuje.

- Wyglądałaś, jakbyś przebywała w zaświatach. Czy wiesz, że podlałaś już dzisiaj po raz trzeci filodendron na oknie? Jeszcze jedno podejście i biedna roślinka rozplynie się ze szczęścia. Dałaś mi poza tym

już drugi formularz kredytowy, w którym nie było napisane nic z wyjątkiem nazwiska klienta.

- Przepraszam. - Anna zaczerwieniła się i odebrała formularze z rąk koleżanki. - Chyba jestem dziś trochę roztargniona.

- No cóż, to zdarza się każdemu z nas. - Lekka irytacja Marge zamieniła się w ciekawość. - Powiedz jednak, czy twoje myśli błędzą w jakimś określonym rejonie? Z mojego doświadczenia wynika, że jeżeli kobieta nie może skupić myśli, to w dwóch przypadkach na trzy tym, co odciąga jej uwagę, jest mężczyzna. Świat nie zmienił się aż tak bardzo od czasów mojej młodości i ciągle nie ma niczego, co skuteczniej powodowałoby kobiece roztargnienie.

- Niestety, Marge, to staroświeckie bzdury - miły uśmiech Anny pozbawił jej odpowiedź cech złośliwej riposty. - Ja naprawdę jestem dziś roztargniona. To wszystko.

- Skoro tak mówisz... - Marge nie starała się nawet udawać, że w to wierzy. - Ale gdyby to jednak był mężczyzna, to zdaje się, że za chwilę będziesz miała okazję z nim porozmawiać.

Neill, przemknęło jej przez myśl i Anna odwróciła się gwałtownie, czując, jak jej serce zaczyna bić szybciej. W następnej chwili musiała jednak uczynić duży wysiłek, żeby ukryć rozczarowanie - koło barierki oddzielającej ją od bankowego holu stał Frank Miller. Znała go całe życie, ba, jadła z nim przecież przed-

wczoraj obiad, ale teraz z trudem przypomniała sobie jego imię. Nie pomyślała o nim ani razu od czasu mdłego pocałunku, gdy w piątek rozstawali się przed jej domem.

- Cześć - Frank ukłonił się Annie i Marge.

- Witaj, Frank - Marge uśmiechnęła się przyjacielisko. - Jak się miewa twoja mama? Nie widziałam jej w kościele w niedzielę.

- Dziękuję. Przeziębła się trochę. Nic poważnego, ale boli ją gardło, więc wolała nie ryzykować ataku kaszlu w samym środku kazania.

- Gorąca woda z miodem i z cytryną - podpowiedziała Marge. - Nie ma nic lepszego na chore gardło.

- Przekażę, przekażę... - odpowiedział grzecznie i przeniósł wzrok na Annę, która nie powiedziała do tej pory ani słowa. - Zastanawiałem się, o której wybierasz się dziś na lunch...

Nie potrzeba było jasnowidza, żeby domyśleć się, o czym chciał z nią rozmawiać. Ktoś bardzo życzliwy pospieszył już na pewno z doniesieniem, że widział ją razem z Neillem. Anna musiała stłumić napływające zniechęcające poczucie winy. Nie mieli przecież wobec siebie żadnych zobowiązań. Nic sobie nie obiecywali, nie byli zaręczeni ani nawet nie mówili o tym głośno.

- Dlaczego nie zrobisz sobie przerwy już teraz? - podpowiedziała Marge z miną zadowolonej z siebie swatki.

- Ja... Dobrze, dziękuję - Anna bez słowa wróciła

do komputera, żeby zapisać plik, na którym pracowała, i włączyć wygaszacz ekranu. Przyglądała się jeszcze chwilę, jak po czarnym tle monitora przesuwiają się powoli kolorowe rybki, po czym z lekkim westchnieniem odsunęła krzesło od biurka i sięgnęła do szuflady po torebkę.

Frank, jak zwykle grzeczny i uprzejmy, sam otworzył małą bramkę w barierce i puścił ją przodem. Zmusiła się do lekkiego uśmiechu i czując na plecach zaintrygowany wzrok Marge, przyspieszyła kroku.

- Pomyślałem, że moglibyśmy usiąść w radiowozie i porozmawiać parę minut, jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedział, pchając energicznie obrotowe drzwi banku.

- Pod warunkiem że nie będę musiała siedzieć z tyłu za pancerną szybą - zupełnie niespodziewanie w tej sytuacji zdobyła się na żart, lecz niestety nie mogła liczyć na poczucie humoru ze strony Franka.

- Och, nie - odpowiedział z powagą - myślę, że lepiej będzie, jeśli usiądziesz obok mnie z przodu.

Rześkie powietrze, które przyniósł wczorajszy deszcz, wypierał już powoli żar, lejący się bezlitośnie z bezchmurnego nieba. Frank grzecznie otworzył drzwi z prawej strony i obszedł samochód, żeby usadowić się na siedzeniu kierowcy, po czym włączył silnik, żeby uruchomić klimatyzację.

- Chciałbym porozmawiać z tobą o piątkowym wieczorze - zaczął.

- Frank, ja... - zatrzymała się w połowie zdania, przełknęła ślinę i zaczęła wpatrywać się w swoje dłonie złożone na kolanach.

Lubiła Franka. Nie kochała go, ale był porządnym facetem i nie chciała go zranić. Wciągając głęboko powietrze, podniosła na niego wzrok.

- Frank - zaczęła znowu - myślę, że powinniśmy przestać się widywać. Przynajmniej nie na tej stopie. To nie... to nie zaprowadzi nas donikąd.

Jeżeli te słowa wywarły na nim jakieś wrażenie, na pewno nie dało się tego wyczytać z jego twarzy. Nadal spoglądał na nią tym samym spokojnym, niewzruszonym spojrzeniem, do którego zdążyła się przyzwyczaić. I jak zwykle nie widać było, żeby spieszył jej powiedzieć, co właściwie draży jego myśli, jeśli drażyło je cokolwiek. Ciszę, w której siedzieli dłuższą chwilę, wypełniał tylko monotony szum klimatyzacji. Obok samochodu przechodzili ludzie, z wyraźnym zaciekawieniem spoglądając na siedzącą w policyjnym samochodzie parę.

- Jeżeli chcesz spytać o to, czy umawiałam się z nim, jestem pewna, że znasz już odpowiedź. Jeżeli chcesz spytać, czy dlatego mamy się już nie spotykać, odpowiedź brzmi „nie”. Być może Neill okazał się po prostu czymś w rodzaju katalizatora, ale ja już od dawna wiedziałam, że ty i ja... - Zawahała się chwilę, szukając słów, które byłyby szczere, a jednocześnie niezbyt okrutne. - Po prostu chyba nie czuję do ciebie

tego wszystkiego, na co zasługiwałbyś ze strony kobiety.

- Takie rzeczy przychodzą z czasem.

Albo pojawiają się jak błyskawica, pomyślała natychmiast.

Ale nie powiedziała tego głośno. Nie była pewna, co tak naprawdę Frank do niej czuje. I to był właśnie problem: nigdy nie była pewna, co Frank czuje w stosunku do kogokolwiek. Nie chciała mu jednak sprawić przykrości, toteż przyznała zgodnie:

- Jestem pewna, że uczucia przychodzą z czasem. Ale musi być coś, od czego się zaczyna, przynajmniej jakaś isierka... I chociaż tak bardzo cię lubię, nie czuję tej isierki, nie czuję tego czegoś, od czego mogłaby zacząć się nasza... miłość.

- To dobrze, że jesteś ze mną szczerą - powiedział, odwracając na chwilę wzrok, by zaraz potem znów spojrzeć jej w oczy.

W jego spojrzeniu ujrzała smutek - i był to jeden z pierwszych momentów, kiedy umiała odczytać z oczu Franka jakieś uczucia.

- Ten facet jest tu tylko przejazdem, Anno. Z tego, co słyszałem, wyjedzie stąd tak szybko, jak się pojawił. Bardzo nie chciałbym widzieć, jak cierpisz z jego powodu.

- Nie będę cierpieć - odpowiedziała bez namysłu, mając nadzieję, że tak się właśnie stanie.

Frank przytaknął w zamyśleniu głową.

- No cóż, twoja sprawa.

Krótki moment, gdy na jego twarzy widoczne były jakieś emocje, już minął i Anna zastanowiła się, czy to, co przed chwilą widziała, nie było jedynie złudzeniem.

Znów zapadła cisza, tym razem przedłużająca się i pełna napięcia. Anna nigdy jeszcze z nikim nie zrywała, nie prowadziła podobnej rozmowy. Czy jest jakiś stosowny czas, kiedy powinni tak siedzieć w milczeniu, rozmyślając o tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby... Może jest jakiś ustalony sposób załatwiania tych rzeczy, który określa, kto powinien wstać pierwszy i powiedzieć „do widzenia”.

- Chyba muszę wracać do pracy - odezwała się w końcu, gdy milczenie stawało się trudne do zniesienia. Sięgnęła do klamki. - Zobaczymy się jeszcze przecież, prawda?

- Na pewno - przytaknął Frank, nie patrząc na nią, za co była mu gorąco wdzięczna.

Wyślizgnęła się z samochodu i nim zrobiła kilka kroków, Frank wrzucił bieg i powoli ruszył. Odwróciła się jeszcze i spojrzała na niego, mając nadzieję, że nie uraziła zbyt jego męskiej dumy.

Ale przecież zrobiła to, co powinna. Cokolwiek zdarzyło się i zdarzy pomiędzy nią i Neillem, nie zmieniło w żaden sposób konkluzji, że szansa, by w przyszłości połączyło ją z Frankiem Millerem jakieś uczucie, zniknęła bezpowrotnie.

- Och... - odwracając się, niemal wpadła na mężczyznę, który stał za nią na chodniku. - Neill? - niemal wykrzyknęła.

- To nie był twój brat - bardziej stwierdził niż spytał, wpatrując się w odjeżdżający samochód.

- Nie, to był Frank Miller. On i ja... spotkaliśmy się parę razy w przeszłości - sama nie wiedziała, dlaczego poczuła konieczność wytłumaczenia się przed Neillem.

- Powiniennem być zazdrosny? - Spojrzał na nią badawczo.

- A byłbyś? - spytała i poczuła nagle na sobie jego ostry, przenikliwy wzrok.

Trwało to tylko moment i zaraz potem twarz Neilla rozjaśnił uśmiech. Ona jednak nie mogła zapomnieć, że przed chwilą w jego oczach błysnęło coś niebezpiecznego, co spowodowało, że ciarki przeszły jej po plecach.

- Frank i ja jesteśmy przyjaciółmi - powiedziała, wciąż nie mogąc uspokoić oddechu.

Nieco później z przyjemnością powróciła do tej chwili. Konstatacja, że jest w stanie obudzić zazdrość w mężczyźnie takim jak Neill, sprawiła jej przyjemność. Poczuła się trochę bezwstydnie, ale nie zmieniło to faktu, że powróciła do tej myśli jeszcze kilkakrotnie.

- Przyjaciele to dobra rzecz - powiedział filozoficznie Neill i odsunął kosmyk włosów, który spadł jej

na twarz. Miał wyraźnie ochotę przesunąć dłonią po jej policzku, by znów ujrzeć w oczach Anny zdumienie i rozkosz, jednak w ostatniej chwili się powstrzymał.

- Przyszedłem, żeby spytać, jak się czujesz.

- Nieźle. Całkiem nieźle.

Odpowiedź tę można by uznać za prawdziwą, gdyby nie to, że znów drżały pod nią kolana, a jej puls walił dwa razy szybciej niż zwykle.

- To dobrze. - Neill przesunął lekko kciukiem po jej wargach i Anna z trudem powstrzymała się, by nie przygryźć go delikatnie zębami. - Pojedź ze mną do Chicago - poprosił nieoczekiwanie.

Zrozumienie sensu tych słów zajęło jej dłuższą chwilę. Kiedy wreszcie ów sens do niej dotarł, spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczyma i spytała:

- Co takiego?

- Pojedź ze mną do Chicago, na weekend. Na ten weekend. Zjemy gdzieś miłą kolację, potem pójdziemy na jakieś przedstawienie. Mój brat ma w Chicago restaurację. Na pewno zaprosi nas raz czy dwa. Jeżeli udałoby ci się skończyć wcześniej w piątek, podróż zajęłaby nam popołudnie, a w niedzielę wieczorem byłibyśmy z powrotem. Wzięłbym...

- Dobrze.

Anna nie musiała długo się zastanawiać, chociaż wiedziała, że to szaleństwo wybierać się gdzieś z mężczyzną, którego zna się niecałe dwa tygodnie. To prawda - rozsądna kobieta zastanowiłaby się nad tym dłu-

żej, nie podejmowałyby decyzji tak pośpiesznie. Ale Anna wiedziała z doświadczenia, że rozsądne kobiety prowadzą nieciekawe życie. Tym razem postanowiła zaryzykować i zlekceważyć zdrowy rozsądek. Posłuchać tego, co mówi serce.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Elegancja i luksus hotelowego lobby zrobiły na Annie wielkie wrażenie. Marmurowe, lśniące posadzki w części głównej, pluszowa, niebieska wykładzina w części wypoczynkowej, obszerne fotele otoczone kwiatami, dyskretna muzyka, a w centrum fontanna i palmy. Czuła się tu, jakby weszła na plan filmowy, by wcielić się za chwilę w jakąś bohaterkę z wyższych sfer.

Widząc, jak jej otwarte szeroko oczy chłoną wszystko dookoła, Neill nie mógł się powstrzymać od na poły pobłażliwego, na poły czułego uśmiechu. Poczował też złość do losu, który kazał tej dziewczynie pozostawać przez tyle lat w prowincjonalnym miasteczku, w całkowitej niemal izolacji od świata i jego powabów. Mieszkać w miejscu oddalonym od Chicago zaledwie o parę godzin i nigdy nie wybrać się do miasta? Mógłby to zrozumieć, gdyby Anna nie miała w sobie tej naturalnej ciekawości życia. Ale już sam widok tego, jak rozkoszuje się każdym nowym miejscem i nową rzeczą, które napotykali na swej drodze, nie pozostawiał żadnych wątpliwości - przez tyle lat, które spę-

dziła, tkwiąc w Loving, ominęło ją coś ważnego. Ważnego dla niej samej.

Przywiózł ją tutaj, ponieważ był pewny, że sprawi jej to przyjemność, ale też dlatego, że pragnął znaleźć się wreszcie na neutralnym gruncie. Miał powiedzieć jej tu o wszystkim: o tym, że wie, co przytrafiło się Brooke, i o paru szczegółach dotyczących jego literackiej kariery. Obawiał się zwłaszcza tego ostatniego. Kto wie, co się stanie, jeśli Anna uzmysłowi sobie, że mężczyzna, którego poznała, nie jest dokładnie tym, za kogo go uważa. Z tych właśnie powodów wołał, by rozmowa ta nie odbyła się w Loving.

Przez ostatnie dwa dni próbował przekonać siebie, że nie ma się o co martwić. Anna może poczuć się co prawda nieco zirytowana albo nawet urażona - z tych dwóch rzeczy wolałby pierwsze - ale przecież nie było prawdą, że kłamał, mówiąc o sobie. A to, co przydarzyło się jej siostrze, podane przecież zostało do publicznej wiadomości, więc czytając o tym w prasie, nie okazał się żadnym wścibskim intruzem. Zainteresowała go ta sprawa, więc przeczytał, co było do przeczytania. Czy to grzech?

Przywiózł ją zatem do wielkiego miasta, by odkryć przed nią ten inny świat, zabrać ją do miłej restauracji, może doprowadzić do lekkiego rauszu dwoma lub trzema kieliszkami wina i... rozpocząć wyznania. Humor psuła mu myśl, że manipuluje nią trochę i zachowuje się jak podstępny Mś, skwitował to jednak

lekkim westchnieniem. Czasami naprawdę cel uświęca środki.

Kiedy Anna zdała sobie sprawę z klasy hotelu, jaki wybrał Neill, przede wszystkim poczuła wdzięczność. Neill okazał się doprawdy romantyczny, zdobywając się na taki gest. Miała jednak nadzieję, że wybrał któryś z tańszych pokoi i że pobyt w takich luksusach nie nadweręży zanadto jego kieszeni. Kiedy wjeżdżali windą, zagryzła lekko wargi, zastanawiając się, czy nie powinna zaproponować, że podzieli się choć w części kosztami. Nie wiedziała jednak, jaki skutek może wyrzucić taka propozycja, toteż uznała, że na razie lepiej nie prowokować kolejnego zmarszczenia brwi, które widziała po drodze do Chicago już kilkakrotnie.

Kiedy wreszcie drzwi windy rozsunęły się przed nimi, ujrzeli małe, przytulne lobby i przywitani zostali przez uśmiechniętego mężczyznę w średnim wieku ubranego w hotelowy uniform. Poczuła się lekko zaskoczona, ale ponieważ nigdy nie spała jeszcze w żadnym hotelu, pomyślała, że w miejscu takim jak to ktoś z hotelowej obsługi wita gości na każdym piętrze. Nawet gdyby zauważyła niewielką mosiężną tablicę z napisem „Concierge” i tak nie powiedziałaoby jej to zbyt wiele.

Ale nie potrzeba było wielkiego obycia, żeby zdać sobie sprawę, że znaleźli się w bardzo droгим pokoju. Gruby, perłowy dywan, zasłony w kolorze *royal blue*,

dwie duże kanapy, jedna z wzorzystym kwiatowym obiciem, druga w delikatne paski w różnych odcieniach błękitu, bar pełen drinków, gustowne grafiki na ścianach i piękny bukiet w wazonie, a w rogu po przeciwnej stronie od wejścia - drzwi do sypialni, przez które widać było fragment wielkiego łóża. To nie był pokój, ale apartament.

- Zarezerwowałem miejsca na kolację w tutejszej restauracji - obwieścił Neill, podchodząc do okna i odsuwając szerzej zasłony, zza których wyłonił się wspaniały widok jeziora Michigan.

Żeby upewnić się, że nie śni, Anna również podeszła do okna i oparłszy dłonie na parapecie, spojrzała w dół. Przed nimi rozciągała się panorama miasta, wymalowana szarozłotymi odcieniami zmierzchu. Nigdy jeszcze nie spoglądała na świat z tak wysoka i przez krótki moment zakręciło jej się w głowie. A może to tylko szok, który przyniosło znalezienie się tutaj?

Odwróciła się i raz jeszcze przebiegła wzrokiem pokój, tym razem metodycznie i powoli. Wolała się nawet nie zastanawiać, ile mogło kosztować takie szaleństwo, ale była pewna, że bardzo dużo. Gdy Neill zaprosił ją na wspólny wyjazd, wydawało się jej, że wie, czego oczekiwać. Przede wszystkim wiedziała, że zostaną kochankami, co zaś do miejsca, gdzie zamieszkają, to spodziewała się, że Neill postara się wybrać coś miłego, coś przytulnego... To, co zobaczyła, przeszło jej najśmielsze oczekiwania.

Przyglądając się jej ukradkiem, Neill dostrzegł na twarzy Anny jakieś wahanie, ale źle ocenił jego przychylny.

- Jeśli nie podoba ci się ten pokój, możemy zamienić go na inny. Albo nawet pójść do innego hotelu.

- Ależ oczywiście, że mi się podoba! Jest cudowny... - Zatoczyła szeroki łuk ręką, jakby chciała ogarnąć wszystkie te wspaniałości. - To wygląda jak... jak sceneria z tych starych filmów, które lubi oglądać Dorothy. Jak mogłoby mi się nie podobać? Ja po prostu...

Spojrzała na niego bezradnie i zdecydowała, że nie istnieje taktowny sposób powiedzenia tego, co chciała powiedzieć.

- Po prostu pomyślałam, że to wszystko musi kosztować majątek, a ja nie jestem... Czy stać cię na takie szaleństwo?

Przypuszczenie, że to co robią, jest ponad stan, przyniosło mieszane uczucia przyjemności i winy, dziwny stan umysłu, znany jej od zaledwie dwóch tygodni, do którego zaczynała się wszakże powoli przyzwyczajać.

Powiedz jej w końcu, zdawał się zdradziecko podszeptywać Neillowi jakiś głos. Nie, jeszcze nie teraz. Niech jeszcze ten wieczór będzie taki jak poprzednie. Przecież niewykluczone, że gdy Anna dowie się prawdy, to odwróci się bez słowa, nie dając mu nawet szansy, żeby wytłumaczyć, dlaczego przemilczał tyle tak ważnych rzeczy. Co nie zmieniało zresztą faktu,

że kiedy będzie miał okazję się wytłumaczyć, i tak nie będzie potrafił przedstawić żadnych sensownych argumentów.

- Wkalkulowałem w koszty, że może nie będziesz miała nic przeciwko zejściu na śniadanie na dół, by w ten sposób zaoszczędzić trochę na serwisie - powiedział żartobliwie, starając się zbyć jej pytanie.

Uśmiechnęła się, ale w jej oczach pozostało zatroskanie. Neillowi nie przyszło już do głowy nic lepszego, więc tylko wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie.

- Och, dwie noce w eleganckim hotelu nie doprowadzą mnie do ruiny, kochanie. Nie prowadzę na co dzień tak ekstrawaganckiego stylu życia.

- Jeśli jesteś tego pewny... - Spojrzała na niego z bładym uśmiechem. - Ale nie musisz tego robić dla mnie - dodała.

Czy domyśliła się już, że jest w niej zakochany? I to do szaleństwa? Patrząc teraz w jej wielkie szare oczy, Neill pomyślał, że zakochał się w niej już wtedy, pierwszego dnia, kiedy stała obok swojego śmiesznego czerwonego samochodziku i spoglądała na niego, nieznanomego mężczyznę, lekko przerażonym wzrokiem. Rzeczywiście, miał wtedy ochotę rzucić się na nią. A jeszcze większą ochotę miał na to teraz.

Starając się zachować nad sobą kontrolę, schylił głowę i pocałował ją w usta - długo, bez tchu, aż poczuł, jak słabnie w jego ramionach. Przez chwilę chciał zrezygnować z kolacji i wsunąć się z nią od razu do łóż-

ka, ale powiedział sobie po raz kolejny, że nie chce, żeby stało się to w ten sposób. Ma być inaczej, przypomniał sobie. Powoli, delikatnie, czule. To w końcu coś więcej niż weekendowy romans, o wiele więcej. Jak bardzo - bał się nawet myśleć.

To był magiczny wieczór. Elegancka restauracja, nieskazitelnie białe obrusy, duże płaskie talerze i fantazyjne kieliszki stworzyły atmosferę wykwintnego przyjęcia. Za jego poradą Anna zamówiła homara i w wykonaniu miejscowego kucharza danie okazało się wspaniałe. Wino było delikatne i orzeźwiająco chłodne, a obok nich, za oknem, rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok na jezioro Michigan. Nawet kelner był przemiły i wciąż uśmiechał się do nich. Ale Anna wiedziała, że wieczór z Neillem byłby równie wspaniały gdziekolwiek, nawet gdyby zabrał ją na hamburgera z frytkami. To nie jedzenie ani otoczenie czyniło wieczór niezwykłym. To on.

Kiedy myślała, że jest w nim „prawie” zakochana, głęboko się myliła. Więcej niż „prawie”, pomyślała teraz, sącząc delikatny napój w złocistym kolorze. Była w nim zakochana na zabój, miała ochotę podsunąć mu swoje serce na dłoni. A najwspanialsze, że zdarzały się chwile - na przykład gdy Neill uśmiechał się do niej albo całował jej usta z rozbijającą czułością - kiedy była w stanie uwierzyć, że i on czuje to samo.

A jeżeli jest inaczej?

No cóż, będzie się tym martwić później. Przez całe życie była ostrożna. Ten jeden raz - w ten szalony weekend - postanowiła żyć na całego, nie zastanawiając się, jakie będą konsekwencje.

Po kolacji Neill zamówił taksówkę i zabrał ją na taras widokowy, informując, kiedy już tam wjechali, że znajdują się na dziewięćdziesiątym czwartym piętrze, co daje razem trzysta pięć metrów nad powierzchnią ziemi. Bardzo rozbawił ją pedantyczny ton, jakim Neill naśladował lekko znudzony głos niemrawych przewodników, ale gdy spojrzała przed siebie, na rozciągające się pod nimi miasto i bezkresne, ginące w mroku jezioro, nie mogła powstrzymać okrzyku zachwytu.

- To takie piękne - wyszeptała i spojrzała na niego rozpromieniona.

- Nawet w połowie nie tak piękne jak ty.

I przyciągnąwszy ją do siebie, całował tak długo, aż migocące światła miasta i rozgwieżdżone niebo zaczęły wirować wokół niej z zawrotną szybkością.

Kiedy wrócili do hotelu, było już późno. Gdy wjeżdżali na górę windą, Anna czuła w głowie to samo rozkoszne, delikatne kołysanie, jakie pamiętała z czasu, kiedy jedyny raz w życiu wypijała za dużo wina. Ale to nie dwie lampki spowodowały teraz, że czuła się tak cudownie. Przyczyną był człowiek, który był obok niej. Mężczyzna, który niedługo miał stać się jej kochankiem. Czyż nie było to wspaniałe, magiczne słowo?

Neill otworzył drzwi i wpuścił ją pierwszą do pokoju. Z trudem powstrzymywał niemal bolesne pragnienie, by dotknąć jej ciała. Och tak, dotknąć ciała, posmakować ust. Delikatne, przelotne pocałunki, które dzielili w czasie kolacji, muśnięcia dłoni rozpałyły w nim pożądanie, nad którym coraz trudniej było mu zapanować. To, co działo się między nim i tą kobietą, było czymś niezwykłym. Niezwykłym i ważnym. Tak ważnym, że mógł poczekać.

Przeszła kilka kroków i stanęła na środku pokoju, spoglądając na niego pytająco. Chyba nigdy jeszcze nie wyglądała tak pięknie - w prostej, czarnej sukience odsłaniającej jej olśniewające długie nogi w czarnych pończochach. Włosy wciąż miała spięte z tyłu głowy, choć kilka luźnych pasemek wysunęło się fantazyjnie i opadło na policzki. Neill zapragnął zanurzyć palce w tych jedwabistych włosach, zsunąć spinki i pozwolić, by opadły wszystkie.

Wziął głęboki oddech.

- Nie musimy robić niczego, na co nie masz ochoty. Wystarczy, że powiesz tylko jedno słowo...

Zadarła lekko głowę i spojrzała mu głęboko w oczy.

- I nie będziesz miał nic przeciwko temu, żeby znów spać na kanapie?

- Jeśli mi każesz, mogę spać nawet na dywanie.

Przesunęła dłonią wzdłuż szyi i małego dekoltu. Neill powiódł wzrokiem za jej ruchem i poczuł, że zasycha mu w gardle.

- Mam więc spać sama w sypialni, a ty prześpisz się tutaj? Z nogami wystającymi za kanapę?

Neill nie mógł oderwać wzroku od palców, które w roztargnieniu zawędrowały już na wypukłość piersi. Boże, czy ta dziewczyna postanowiła zamęczyć go na śmierć?

- Tak... sama - wyjąkał. Spięty, niemal sparaliżowany, był już w stanie odpowiadać tylko monosylabami. Jeszcze parę minut i w ogóle nie zdoła wydobyć z siebie głosu.

Dłoń oderwała się wreszcie od piersi i opadła swobodnie przy boku. Anna popatrzyła na niego w milczeniu, po czym powoli, jakby ze świadomością tego co robi, przesunęła językiem po wargach.

- Czy wiesz, co mam na sobie pod tą sukienką?

Neill nie wierzył własnym uszom. Niewinna kusicielka, przeczysta grzesznica! Czyż nie o takiej kobiecie marzy każdy mężczyzna?

- C-co? - zająkał się znowu

- Kupiłam kiedyś trochę zwariowanej bielizny z katalogu. Napisali w nim, że nie sposób się jej oprzeć.

- Tak... tak napi... sali?

- Dali na to gwarancję. - Rzuciła na niego zachęcające spojrzenie, odwróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku sypialni. - Może powinnam ją odesłać i zażądać zwrotu pieniędzy?

Nie, nie rzuci się na nią. Jeszcze nie teraz. Nie po-

wali jej na podłogę i nie weźmie jej tu, na dywanie. Postanowił sobie przecież, że ten pierwszy raz będzie wyglądał inaczej. Ma w sobie dość siły woli, by pójść za nią spokojnie do sypialni, nie pocąc się i nie dysząc z pożądania. Był tego pewny. Prawie pewny...

Anna zatrzymała się obok łóżka i złączyła przed sobą dłonie. Odwaga, której przed chwilą miała pod dostatkiem, wyparowała gdzieś nagle jak kamfora. Nie mogła wręcz uwierzyć, że zdobyła się na taką prowokację. Sama nie wiedziała, skąd w jej ustach pojawiły się nagle wszystkie te słowa. Nigdy w życiu nie była kusicielką. Ale coś w sposobie, w jaki Neill stał przed nią i spoglądał tym głodnym, nienasyconym wzrokiem, spowodowało, że nagle jakaś nieznana część jej kobiecości przebudziła się i wezbrała w niej nieokiełznaną falą.

I oto stała tutaj, obok łóżka, z przejmująco jasną świadomością tego, że obok niej jest potężny, silny mężczyzna. Mężczyzna z jej snów. Nie bała się go - nie mogła przecież się bać - a jednak nerwowo zastanawiała się, co będzie dalej. Chciała, żeby Neill pomógł jej zrobić ten krok, przekroczyć tę barierę, здаwało się, że wystarczy jej zaledwie odrobina zachęty. Lecz kiedy nadszedł wreszcie ów moment prawdy, straciła nagle pewność siebie.

Spojrzała na niego przez ramię i spostrzegła w jego oczach nie tylko pożądanie, ale i potrzebę prawdziwego zbliżenia, potrzebę zażyłości, bliskości nie tylko cia-

ła, lecz i duszy. W niej samej natychmiast pojawiło się podobne pragnienie, które wzbierając, zatopiło lęk i uspokoiło rozdygotane nerwy.

- Gdybyś pomógł mi rozpiąć zamek... - wyszepiała, odwracając się do niego plecami.

Końcówka zamka zsunęła się powoli po jej plecach. Anna czuła, jak w ślad za nią przesuwały się po jej skórze rozpalone palce. Gdy wreszcie się zatrzymały, nie była w stanie zrobić nic innego, jak tylko stać i czekać, co będzie. Neill musiał wiedzieć, że tego pragnie. Że pragnie jego. Nie mogła przecież pokazać tego wyraźniej. Może powinna teraz oderwać rękę, wciąż przyciśniętą do piersi, i pozwolić, by sukienka zsunęła się wolno na podłogę? Nie, odwaga znów ją opuściła.

I wtedy poczuła na plecach ciepły, wilgotny oddech. Zadrzała i zamknęła powoli oczy. Czuła, jak miękkie wargi przesuwiają się wzdłuż ramion i zaczynają powoli schodzić po plecach. Znów wstrząsnął nią dreszcz i prawie nie zauważyła, kiedy Neill delikatnie zsunął z niej sukienkę i szamocząc się tylko przez chwilę z materiałem, który zwinął się na biodrach, pozwolił jej wreszcie opaść na podłogę. Odwróciła się do niego z zamkniętymi oczami, powolna, ufna, gotowa przyjąć wszystko, co jej zaofiaruje.

- Boże... - jego słowa zabrzmiały jak prawdziwa modlitwa, jakby błagał o łaskę. - Czy chcesz doprowadzić mnie do szaleństwa? Czy wiesz, że masz w ręk-

ku broń bardziej niebezpieczną od karabinu? - wymru-
czał, czując, że cała krew odpływa mu z twarzy.

Czarny koronkowy stanik ledwie zakrywał broda-
wki na piersiach. Neill przesunął dłońmi po ciele Anny,
docierając do bioder, na których opinały się głęboko
wycięte majteczki. Stała przed nim, niewinna i piękna,
spoglądając na niego swoimi wielkimi oczyma, w któ-
rych było i pragnienie, i wstyd, a on nie był pewny,
czy serce nie wyrwie mu się zaraz z piersi.

Rozpiął delikatnie klamerkę z przodu stanika
i przyglądał się, jak dwie miseczki zsuwają się po bla-
dej skórze, by zatrzymać się w końcu na naprężonych
brodawkach.

- Neill...

Jej głos załamał się. Neill przesunął palcem po błę-
kitnej żyłce lekko widocznej na wewnętrznym zaokrą-
gleniu piersi, a wtedy westchnęła gwałtownie.

- Ja... nigdy tego nie robiłam - wyrzuciła z siebie
jednym tchem.

Jego palce zatrzymały się. Podniósł wzrok na jej
oczy. W jej spojrzeniu było poczucie winy, zupełnie
jakby przyznała się właśnie do jakiegoś przestępstwa.

- Wiem o tym - powiedział miękko.

Domyślił się tego za pierwszym razem, gdy ją ca-
łował, a może domyślił się tego już z niewinności, jaka
biła z jej ufego, nieśmiałego spojrzenia. Skądkolwiek
wiedział, domyślał się tego od samego początku,
a przez to pożył jej jeszcze bardziej.

- Jeśli nie chcesz, możemy przerwać...
- Chcę.

Zabrakło jej powietrza, więc odetchnęła głęboko. Jemu też zaschło w ustach, gdy zsunął wreszcie biustonosz, odsłaniając delikatne, różowe krążki wokół brodawek.

- Nie zranię cię.
- Wiem.

Wytrzymała jego spojrzenie. Sięgnęła do ramiączek i zsunęła je z ramion, pozwalając bieliźnie zsunąć się na podłogę.

- Chcę tego - powtórzyła.

Sięgnęła do guzików jego koszuli, ale Neill zatrzymał jej dłonie i delikatnie odsunął je od siebie. Jeśli dotknie go teraz, eksploduje. Skończy się wszystko, zanim zdążyło się zacząć.

- Chcę cię widzieć... całego - wyszeptwała.
- Dobrze, kochana. Mamy dużo czasu. Mamy czas aż do białego rana.
- Ale ja...

Nie zdążyła dokończyć. Jęknęła, czując, jak nakrywa dłońmi jej piersi, a potem pieści delikatnie twardniejące sutki. Po raz pierwszy poczuła na nich jego dłonie i od razu ugięły się pod nią kolana. Gdy zaś Neill pochylił się i ujął wargami naprężoną brodawkę, powoli okrążył ją językiem i wciągnął lekko w usta, Anna omal straciła przytomność ze szczęścia. Nagła fala rozkoszy zalała ją i pozbawiła resztek wstydu. Jej

nogi zacisnęły się odruchowo, biodra wysunęły do przodu.

Neill przypomniał sobie, że nie powinien się spieszyć. Był przecież jej pierwszym - pierwszym mężczyzną w życiu Anny Moore. I jeżeli są sobie przeznaczeni, pozostanie jedynym. Powinien więc to zrobić ostrożnie, bez pośpiechu. Powiedział przecież, że mają czas...

Ale nigdy jeszcze nie pragnął tak bardzo, nigdy nie pożądał w ten sposób i nigdy nie musiał tak długo czekać. A ona była taka ciepła, taka oddana. Jego. Tylko jego.

Powoli osunął się z nią na łóżko, ściągając po drodze rękaw koszuli i zrzucając drugi, gdy już znaleźli się na wielkim, hotelowym materacu. Ciągłe miał na sobie dzinsy i nie był pewny, jak długo wytrzyma w takiej zbroi. Zaczął ją pieścić, delikatnie dotykać każdego skrawka ciała. Czuł, jak za każdym dotknięciem i pocałunkiem przechodzi z Anny na niego jakiś niewidzialny ogień. Przesunął dłonią po jej drżącym brzuchu, zsunął ją jeszcze niżej, a gdy dotarł wreszcie do gorącego, wilgotnego miejsca, poczuł, jak jej ciałem wstrząsa silny dreszcz. Już niedługo, pomyślał, czując, że serce podchodzi mu do gardła. Jeszcze chwila. Jeszcze moment...

Ale jeszcze nie teraz.

Och, tak... Zanurzył się w niej ostrożnie i z zachwytem wpatrywał się w wykrzywioną zdumieniem

twarz, w oczy, które utraciły już zdolność widzenia, w usta układające się do krzyku, krzyku rozkoszy.

- Proszę... Ja nie... już nie mogę...!

Jej ręce wspięły się na jego ramiona. W nagłym spazmie wbiła mu paznokcie w skórę, wyprężając wypełnione drżeniem ciało.

- Jeszcze chwila, kochanie. Chcę widzieć... chcę patrzeć, kiedy to się stanie.

Wciąż pieścił ją i na nią patrzył. Stapiał się z jej nieprzytomnym spojrzeniem, ginał w nim, tonął. Czuł, jak narasta w nim gorączka, i bał się coraz bardziej, że spali go, zanim zdąży się z nią połączyć.

Jeszcze chwila...

Jeszcze chwila i wybuchnie jak dynamit!

Wstał i ściągnął z siebie spodnie, szybko i trochę niezdarnie, nie panując do końca nad ruchami. Jaki piękny, pomyślała Anna, patrząc na niego w upojeniu. Szeroka pierś, mocne ramiona, które napinały się, gdy zszarpywał w pośpiechu dzinsy. Powiodła spojrzeniem po gęstwinie włosów na piersiach i zsunęła wzrok niżej.

Jej oczy rozszerzyły się. Widziała już w czasopismach rozebranych mężczyzn, ale nic nie mogło jej przygotować na widok tego pierwszego, prawdziwego i jedynego mężczyzny w jej życiu. Był gotowy. Był podniecony, wyprężony jak struna. To ona doprowadziła go do tego stanu!

Uklęknął na łóżku, ale zatrzymał się, widząc jej peł-

ne fascynacji spojrzenie. Odczekał chwilę, a wówczas ręka Anny uniosła się i dotknęła go palcami lekkimi jak piórko. Przesunęła je wzdłuż, tam i z powrotem, a Neill zacisnął zęby w niemym wysiłku, by nie eksplodować jak granat. Nie chciał zrobić niczego, co mogłoby ją przestraszyć. Głowa opadła mu do tyłu, jęknął, z trudem łapiąc oddech, gdy mocniej zacisnęła dłoń i zaczęła nią poruszać.

- Jeszcze nie - znów jęknął, powstrzymując ją i odciągając delikatnie.

Położył się na niej i przylgnął do jej ciała, by mogła poczuć go całego - rozpaloną skórę i mięśnie, podniecająco twarde i silne. Nie myślała, że tak szybko uda jej się powrócić do stanu, w jakim znalazła się parę chwil temu, ale teraz, gdy znów zaczął całować jej piersi i pieścić łono, poczuła jeszcze większy głód i pożądanie. Zapragnęła poczuć go w sobie, tym razem naprawdę. Przywarła do niego jeszcze silniej, a gdy rozchylił lekko kolanem jej nogi, wydała z siebie koci pomruk. Na to czekała.

Czując puls walący w skroniach, Neill uniósł się lekko i znieruchomiał. Nie chciał wtargnąć w nią jednym, gwałtownym ruchem. To jej pierwszy raz, przypomniał sobie, a myśl ta podnieciła go jeszcze bardziej. Nogi Anny rozsunięły się szerzej, odnalazł wprawdzie drogę do jej wnętrza i poczuł z rozkoszą, jak otwiera się pod delikatnym naporem jego męskości. Była wilgotna, gorąca, oczekująca.

- Jeszcze chwilę... - wyszeptał, łącząc z nią wargi i wsuwając się w nią coraz głębiej.

Poczuł nagle lekki skurcz, jakby jej ciało zawahało się przez moment, i wtargnął w nią mocniej. Oparł głowę na jej czole i starając się powstrzymać mimowolny ruch bioder, czekał, aż Anna oswoi się z jego obecnością.

Annę przeszył lekki ból, który jednak szybko zniknął, by ustąpić miejsca cudownemu uczuciu zespolenia, które wypełniło ją i oszołomiło. Wszelkie myśli, które jeszcze przed chwilą przebiegały przez jej głowę, rozplynęły się nagle, pozostawiając pustkę cudownego, narastającego z każdą chwilą uniesienia. Zupełnie nieświadomie zacisnęła mięśnie i usłyszała w odpowiedzi męski jęk. Była jakaś niewysłowiona rozkosz w poczuciu, że ten silny, potężny mężczyzna ją pożąda; i kobiecy triumf, że potrafi doprowadzić go do takiego stanu. Poruszyła biodrami, wciągając go jeszcze głębiej i prowokując, by wszedł w nią do końca.

A potem rozpoczęli rytmiczny taniec, zadziwiająco zgodni w nim i radośni. Neill był w niej, a to, co czuła, przechodziło najwspanialsze fantazje i najbardziej wyuzdane oczekiwania. Jęczała z rozkoszy, przyciskała go do siebie i przynaglała, wznosiła się ku niemu i otwierała usta ze zdumienia. Później zaś wsłuchiwała się w kolejne fale, które zalewały ją cudownym poczuciem nasycenia i spełnienia. Każde pchnięcie zdawało się tak słodkie, że aż nie do zniesienia - i każde kolejne dawało rozkosz jeszcze potężniejszą.

- Patrz na mnie! - wydyszał Neill, nie przerywając ani na chwilę.

Przyspieszył jeszcze bardziej i pociągnął ją za sobą niemal na sam szczyt szaleństwa. Naraz uniósł się gwałtownie i wydał z siebie przeciągły, głęboki jęk, który trwał kilka sekund i który był dla niej niczym okrzyk zwycięstwa. Zaraz potem opadł na nią bezsilnie, wtulając głowę w jej ramiona.

Długo później, leżąc z twarzą zanurzoną w jej włosach i sapiąc do ucha nierównym, zmęczonym oddechem, wyszeptał cicho jej imię.

- Aniu?

- Hm?

- Myślę, że nie powinnaś prosić ich o zwrot pieniędzy.

Było to kolejną rzeczą, której się od niego nauczyła: że śmiech i zabawa mogą być częścią tych wspaniałych przeżyć.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Anna budziła się powoli. Pierwszą rzeczą, na którą zwróciła uwagę, było to, że jest jej za ciepło, i że kołdry, pod którymi spała, są zadziwiająco ciężkie. Dla czego, na Boga, przykryła się aż dwiema kołdrami w samym środku lata?

Na wpół przytomna zrobiła ruch, żeby zrzucić je z siebie, ale jej ręka zamiast na materiał natrafiła na ciepłe ciało. Pamięć przywołała nagle jakieś obrazy i Anna z wrażenia wstrzymała oddech. Uniosła głowę znad poduszki i zobaczyła...

Neill.

Była razem z Neillem, w apartamencie, do którego przywiózł ją wczoraj. W łóżku, w którym kochali się przez pół nocy.

Ostrożnie, jakby obawiając się, że to wszystko może okazać się snem, opuściła z powrotem głowę i przytuliła się do poduszki. Spał koło niej, z jednym ramieniem przerzuconym przez jej brzuch, z nogą wciśniętą między jej kolana. Ta poufałość sprawiła, że aż zaróżowiła się z przyjemności, czując jednocześnie lekkie

zawstydzienie. Ale przecież nie miała się czego wstydzić. Po tym wszystkim, co zaszło tej nocy?

Jej policzki zaróżowiły się jeszcze bardziej, gdy przed oczami stanęły jej obrazy przeżytych uniesień. Wydawało się niemożliwe, że taki wspaniały mężczyzna może pożądać jej tak bardzo, właśnie jej. Ale przecież Neill dał tego dowód tej nocy. Posiadł ją raz, znowu i ciągle nie było mu dosyć. Ostatni raz zdarzył się już niemal o świcie - przez okna zaczynało powoli sączyć się perłowoszare światło, które rysowało wyraźniej kontur jego głowy, gdy pochylał się nad nią, wciskając się w nią siłą rytmicznych, powolnych uderzeń, które zdawały się przenikać całe jej ciało, aż po czubek głowy, i pulsowały w niej jeszcze, nawet gdy skończył i opadł ciężko u jej boku.

Tak, Neill pożądał jej tak bardzo, jak tylko pożądać może mężczyzna.

Uśmiechnęła się na tę myśl i na jej policzkach utworzyły się dwa śliczne dołeczki. A więc tak wygląda poranek po pierwszej nocy spędzonej z ukochanym. Zawsze zastanawiała się, co będzie czuła, gdy obudzi się rano w czyichś objęciach. Teraz wiedziała już, że to coś niezwykle miłego. Jej skóra była ciągle uwrażliwiona i jakby lekko naelektryzowana; jakby dotyk Neilla sprawił, że pojawiły się na niej jakieś nowe zakończenia nerwowe. W piersiach i między udami czuła -- słodką błogość, mięśnie były przyjemnie obolałe.

W powietrzu wciąż unosił się zapach seksu - trudny do określenia i nazwania afrodyzjak.

Przesunęła delikatnie palcami po ramieniu Neilla. Czuła się inaczej niż zwykle, nie tylko fizycznie, ale i tam, głęboko, w sercu. Czuła się... kobieco. To wszystko mogło wydawać się staroświecką bzdurą, jakimś sentymentalnym wątkiem z zakurzonej powieści, w której bohaterka traci pewnego dnia cnotę i nagle, w cudownej przemianie, staje się kobietą.

Ale to nie utrata dziewictwa spowodowała, że Anna czuła się tak szczególnie. Spowodowała to sama istota tego, co się przydarzyło. Wreszcie udało się jej opuścić cieplarnianą - a przy tym duszną i zatechłą - atmosferę, w której chowała się do tej pory. Postanowiła zaryzykować i mieć wreszcie własne życie. I to było właśnie tak cudowne.

Neill poruszył się koło niej i cała ta nowo nabyta odwaga nagle gdzieś zniknęła. Ogarnął ją lekki przestach, co zobaczy w jego oczach. Ostrożnie zsunęła rękę Neilla ze swoich bioder i przesunęła się na brzeg łóżka. Stawiała już stopy na dywanie, gdy poczuła jego silne ramię obejmujące ją w talii i ciągnące z powrotem na stertę powywracanych poduszek.

Szafirowe oczy uśmiechnęły się do niej, a zaspany głos zamruczał:

- Co to, zwiewasz ode mnie?

- Ja... właśnie... nigdzie nie zwiewam - skłamała, patrząc na jego nagie ramię.

Łatwo było wczoraj być odważną, pomyślała. Był wieczór, zjedli kolację, napili się wina. Neill od razu zasypał ją pocałunkami, a ona miała tę cudowną pewność, że jest atrakcyjna i wygląda wspaniale. Teraz jednak wszystko przedstawiało się inaczej - siedzieli nadzy na łóżku, nie osłonięci niczym przed natarczywym światłem wpadającym przez okno, które oboje zapomnieli zasłonić. Mieli za sobą miłosną noc, przed sobą - dzień, który był wielką niewiadomą.

- Widziałem, że chciałaś się wymknąć - oskarżył ją marszcząc brwi. - Wymykanie się po kryjomu z sypialni jest w Chicago ciężkim przestępstwem, nie wiedziałaś o tym?

Oparł głowę o jej policzek i potarł brodą o szyję. Zamruczała z zadowolenia, ale zaraz odskoczyła jak oparzona, czując szorstką tarzę zarostu.

A może był to tylko pretekst, żeby się odsunąć? Może nie wiedziała, czy Neill naprawdę robi jej wyrzuty, czy też żartuje? Może bała się jego bliskości?

- Naprawdę? - spytała, podejmując jego ton. - I wytacza się za to procesy?

Znów przysunął się do niej i tym razem delikatnie, wargami, zaczął pieścić jej szyję. Gdy zawędrował w dół, ku piersiom, wszelkie logiczne myśli i wszelkie lęki wyparowały jej z głowy.

- Neill, ja nie... och!... -jęknęła i wyprężyła się jak struna, gdy wilgotnym językiem dotknął jej bro-

dawki. - Jakie... są za to kary? - zapytała, z trudem łapiąc oddech.

- Poszkodowany może sam wybrać najbardziej stosowną karę i wymierzyć ją osobiście.

Jego język wślizgnął się w płytkie zagłębienie jej pępka i ciało Anny wygięło się niczym łuk, a nogi rozchyliły rozkosznie w nieświadomym zaproszeniu. Wciąż była wrażliwa na jego pieszczoty, czuła i drżąca. Uświadomiła to sobie z radością tym większą, że i Neill - jak się przekonała - wciąż reagował na nią tak samo szybko i tak samo intensywnie, jak w nocy.

- A jaki to będzie rodzaj kary? - jęknęła.

- Taki - wyszeptał, zsuwając głowę niżej. Znowu zadrżała, a przez jej ciało przebiegł równie słodki, co gwałtowny skurcz rozkoszy.

- Boże... Neill, kochanie... - Wsunęła palce w jego włosy, jakby chciała go odepchnąć, ale nie pozwolił jej na to. Pieścił ją, ciesząc się łatwym zwycięstwem i radosną świadomością, że może jej dać tak wiele.

Po chwili, rozsadzany niepowstrzymanym pragnieniem, znalazł się na niej znowu i zajrzał w jej wielkie, szare oczy, spoglądające na niego zamroczonym, na wpół przytomnym spojrzeniem. Wszedł w nią delikatnie, przytrzymując ręką jej głowę, by nie tracić ani na chwilę jej wzroku, po czym gwałtownym, spazmatycznym ruchem bioder wcisnął się w nią do samego końca.

- Jesteś moja! - wyrzucił chrapliwym szeptem

i połączył z nią usta, by trwać tak aż do chwili, gdy rytmiczne, coraz szybsze falowanie zakończy się orgazmem.

Leżał na niej długo, wreszcie zsunął się bezwładnie. Mógłbym skonać u jej boku, pomyślał, wsłuchując się w swój rozdygotany oddech. Ach, co to byłaby za śmierć!

- Jeżeli tak mnie karzesz za próbę ucieczki z łóżka, to nie mogę się doczekać, co będzie, kiedy spróbuję wymknąć się z pokoju - powiedziała zawadiacko.

Odpowiedział jej urywanym śmiechem, na który ledwie starczyło mu siły.

- Nie prowokuj mnie już, Aniu. Przynajmniej dopóki nie dojdę do siebie.

Lunch zamówili do pokoju. Neill uśmiechnął się z satysfakcją, widząc, z jaką przyjemnością Anna przygląda się przejeżdżającemu przez próg elegancko nakrytemu stolikowi na kółkach, z śnieżnobiałym obrusem i srebrnymi półmiskami. Był już w życiu w tylu hotelach, że przestało to robić na nim wrażenie, ale jej ekscytacja przypomniała mu, jak reagował, gdy po raz pierwszy w czasie zorganizowanej przez wydawcę serii spotkań autorskich w jego pokoju pojawił się elegancki kelner ze śniadaniem.

Po lunchu oparł się jakoś chętnie, by znowu wciągnąć ją do łóżka, i postanowił, że czas opuścić wreszcie hotel i pokazać jej miasto. Pogoda im sprzyjała - było

lato, a więc i upał, ale to sierpniowe popołudnie nie było tak parne i duszne, jak zdarza się w Chicago o tej porze.

Zabrał ją do Miracle Mile, wielkiego centrum handlowego, gdzie spacerowali beztrąsco po uliczkach i pasażach, zatrzymując się przed wystawami i wchodząc od czasu do czasu do jakiegoś butików, otoczeni przez tłumy turystów i zblazowanych bywalców. Kupił jej samochodową naklejkę z napisem „I Love Chicago” i figurkę, która miała być podobizną krowy należącej kiedyś do pani O’Leary, prawdopodobnie w czasach, zanim przewróciła uliczną gazową latarnię, powodując w ten sposób wielki pożar Chicago.

Widzieli wiele rzeczy, które Neill miał ochotę jej kupić - sukienkę, którą się zachwyciła, diamentową bransoletkę, na widok której wydała jęk zachwyty - ale nawet gdyby zgodziła się przyjąć tak kosztowne podarunki, oznaczałoby to wyjaśnienia, a to była ostatnia rzecz, na którą miał teraz ochotę.

W którymś momencie poprzedniego wieczoru zdecydował, że wyjaśnienia mogą poczekać. Może było to w chwili, kiedy powiedziała mu, że ma na sobie „bieliznę z gwarancją”? A może kiedy całował ją pod rozgwieżdżonym niebem na tarasie? Być może też, na przekór temu, co świadomie postanowił, podświadomie zdecydował już wcześniej, że nie piśnie ani słowa przez cały ten weekend. Nie miało to już zresztą wielkiego znaczenia. Wizyta w Miracle Mile przypomniła mu

co prawda o podjętych wobec siebie zobowiązaniach, ale tak naprawdę liczyło się teraz tylko błogie oszołomienie i szczęście, które widział w jej oczach. Realne życie i wyjaśnienia mogły poczekać dzień lub dwa.

Neill nie powiedział Annie, że jada do restauracji jego brata, dopóki nie wjechał z pewną siebie miną na miejsce na restauracyjnym parkingu zarezerwowane wyłącznie dla personelu.

- Mam nadzieję, że Tony nie każe odhołować naszego wozu. Nie powiedziałem mu jeszcze, że jeżdżę teraz czerwoną corvette.

- Nie wiedziałam, że mamy spotkać się z twoją rodziną - powiedziała z lekkim zaniepokojeniem Anna.

- To tylko mój brat - ujął ją za rękę. - Gdybym miał zaprosić cię na rodzinne spotkanie, kupiłbym ci najpierw zatyczki do uszu. Nasze fiesty bywają nieco hałaśliwe.

- Ubrałabym się zupełnie inaczej - powiedziała z wyraźnie wyczuwalnym skrępowaniem. Sama myśl o spotkaniu z rodziną Neilla, nawet jeżeli miał to być tylko brat, spowodowała lekki skurcz w żołądku.

- Daj spokój, wyglądasz wspaniale - zapewnił ją Neill i pomyślała, że jego głos zabrzmiał szczerze. Wcięta w talii morelowa sukienka z dekolcikiem rzeczywiście świetnie pasowała na letnie, wieczorne spotkanie. Włosy Anna miała spięte w swobodny kok, po-

zwalający wymknąć się pojedynczym pasemkom. To było uczesanie, które nieodmiennie powodowało u Neilla świerzbienie palców - miał ochotę rozpiąć klamerki i pozwolić włosom rozsypać się na karku i policzkach.

- Tony i jego rodzina na pewno ci się spodobają.
- Jestem pewna, że są sympatyczni.
- Poza tym masz u mnie dług. Ja byłem na obiedzie u twoich rodziców i jakoś to przeżyłem - zażartowałem.

Ociągając się lekko, Anna ruszyła z nim w kierunku restauracji. No cóż, było mało prawdopodobne, by jego bratu udało się stworzyć atmosferę podobną do tej, w jakiej celowała jej matka.

Nazwa restauracji brzmiała Devlin's i wymalowana była równym, czarnym krojem pisma. Wnętrze urządzone w surowym drewnie, z trocinami na podłodze; na każdym stole stały świeże kwiaty, a obsługa ubrana była w czarne spodnie i białe koszule. Wszystko stanowiło dość ciekawe połączenie stylu bezpretensjonalnej kawiarni z nieco wyciszoną restauracyjną elegancją. Widząc, że prawie wszystkie stoliki są zajęte, Anna doszła do wniosku, że miejsce cieszy się powodzeniem.

Kiedy Neill podał swoje nazwisko dziewczynie przyjmującej gości, uśmiechnęła się do nich i bez wahania skierowała do stolika znajdującego się w pobliżu drzwi.

- To najbardziej lubiany stolik w całej restauracji - powiedziała, sprawdzając jednocześnie wzrokiem, czy wszystko jest na swoim miejscu. - Tony zarezerwował go specjalnie dla was. Zaraz powiem, że już jesteście.

Gdy usiedli, Anna spojrzała na Neilla pytająco.

- Jak to możliwe, że stolik obok kuchni uchodzi za najlepszy?

- Ponieważ jesz u Devlina, to proste.

Wziął bagietkę z koszyczka na środku stołu, przełamał ją na pół i podał kawałek Annie.

- Ludzie nie przychodzą tu tylko dla dobrego jedzenia. Przychodzą tu, bo Tony traktuje ich, jakby sama ich obecność była mu potrzebna do szczęścia. Gdy wychodzi z kuchni, zawsze rozmawia z ludźmi, pyta, co im smakuje, jak ma się babcia w Cleveland i jak radzi sobie córka w nowej szkole. Tony ma niesamowitą pamięć do twarzy i rzadko zapomina czyjeś imię. No a przede wszystkim stolik ten jest lubiany za to, że gdy Tony zmienia menu i wymyśla nową potrawę, wychodzi właśnie tutaj i daje ją do spróbowania tym, którzy akurat przy nim siedzą. Szczęśliwcy, których to spotkało, muszą podzielić się opinią. Nie to, żeby Tony zbytnio przejmował się tym, co usłyszy. Jeśli chodzi o jedzenie, polega wyłącznie na sobie. Ale to wszystko sprawia, że ludzie mają wrażenie, że uczestniczą w jakiejś ceremonii, a czują się tak, jakby byli częścią wielkiej...

- Rodziny? - zakończyła za niego.
- Właśnie.

Zanim zdążył dodać cokolwiek, z kuchni wysypała się gromadka ludzi. Neill poderwał się na nogi i na ładnych parę chwil wszyscy utonęli w śmiechu, wzajemnym przekrzykiwaniu się i chaosie. Dopiero po pewnym czasie udało się zredukować gromadkę do trojga osób i Neill wyciągnął rękę do Anny, by przyciągnąć ją bliżej i przedstawić swojej rodzinie.

- Poznaj faceta, który uczynił z mojego dzieciństwa prawdziwe piekło.

- Takie są prawa starszego brata - odpowiedział Tony ze śmiechem, ale w spojrzeniu, które rzucił na Annę, widać było, że przygląda się jej z uważną ciekawością. - Nie wierz wszystkiemu, co on ci mówi - doradził jej przyjacielsko. - Prawda jest taka, że to Neill zawsze był ukochanym synkiem mamusi, ta zaś rozpieszczała go niemiłosiernie. Ja próbowałem doprowadzić tylko rzeczy do stanu jakiej takiej równowagi.

- Widzisz? Nawet po latach zazdrość pokazuje wstrętny pysk - skomentował Neill z udanym smutkiem.

Anna podała Tony'emu rękę i przywitała się z jego żoną Mary Ellen oraz córką Sophy, która, jak się dowiedziała, miesiąc temu obchodziła swoje czternaste urodziny. Uśmiechnęła się też do niemowlaka, który miał sześć miesięcy i nazywał się Timothy.

- Wyznajemy strategię równomiernego przyrostu

dzieci w czasie - odezwała się Mary Ellen, widząc, z jakim zaciekawieniem Anna przygląda się dziecku.

Anna natomiast czuła się jak w środku jakiegoś tornado. Ktoś zaczynał zdanie, ktoś inny mu przerywał, czasami wszyscy mówili na raz, ale nikt nie zdawał się zbyt przejmować tym rozgardiaszem i wracano po chwili do raz rozpoczętych wątków. Zanim Tony obwieścił, że musi albo wrócić do kuchni, albo w ogóle zamknąć dzisiaj restaurację, głowa Anny zaczęła wirować dziesiątkiem wrażeń i niewypowiedzianych myśli.

Obydwu braci łączył wspólny entuzjazm i spontaniczność, ale poza tym bardzo różnili się od siebie. Tony był niższy i bardziej krępy, w jego oczach nie było tej iskry przekory, którą już zdażyła polubić u Neilla, a jego rysy były dość zwyczajne, dając jednak wrażenie czegoś miłego i szlachetnego. Gdy się jednak uśmiechał, nie było siły, która mogłaby powstrzymać rozmówcę, by nie odpowiedział mu uśmiechem. Gdy zaś patrzyło się wtedy na niego, nie można się było oprzeć myśli, że Tony jest jednak dużo bardziej przystojny niż przy pierwszym wrażeniu.

Jego żona była pulchną czterdziestolatką i sprawiała wrażenie osoby zadowolonej zarówno ze swego wieku, jak i wyglądu. Neill zaprosił ich do stołu i Mary bez protestów przysiadła się do nich wraz z Sophy.

- Jem bez umiaru pyszności, które gotuje Tony - wyznała. - Jak tak dalej pójdzie, nigdy nie stracę ki-

logramów, których przybyło mi po dziecku. Ale to właśnie jest prezentem ślubnym, który dostajesz, wychodząc za mąż za kucharza - skomentowała, poklepując się po pulchnym udzie. - Czasami żałuję, że nie wyszłam za mąż za maklera, ale wtedy miałabym za dużo pieniędzy i pewnie codziennie przychodziłabym do Tony'ego na serniki. Skończyłoby się tak samo.

- Sernikami i rozwodem - rzucił Tony, zatrzymując się w drzwiach kuchni. - Zakochałbym się w tobie już po pierwszym serniku i na pewno porwałbym cię od męża. Wszyscy o tym wiedzą - zwrócił się do Anny - że ja i Mary jesteśmy sobie przeznaczeni. Nic nie mogło i nie może nas rozdzielić - dodał, nadając swemu głosowi teatralny ton i przyciskając dłoń do serca. - Ani makler, ani nikt inny.

Anna roześmiała się, a on cofnął się do stolika i ucałował dramatycznym gestem jej dłoń.

- Zapomniałem ci powiedzieć - odezwał się Neill - że zaraz po tym, jak skończył się w życiu Tony'ego okres kowbojski, mój brat przyłączył się do kółka teatralnego w naszej szkole. Przez całe tygodnie chodził po domu udrapowany w jakieś prześcieradła i deklamował Szekspira. Na mamie zrobiło to takie wrażenie, że zaczęła nagle interesować się teatrem. A rzeczą, na której zależało mu wtedy naprawdę, było zdobycie roli Romea w szkolnym przedstawieniu, w którym Julię miała grać niejaka Alison Sinclair. Pamiętam, że zmar-

nował wtedy mnóstwo czasu, starając się zwrócić na siebie jej uwagę.

- Alison Sinclair... - powtórzył Tony zadumanym głosem. - Tak, tak, połowa chłopaków w klasie kochała się w niej do upadłego.

- Tato - Sophy spojrzała na ojca z naganą. - Proszę... ..

- Co takiego? - Tony uniósł ze zdziwieniem brwi. - Uważasz, że nie powinienem przyznawać się do tego, że kiedyś pożarła mi serce piękność o złotych włosach i szmaragdowych oczach? Twoja mama rozumie takie rzeczy i już mi wybaczyła, prawda, kochanie?

- Oczywiście. - Mary Ellen poklepała go poufale po ramieniu. - Zwłaszcza że na spotkanie klasowe po piętnastu latach Alison przyszła nie z mężem, ale ze swoją narzeczoną.

Wybuch śmiechu Neilla doprowadził jego bratanicę do żalostnej prośby:

- Proszę cię, mamoo...

Litując się nad córką, Mary Ellen podała jej niemowlę i poleciła:

- Zabierz go na górę i zmień mu pieluchę, dobrze?

Gdy zaś Sophy wzięła od niej dziecko i czym prędzej zniknęła, dodała wyjaśniającym tonem:

- Jest teraz w wieku, kiedy sam fakt posiadania rodziców to już nie lada ambaras. Gdyby mogła, najchętniej zamknęłaby nas w jakiejś szafie i wypuszczalaby tylko w ostateczności, na ogół po to, żeby ugotować

jej obiad i kupić jakieś ciuchy. Kiedy z Tonym powiedzieliśmy jej, że będziemy mieli jeszcze jedno dziecko, uznała to za perfidny spisek, który ma ją upokorzyć.

- Dlaczego miałyoby to być upokarzające? - spytała z rozbawieniem Anna.

Mary Ellen uniosła brwi z udawaną zgrozą.

- Jak to dlaczego? Sam fakt, że rodzice mogliby uprawiać seks?! W naszym wieku?! - Potrząsnęła głową. - Nie, rodzice nie są przecież od takich rzeczy.

Annie wciąż było wesoło, przez jej głowę przemknęła jednak nieprzyjemna myśl, że właściwie nic nie wie o pożyciu własnych rodziców. Odkąd pamiętała, ojciec i matka spali zawsze w osobnych sypialniach. Gdy się teraz nad tym zastanowiła, nie była pewna, czy któreś z nich otwierało kiedykolwiek sąsiednie drzwi.

- Każdy przechodzi w życiu taki okres - mówiła tymczasem Mary Ellen. - Ale Sophy, trzeba jej przyznać, jest dla Timothy'ego bardzo dobra.

Uśmiech Anny miał pokazać, że rozumie te sprawy. Ponownie jednak uświadomiła sobie, jak odmienne było jej życie i jej dzieciństwo. Ona nie przeszła nigdy przez „ten okres”. Pamiętała, że kiedy była w wieku Sophy, budziła się ze skurczem żołądka, który znikał dopiero, gdy schodziła na śniadanie i stwierdzała nacznie, że żadne z rodziców nie zniknęło gdzieś w ciągu nocy.

Z kuchni prosto do ich stolika podszedł kelner z talerzami z *linguini* w sosie z małą i czosnkowymi tostami. Już pierwszy kęs czosnkowego pieczywa przekonał Annę, że Tony zna się na rzeczy. Kiedy pochwaliła głośno jedzenie, Tony klepnął przyjacielsko Neilla po plecach i powiedział, że cieszy się, że jego gust w kwestii kobiet tak bardzo się poprawił.

- Ostatnia dziewczyna, którą nam przedstawił, miała metr osiemdziesiąt wzrostu i ważyła może ze czterdzieści kilo - wyjaśnił. - Zjadła na obiad trzy liście sałaty, popiła to wodą i powiedziała, że jest bardzo najedzona.

Neill z trudem powstrzymał się, żeby nie szturchnąć brata łokciem w żebra. Wiedział jednak, że Tony i tak nie przepuści żadnej okazji, żeby mu dopiec. To cena, jaką płaci się za rodzinę, pomyślał. Nie był tylko pewny, czy Anna będzie zachwycona, wysłuchując opowieści o dziewczynach, z którymi widywał się w przeszłości.

- Jeżeli to ty wtedy gotowałeś, nie wiedziała, co traci - powiedziała, a kiedy jej oczy spotkały się ze spojrzeniem Neilla, nie zauważył w nich nic, co sugerowałyoby, że słowa Tony'ego zrobiły na niej wrażenie.

Gdyby ją jednak spytał, Anna powiedziałaaby mu, że jeszcze wczoraj historia o jakiejś wysokiej, szczupłej narzeczonej spędziłaby sen z jej powiek. Ale ich ostatnia noc, potem poranek - i to, jak Neill kochał się z nią bez opamiętania - nie pozostawiała wątpli-

wości, że żadna inna kobieta nie zaprzęta w tej chwili jego myśli.

Gdy opuszczali restaurację, mijała dziesiąta. Anna była nieco zadumana i Neill nie forsował rozmowy. Z tego, co jej kiedyś powiedział, domyślała się już wcześniej, że jego rodzina różni się bardzo od jej własnej, nie sądziła jednak, że aż tak. Mówił o nich słowami, w których było ciepło i miłość - takimi, których prawdopodobnie nie użyłaby, opowiadając o własnej. Oczywiście kochała rodziców, kochała Jacka i miała nadzieję, że oni wszyscy także ją kochają. Ale chyba nie mogłaby powiedzieć z całą szczerością, że ich zna.

O tym na przykład, że jej brat ma problem z alkoholem, usłyszała dopiero od Lisy. Przyznała później przed sobą, że rzeczywiście już od dawna powinna dostrzec pewne oznaki, ale tak naprawdę nigdy nie przyglądała mu się zbyt wnikliwie. I to właśnie było typowe - nikt w ich rodzinie tak naprawdę nie przyglądał się swoim bliskim. Nawet teraz, kiedy problem Jacka się ujawnił, nie wiedziała, co ma z tym zrobić. Sama myśl, że mogłaby z nim porozmawiać jak siostra z bratem, przychodziła jej z wielkim trudem. Pomiedzy nimi nie było po prostu prawdziwej, głębokiej więzi, jaka istnieje w rodzinach, które się kochają.

Zastanowiła się, co zrobiłby Tony, gdyby dowiedział się, że Neill ma podobny problem. Prawdopodobnie wzięłby go za kark i zaciągnął do lekarza albo

na jakąś kurację, pomyślała i uśmiechnęła się, wyobrażając sobie tę scenę. Ale taka była chyba cała ich rodzina: myśleli o sobie i nie dbali o konwenanse.

Neill przyglądał się Annie najpierw w samochodzie, później gdy wjeżdżali na górę windą. Była tak zatopiona w myślach, że prawdopodobnie nie zdawała sobie sprawy, że znaleźli się już na progu pokoju. Pomyślał, że w czasie kolacji wyglądała zupełnie inaczej - rozluźniła się, spontanicznie reagowała na przyjacielskie gesty ze strony jego rodziny, śmiała się, rozmawiała swobodnie z Mary Ellen i z Sophy, a kiedy wzięła w ramiona dziecko, patrzyła na nie z ciepłem i czułością.

Dziecko...

Myśl o tym, że Anna mogłaby trzymać w ramionach jego własne dziecko, spadła na niego całkiem niespodzianie. Do tej pory prawie nie myślał o tym, że mógłby mieć dzieci. Aż tu nagle wyobraził sobie Annę noszącą w łonie jego syna i pomyślał, że chciałby trzymać w ramionach tę małą istotę, która zrodziłaby się z jego miłości do niej, z miłości, którą - tego był już prawie pewny - Anna odwzajemniała.

Otworzył drzwi do apartamentu i cofnął się, by wpuścić ją pierwszą. Przyglądając się, jak idzie powoli przez salon, znów pomyślał z niepokojem o dziwnej przemianie, jaka dokonała się w niej, gdy wracali do domu. Nawet taka Anna była jednak piękna. Nawet taką kochał. Może właśnie taką jeszcze mocniej.

Otworzył usta, żeby jej to powiedzieć - i ze zdziwieniem usłyszał własny głos mówiący coś zupełnie innego:

- Anno? Opowiedz mi o Brooke.

Miała położyć torebkę na stole, ale upuściła ją z wrażenia na podłogę. Stała przez chwilę, wpatrując się w nią bez ruchu i starając się zebrać myśli. Chciała, żeby słowa Neilla okazały się złudzeniem, przeszyszeniem. Przez moment wmawiała sobie nawet, że to zdanie musi znaczyć w istocie coś zupełnie innego. Pochyliła się, żeby podnieść torebkę, starając się w ten sposób odwlec moment, kiedy powie pierwsze słowo. Położyła ją na stole i powoli odwróciła się do niego.

- Co masz na myśli?

- Wiem, co się stało, Anno.

W jej oczach pojawił się szok. Odchyliła głowę do tyłu, jakby w reakcji na nagły cios. Przez moment panowała trudna do zniesienia cisza i kiedy Anna otworzyła wreszcie usta, z trudem rozpoznała swój głos.

- Co zrobiłeś... jak się dowiedziałeś?

- Byłem w bibliotece.

- W bibliotece?

Wydało jej się przez moment śmieszne, że Neill dowiedział się wszystkiego w tak prozaiczny sposób. Po prostu przeczytał o morderstwie jej siostry z gazety.

- Szukałeś czegoś innego i...?

Przez moment kusiło go, by uchwycić się tego, co mimo woli podpowiedziała mu Anna. Nie mogłaby

przecież mieć pretensji, że przypadkiem natknął się na tę historię, wertując starą gazetę. Ale nie chciał kłamać w tak ważnej sprawie.

- Nie - odparł. - Poszedłem tam, żeby dowiedzieć się prawdy. Chciałem wiedzieć, co wydarzyło się twojej siostrze - przyznał spokojnie i poczuł w sercu przykre ukłucie, gdy jej twarz wykrzywiła się boleśnie. Chciał podejść do niej, wziąć ją w ramiona i trzymać tak długo, aż ból zniknie z jej twarzy, ale powstrzymał się. Wiedział, że tym razem to właśnie on jest jego sprawcą.

- Dlaczego? - W jej głosie była niemal dziecinna pretensja. - Dlaczego chciałeś koniecznie dowiedzieć się o czymś, co zdarzyło się tak dawno?

- Czułem, że cokolwiek się wtedy stało, jest do dzisiaj obecne w twoim życiu. Po tamtym napadzie na ulicy byłaś w szoku, odgadłem, że musi się za tym kryć coś więcej. Powiedziałaś, że nie chcesz, żeby cokolwiek się o tym dowiedział, bo ludzie przypomną sobie i będą ci się przyglądać. To twoje słowa. Powiedziałaś nawet wtedy jej imię... - Wzruszył ramionami. - Powiedziałaś „Brooke”, więc nietrudno było odgadnąć, że pomyślałaś o czymś, co ma związek i z nią, i z tym napadem. Pomyślałaś o jej śmierci.

- Dlaczego po prostu o to nie spytałeś?

Poczuła, że zdrętwiały jej wargi i że z wielkim trudem przychodzi jej wymawiać kolejne słowa. Nie zdawała sobie do tej pory sprawy, jak ważne było dla niej to, że Neill jest jedyną osobą, która nie wie o mor-

derstwie. Czuła się przy nim jakby uwolniona od ciężaru, z którym tak trudno było jej żyć. Mogła czuć się kimś innym, nowym, kogo życie nie zostało raz na zawsze określone za sprawą tragicznych wydarzeń z przeszłości. Gdy zaś Neill odkrył tę przeszłość, Anna poczuła się nagle tak, jakby przyłapano ją na jakimś oszustwie, odkryto, że podaje się za kogoś innego.

- Spytałem - przypomniał jej łagodnie. - Powiedziałaś, że Brooke nie żyje, że zdarzyło się to bardzo dawno temu i że nie chcesz o tym mówić. Dopiero wtedy wyruszyłem na poszukiwania. Jestem pisarzem, Anno. Dowiadywanie się, kim naprawdę są ludzie, których znamy, weszło mi w krew. Przepraszam, ale nie potrafię żyć inaczej.

- I uważasz, że daje ci to prawo do wpychania nosa w czyjeś prywatne sprawy?

Ściągnął brwi, słysząc ostry ton. Nie był pewny, jak Anna zareaguje na to wyznanie, ale z dwojga złego wolał już gniew niż łyzy.

- To wszystko było w gazetach, więc przestało być prywatną sprawą - odparł. - Poza tym wiedziałem, że cokolwiek się wtedy zdarzyło, pozostaje to do dziś częścią twojego życia. Chciałem o tym wiedzieć, bo jesteś dla mnie kimś ważnym.

- I nigdy nie pomyślałaś, że to po prostu nie twój interes? - W jej piersi zawrzało. To, co zrobił Neill, poczytywała za zdradę. - Nie masz do tego żadnego prawa, rozumiesz? - wydusiła ze złością. - Żadnego!

Neill westchnął. Ostrożnie szukał słów, za pomocą których mógłby spróbować wyjaśnić, dlaczego się odważył zrobić to wszystko. Ale zanim zdążył otworzyć usta, Anna odezwała się pierwsza:

- Brooke została zamordowana. Tylko że my nigdy nie używaliśmy słowa „morderstwo”. My to znaczy... rodzina. Kiedy już ktoś o tym wspominał, nie mówił, że „Brooke została zamordowana”, lecz że „umarła”.

Odetchnęła. Staneła z nim twarzą w twarz. Na jej ustach pojawił się blady, pozbawiony radości uśmiech.

- „Morderstwo” stało się słowem tabu. - Opuściła wzrok i zaczęła wygładzać niewidzialne fałdy na sukience. - Wydaje ci się to pewnie zabawne, prawda? Jakby unikanie pewnych słów mogło coś zmienić.

- A co się naprawdę stało? - Neill po raz kolejny powstrzymał się, by do niej podejść, wziąć ją w ramiona i poprosić, by już nigdy nie wracali do tego tematu.

- Czytałeś przecież gazety. Wiesz, co się stało.

- Wolałbym usłyszeć to od ciebie.

Anna zawahała się i wzruszyła ramionami, jakby cała ta sprawa przestała mieć dla niej jakiegokolwiek znaczenie.

- Gazety pisały o tym ze szczegółami. Jack miał ją zabrać ze szkoły, ale spóźnił się o pół godziny. Kiedy zajechał na miejsce, Brooke już nie było. Pomyślał, że ktoś podwiózł ją do domu, i poszedł do baru. Spotkał kolegów, zabawił z nimi parę godzin. Rodzice my-

śleli, że Brooke jest z nim, więc nie martwili się o nią, dopóki Jack nie wrócił...

Przez chwilę zawijała i odwijała fałdę na spódnicy, po czym wygładziła ją palcami i westchnąwszy ciężko, mówiła dalej:

- Prawdziwe poszukiwania zaczęły się dopiero o dziesiątej. Pamiętam, jak ojciec zaczął dzwonić do wszystkich koleżanek i kolegów Brooke. Pamiętam, jak jego głos stawał się coraz bardziej napięty. Nie rozumiałam, dlaczego tak się denerwuje. Skoro Brooke często wracała do domu późnym wieczorem, to pewnie wróci i teraz. Kiedy spytałam go, czy stało się coś złego, uspokoił mnie i kazał iść spać. Minęły dwa tygodnie, zanim ją znaleziono. Byłam przerażona, czułam, że stało się coś okropnego. I nagle rodzice zawołali mnie do siebie i powiedzieli, że Brooke nie żyje. Nikt jednak nie chciał mi powiedzieć, co właściwie się stało. Umarła, po prostu umarła. Nie rozumiałam tego. Umarła? Tak nagle? Gdzie? W jaki sposób? Przypuszczam, że uznali, że jestem za mała na poznanie prawdy.

Więc zbyli ją ogólnikiem i zostawili samej sobie, pomyślał Neill z bólem serca. Najgorsze, co mogli zrobić. Milczenie, chociaż stały za nim dobre intencje, uczyniło w duszy dziecka więcej spustoszenia niż najgorsza prawda. Pewnie zaczęły się domysły, sny, obrażenia. ...

- To musiało być straszne - powiedział, mając nadzieję, że jego głos brzmi spokojnie i naturalnie.

- Było.

Anna odwróciła się i podeszła do okna, patrząc niewidzącym wzrokiem w dół, na miasto. Nigdy nie rozmawiała o tym z nikim. Temat ten był zakazany w całej rodzinie, pogrzebany na zawsze - ale ciągle odrażdżający się niczym upiorne widmo. Dopiero ostatnie dwa lata, kiedy zamieszkała w swoim małym domku, z dala od matki, pozwoliły jej myśleć o śmierci siostry w inny sposób.

- One... kłóciły się ze sobą poprzedniego dnia, zanim to wszystko się zdarzyło - wydusiła.

- Kto?

- Mama i Brooke. Ciągle zresztą kłóciły się o coś. Kiedy byłam już trochę większa, zrozumiałam, że obie były do siebie bardzo podobne. To pewnie dlatego. Moja matka... - uśmiechnęła się mimowolnie. - Ktoś powiedział kiedyś o niej „stalowa magnolia”. Działała w białych rękawiczkach, ale wie, czego chce. Brooke też wiedziała, ale w przeciwieństwie do niej nie owijała nigdy niczego w bawełnę. A mama chciała, żeby Brooke była panią z dobrego domu, ze wszystkimi zaletami. Zwiewna sukienka w pastelowych kolorach, delikatny głosik. Księżniczka z bajki.

- Brooke nie chciała być księżniczką? - domyślił się Neill.

- Nie. Nosiła sportowe sandały i dzinsy. Więc ścierały się ciągle ze sobą, zwłaszcza odkąd Brooke zaczęła umawiać się na randki. Nie rozumiałam wtedy z tego

zbyt wiele, ale po wielu latach wszystko złożyło mi się w całość. Brooke była bardzo ładną dziewczyną, zdążyła już się chyba przespać z paroma chłopakami, tak przynajmniej uważała moja matka. Mój pokój sąsiadował wtedy przez ścianę i pamiętam, jak strasznie na siebie wrzeszczały, kiedy matka odkryła, że Brooke bierze pigułki. To było niedługo po jej szesnastych urodzinach. Była rozwścieczona tym, że matka szperała w jej szufladach. A ta krzyknęła, że nie pozwoli, żeby jej córka zachowywała się jak dziwka. Wtedy się zaczęło. Myślałam, że ta awantura nigdy się nie skończy. I wreszcie Brooke wrzasnęła, że jeśli matka nie da jej spokoju, pójdzie się pieprzyć z całą drużyną baseballową. Pamiętam to, bo po raz pierwszy usłyszałam, żeby ktoś w rodzinie użył tego słowa. Nie wiedziałam nawet wtedy, co ono znaczy. Poszłam zaraz sprawdzić w słowniku...

Anna znów zaczęła kręcić w palcach rąbek spódnicy. Milczała chwilę, zapatrzona w jakiś niewidzialny punkt w przestrzeni, wreszcie odezwała się znowu:

- Wtedy mama ją uderzyła. Usłyszałam głośne klaśnięcie i zakryłam uszy rękoma. Nie chciałam słuchać, co będzie dalej. Bałam się nawet oddychać. Kiedy odsłoniłam uszy, była cisza, Brooke chyba nawet nie płakała. Po chwili wypadła z pokoju, trzaskając drzwiami. Nie wróciła wtedy na noc, a ojciec pokłócił się z matką w ich pokoju. Nie słyszałam, co mówili, nie chciałam słyszeć. Pamiętam tylko, że leżałam na

łóżku, zadając sobie pytanie, czy Brooke uciekła z domu na zawsze, i zastanawiałam się, czy mama będzie mnie teraz kochać bardziej - teraz, kiedy zostanę jej jedyną córką. Ale Brooke wróciła następnego dnia rano i wszystko wróciło do normy. Z tym wyjątkiem, że matka kłóciła się z nią odtąd dwa razy częściej. Kłóciły się o to, jak Brooke się ubiera, z jakimi chłopakami się spotyka, o jej stopnie w szkole i o to, do jakiego pójdzie college'u. Awantury wybuchały tak często, że po pewnym czasie przestałam ich słuchać. No a wtedy, kiedy Brooke zniknęła, pokłóciły się... o mnie. Była dziesiąta wieczór. Brooke uczyła mnie, jak się malować. Mama wpadła w szał, oskarżyła Brooke, że chce ze mnie zrobić ladacznicę, i kazała mi natychmiast iść do łazienki i umyć twarz. Prosiłam ją, żeby się nie złościła, tłumaczyłam, że my tylko tak się bawiliśmy... Chwyła mnie za ramię i pamiętam do dziś, że jej palce wbiły się tak mocno, że aż krzyknęłam z bólu.

Anna mimowolnie przesunęła dłoń po ramieniu, jakby chciała rozetrzeć bolące miejsce. Wzdrygnęła się.

- Spojrzała wtedy na mnie tak, jakby mnie nienawidziła. Nigdy tego nie zapomnę... Następnego dnia Brooke zniknęła. Przez długi czas myślałam, że to przeze mnie.

Neill poruszył się nerwowo, jakby chciał coś powiedzieć, ale zanim zdążył otworzyć usta, Anna ciągnęła dalej:

- Wiem, to nie była moja wina. Powiedziałam to sobie już dawno temu. Ale dzieci nie wiedzą takich rzeczy. Na początku, kiedy myśleliśmy, że Brooke znów uciekła z domu, sądziłam, że to z powodu tej kłótni o malowanie. A kiedy ją w końcu znaleźli, nie umiałam nie myśleć o tym, że kiedyś, w przeszłości, był taki moment, kiedy chciałam, żeby ona zniknęła, bo wtedy mama kochałaby mnie bardziej.

Spojrzała na Neilla ze smętym uśmiechem, jakby patrzyła z dystansem na siebie sprzed lat, na dawną, małą Anię, dręczoną kompleksami i poczuciem winy. Jednak Neill wiedział, że Anna nie umie zdobyć się na dystans, że wciąż na nowo przeżywa i rozpamiętuje tragedię sprzed lat. Znał dobrze ludzkie dusze i wiedział, jak poznać kogoś, kogo dręczą upiory. Anna pasowała do tego obrazu, a jej słowa zdawały się to potwierdzać.

- Nie ma nic łatwiejszego dla dziesięcioletniej dziewczynki niż wymyślić sobie urojone winy - mówiła z wciąż tym samym mdłym uśmieszkiem. - Gdybyśmy byli katolikami, prawdopodobnie postanowiłabym wtedy pójść do klasztoru. Albo przynajmniej poszłabym do spowiedzi i wyznała popełnione i niepopołnione grzechy. A tak byłam sama. Zaczęłam robić, co w mojej mocy, żeby odpokutować za to wszystko. Przez długi czas starałam się zostać drugą Brooke, tą dobrą Brooke, jaką matka zawsze chciała widzieć. W szkole dostawałam same piątki, ubierałam się tak,

żeby się jej podobać. Zdaje się, że nadal tak się ubieram - mruknęła, przesuwając dłonią po miękkim materiale brzoskwińowej sukienki. - No i nie umawiałam się z chłopcami. Sama nie wiem... ciągle nie wiem, czy Brooke rzeczywiście miała te wszystkie przygody, które wmawiała jej matka. Prawdę mówiąc, nie sądzę. Wiem, że umawiała się z Davidem przez prawie całą ostatnią klasę, ale z kim jeszcze? Chyba nie chcę myśleć, że... że tak hojnie rozdawała swoje względy. Co do mnie, nie ma tu żadnych wątpliwości: miałam z tym spokój. Ponieważ wszyscy wiedzieli, co się stało, byli dla mnie przesadnie opiekuńczy. Nie sądzę, żeby w całej szkole znalazł się chłopak, który odważyłby się złamać tę wspólną linię frontu. Na tych kilku randkach, które się zdarzyły, traktowali mnie, jakby bali się, że dostanę anginy, kiedy chuchną w moim kierunku.

Roześmiała się po tych słowach, nie był to jednak śmiech radosny.

- Niezależnie zresztą od tego, jak bardzo chciałam upodobnić się do Brooke, i tak nie miałam jej urody ani osobowości. Moja siostra była śliczną dziewczyną, wyjątkową - podsumowała.

Neill pomyślał o zdjęciach, które widział u rodziców Anny. Brooke rzeczywiście wyglądała jak wschodząca piękność. Ale za tą urodą nie dostrzegł charakteru, który mógłby uczynić z niej prawdziwie interesującą kobietę. Och, może było za wcześnie? Może

zdjęcie było mniej udane? Nawet gdyby jednak tak było, Anna zdawała mu się równie urodziwa.

Chciał podzielić się z nią swoim spostrzeżeniem, wiedział jednak, że i tak mu nie uwierzy. W ciągu tych lat, które minęły od śmierci siostry, rzeczywistość rozmazała się w jej oczach w niejasny obraz, a Brooke stała się w niej niedościgłym ideałem - najpiękniejszą, najbardziej błyskotliwą i czarującą dziewczyną, jaka kiedykolwiek stapała po ziemi. Spostrzegł to już zresztą parę razy - ową potrzebę wyidealizowania ukochanej osoby, która odeszła, ów lęk, przed obaleniem jej z piedestału, jakby pamięć o jakichkolwiek jej wadach i słabościach była zdradą.

- Nie możesz spędzić całego życia na rozpamiętywaniu urojonych win - odezwał się ostrożnie.

- Wiem. Zajęło mi to trochę czasu, ale na szczęście mam to za sobą.

Poczuła się nagle bardzo wyczerpana. Ilość emocji, jakie przeżyła w ciągu ostatnich dwóch tygodni, była większa niż wszystko, co zdarzyło się w ciągu minionych paru lat. Trudno zresztą powiedzieć, że ich szukała, bo od momentu, kiedy Neill pojawił się w jej życiu, wszystko potoczyło się jakby niezależnie od jej woli. Poruszył w niej jakieś struny, o których istnieniu w ogóle nie wiedziała. I sprawił, że zapragnęła nagle rzeczy, o których nie pozwalała sobie dotąd nawet myśleć.

Tak, przy nim odmieniała się nie do poznania. Opo-

wiedziała mu nawet o Brooke, wyznała rzeczy, o których wcześniej nie odważyła się rozmawiać z nikim na świecie, nawet z Lisą, jedyną osobą, która nie bała się wymawiać głośno imienia jej siostry. Teraz, gdy to wszystko wydobyło się na powierzchnię, Anna poczuła się nagle jak pusty balon, z którego uleciało powietrze.

- Jestem zmęczona - powiedziała. - Czy nie będziesz miał mi za złe, jeśli położę się już do łóżka?

Neill spostrzegł, że Anna niemal chwieje się na nogach, podszedł więc do niej i unióśł ją w ramionach jak dziecko.

- Nie... - jej głos zadrżał, gdy ruszył z nią w kierunku sypialni. - Nie mogę teraz. Proszę, Neill.

- Ciii... - Odemknął drzwi energicznym ruchem ramienia. - Nie mam zamiaru robić nic, na co nie masz ochoty. - Postawił ją koło łóżka i pochylił głowę, żeby ucałować jej gorące czoło. - Wierz mi - szepnął - chcę się tobą opiekować, Aniu.

Rzeczywiście, pomyślała, chyba nikt nie troszczył się o mnie bardziej niż on. Ufała mu i wierzyła, choć znała go tak krótko. Teraz zaś, posłuszna jak dziecko, pozwoliła, żeby ją rozebrał, i stojąc przed nim naga i drżąca, nie czuła żadnego skrepowania. Neill znalazł zresztą szybko różową nocną koszulę, którą zabrała ze sobą na tę ich pierwszą wspólną noc, i nałożył jej przez głowę, pozwalając, by miękko opadła na ramiona. Posadził ją na brzegu łóżka, delikatnie wyjął z włosów

spinki. Odgarnął włosy, które opadły na twarz, i Anna opuściła powieki, starając się powstrzymać dwie małe łzy, które napłynęły jej do oczu.

Tak, w całym swoim życiu nie czuła jeszcze, by ktoś tak się o nią troszczył. I dotykał jej z taką miłością.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Anna przyglądała się znajomym budynkom z mieszanymi uczuciami. Zbliżali się do Loving, byli już prawie w domu i wiedziała, że powinna się cieszyć. A jednak żal jej było, że ten najcudowniejszy w życiu weekend dobiega końca.

Odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy. Neill przed wyjazdem z Chicago zwinął dach samochodu i mogła się teraz rozkoszować uderzającym w twarz orzeźwiającym strumieniem powietrza.

Dwa dni. Nie mogła uwierzyć, że to naprawdę były tylko dwa dni. Wydawało się, jakby ten weekend trwał całą wieczność. Wyjeżdżała jako dziewica, wracała prawdziwą kobietą, kochaną przez swojego mężczyznę. Cokolwiek zdarzy się między nimi w przyszłości - jeżeli oczywiście mają przed sobą jakąś wspólną przyszłość - będzie mu zawsze wdzięczna za uczynienie tego pierwszego razu tak szczególnym i wspaiałym.

Ostatniej nocy obejmował ją tak delikatnie, tak czule. Niczego od niej nie wymagał. To ona obudziła go o świcie, przysuwając się i kładąc dłoń na jego bio-

drze, jakby chciała sprawdzić, czy wciąż działa jeszcze moc kuszenia, którą odkryła w sobie tak niedawno. Neill zamruczał kilka razy, potem jęknął, potem zaś znalazł się nagle na niej i posiadł ją w długim, nieprzerwanym akcie, w którym szybko doprowadził ją do spełnienia.

Zaraz potem znowu zasnęli i obudzili się dopiero koło dziewiątej. Neill podniósł ją z łóżka jak piórko i zaniósł do łazienki, a za parę minut okazało się, że kochają się znowu, tym razem pod lejącą się na głowy strugą wody spod prysznic.

Przez cały poranek żadne z nich nie powróciło do tematu wieczornej rozmowy. On nie wspomniął ani razu o jej rodzinie, a ona, dziwnym trafem, ani razu o nich nie pomyślała. Było tak, jakby podarowano jej ten niedzielny poranek w prezencie, niczym ciastko na deser.

Zjedli brunch w restauracji na szczycie hotelu i ociągając się, wyruszyli wreszcie w powrotną drogę. I oto teraz wjeżdżali do Loving, gdzie czekało na nią życie, które znała na pamięć.

Ale przecież to życie nie wygląda znowu tak najgorzej, pomyślała, uśmiechając się do siebie. Pomiedzy nimi nie padły do tej pory żadne obietnice, wiedziała jednak, że Neill czuje do niej coś więcej niż tylko fizyczny pociąg. Musiało tak być, skoro wydarzyło się to wszystko. Nie miała przecież w sobie seksapilu, który doprowadza mężczyzn do takiego szaleństwa.

Owszem, Neill nie powiedział wprost, że ją kocha, ale przecież nie znaczy to, że tak nie jest. Ona w końcu także nie wyznała mu niczego, choć jej serce wprost rwało się do niego i niemal pękało z emocji. Nie liczyła więc niby na nic, ale - przynajmniej w tej chwili - życie zdawało się obiecywać wiele możliwości.

Tymczasem Neill, spoglądając na Annę kątem oka, zastanawiał się, jakie to myśli przywiodły na jej twarz tajemniczy uśmiech Mony Lisy. Byli już prawie w domu, on jednak zastanowił się przekornie, jak zareagowałyby, gdyby nie zatrzymując się, przemknął przez miasto i jak gdyby nigdy nic jechał dalej. Albo nagle zawrócił samochód i ruszył z powrotem do Chicago. Mogliby tam zamknąć się w hotelowym pokoju i nie wychodzić z niego całymi latami. W hotelu opowiadano by sobie legendy o pewnej ekscentrycznej parze, która zamknęła się w pokoju na wieki. Nielojalna obsługa hotelowa puściłaby z pewnością jakieś przecieki do prasy i w końcu całą historią zainteresowałby się Hollywood, a oni zostaliby bohaterami romansu wszechczasów.

Chyba jednak nadszedł czas, żeby zawieźć dziewczynę do domu, pomyślał melancholijnie. I powiedzieć jej wreszcie parę słów o tym, czym naprawdę się zajmuje i jak wygląda jego kariera. Całkiem nieproszona, powróciła mu do głowy myśl, że jest w tym wszystkim pewien zdumiewający zbieg okoliczności: czy to nie

dziwne, że pisał do tej pory książki o sprawach takich jak ta, która przydarzyła się w jej rodzinie?

Być może nie zrobi to na niej wielkiego wrażenia, pomyślał, mimowolnie zaciskając dłonie na kierownicy. Nie wiedział przecież nic o śmierci Brooke, dopóki nie poznał Anny. A na pewno nie zamierzał uczynić tego tematem kolejnej książki. Coraz bardziej upewniał się w przekonaniu, że ma już dosyć zajmowania się mrocznymi zakamarkami ludzkiej psychiki i prób wyjaśniania rzeczy, które z natury wymykały się wyjaśnieniu.

Anna może jednak poczuć się urażona tym, że wprowadzał ją w błąd. Nie mógł zaprzeczyć, że miałyby do tego prawo. Ale nie na długo. Parę godzin, może parę dni - i oboje będą śmiali się z tego wszystkiego. A więc powie jej. Powie jeszcze dzisiaj. Nie może dłużej być tchórzem.

Kiedy zatrzymali się wreszcie przed bramą, Anna pomyślała, że jej domek pod różą wygląda jakoś dziwnie. Mały i wypielęgnowany jak bombonierka, nie przypominał niczego, co otaczało ich w Chicago. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to nie domek się zmienił tylko ona. Patrzyła teraz na świat zupełnie innymi oczyma. Była całkiem nową, inną Anną Moore.

- Zjemy dziś razem kolację? - spytał Neill, gdy zbliżyli się do ganku. - Biorę to na siebie. Mogę ugotować dla nas małe co nieco, żebyś zobaczyła, czy mo-

że być ze mnie jakiś pożytek. A potem będziemy się przyglądać, jak wschodzi księżyc nad altanką.

- Brzmi to bardzo romantycznie - odparła, przekręcając w zamyśleniu klucz. - Tylko że mamy dziś niedzielę.

- Co z tego wynika? - Neill uniósł brwi. - Nie wolno oglądać księżycy w niedzielę?

- Niedzielną kolację zawsze jem z rodzicami.

- Zawsze? - Przesunął palcem wzdłuż brzegu jej małego dekolciku. - Bez wyjątku?

Przełknęła z trudem ślinę.

- Zawsze. Ale przecież mógłbyś pójść ze mną - spróbowała się uśmiechnąć, żeby przykryć lekki grymas, który pojawił się na jej twarzy.

- Żeby twoja mama zjadła mnie na deser? Mam lepszy pomysł - powiedział, oplatając jej ramiona i przysuwając wargi do ucha. - Zjedźmy kolację tutaj. Wyłączymy telefon, rozpalimy ognisko, a potem będziemy się kochać do białego rana.

Wygięła się do tyłu, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Nie mamy drewna na ognisko. Chyba że porąbiemy dębową podłogę.

- Pozwolę ci na wszystko, zaspokoję każdą fantazję, doprowadzę do ekstazy...

- Nie wiem... - zaczęła bawić się guzikami przy jego koszuli. - Chyba wolałabym, żebyś poszedł ze mną do rodziców. Wiem, że to wygląda na jakąś staroświecką tradycję, ale dla mojej matki to bardzo

ważne. Nie chcę jej zranić, jeżeli tylko mogę tego uniknąć.

„Stalowa magnolia” nie miałyby takich skrupułów, pomyślał Neill. Ale Anna je miała. A jeżeli to dla niej takie ważne...

- Dobrze - odpowiedział po chwili. - Pozwól mi tylko się przebrać.

- Zadzwoń do nich i powiem, że przyjdziemy razem - ożywiła się, wyraźnie uradowana.

- Żeby mama zdażyła włożyć trochę cyjanku do pieczeni? - znów zażartował, a widząc, że się zachnęła, pocałował ją, żeby powstrzymać karcące słowa.

Jak można było oczekiwać, Olivia i tym razem ubrana była z właściwą sobie elegancją. Rozmowa nie była bardziej ożywiona niż poprzednio i obracała się wokół dość obojętnych tematów. Neill znów nie mógł powstrzymać się od porównań z własną rodziną. Zastanawiał się, dlaczego Moore'owie w tak uparty sposób trzymają się drętwych rytuałów, z których sami nie czerpią najwyraźniej zbyt wiele radości. Może gdy w rodzinie brakuje prawdziwej więzi, ludzie chwyają się zastępczych środków?

- Czy udało się już panu naprawić motocykl?
- spytała Olivia, wnosząc deser.

- Jeszcze nie - odparł. - Ale wkrótce będzie gotowy.

- Wyobrażam sobie, że bardzo się pan niecierpliwi.

Pewnie chciałby pan wreszcie uruchomić silnik i ruszyć w dalszą drogę.

Neill przeniósł wzrok na Annę i uśmiechnął się do niej, nie zdając sobie sprawy, jak wielkie wrażenie sprawiło to spojrzenie na innych.

- Właściwie wcale się nie spieszę - powiedział powoli i spostrzegł, że Anna się rumieni. Spuściła oczy, wyraźnie zakłopotana, i zapewne dla każdego, kto przyglądał im się w tej chwili, zażyłość między nimi nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

Nie miała ich w każdym razie Lisa. Anna i Neill patrzyli na siebie jak para zakochanych, co wzbudzało nerwowość jej matki i brata. Położyła rękę na ramieniu Jacka, by uspokoić go i powstrzymać przed wypiciem kolejnego kieliszka. Rzuciła też zaciekawione spojrzenie na Olivię, w której oczach wzbierała prawdziwa furia. Lisa uśmiechnęła się smutno na ten widok - czy matka jest wściekła, bo jej córka ma kochanka, czy też dlatego, że coraz bardziej traci nad nią kontrolę? Tak czy inaczej, Lisa nie zazdrościła w tej chwili Annie. Neillowi również, choć akurat on wyglądał na człowieka, kto da sobie radę w najtrudniejszych sytuacjach i odpowiednio o siebie się zatroszczy.

Czy zatroszczy się również o Annę? Lisa miała taką nadzieję.

- Czy widziałas, jak on na nią patrzył? - wybuchnął Jack pół godziny później, gdy opuścili już dom

rodziców i znaleźli się w samochodzie. - Zupełnie jakby byli... jakby byli...

- Kochankami? - dokończyła Lisa.

- Tak, kochankami! - Nerwowo przekręcił kluczyk w stacyjce. - Jakim prawem ten facet patrzy na nią w ten sposób?!

- Spędzili weekend w Chicago, wiesz o tym? - powiedziała Lisa spokojnie. - Jeśli patrzy na nią w ten sposób, to pewnie ma jakieś powody.

W innych okolicznościach wyraz bezmiernego zdumienia, jaki pojawił się na jego twarzy, spowodowałby, że parsknęłaby śmiechem. Ale teraz mogła tylko się dziwić jego zaślepieniu.

Jack wcisnął mocniej pedał gazu i nie powiedział ani słowa, aż do momentu gdy zza zakrętu wyłonił się domek Anny. Zdaje się, że dotarli już na miejsce, pomyślała Lisa, widząc światło w sypialni, lecz nim zdołała powiedzieć cokolwiek, Jack z impetem wcisnął pedał hamulca i samochód z piskiem zatrzymał się koło zjazdu z drogi.

- Zabiję tego drania! - wyrzucił z siebie, otwierając energicznym pchnięciem drzwi. - Jeżeli tam jest, przysięgam na Boga, że go...

- Stój! Nie waż się wyjść z samochodu - wycedziła, wpijając palce w jego ramię i przytrzymując je całą siłą. - To nie twój interes, czy jest teraz z nią, czy nie. Ani teraz, ani kiedykolwiek indziej!

- Nie mój interes?! - Odwrócił się rozwścieczony.

- Nie twój interes! - powtórzyła, patrząc na niego groźnie. - Anna nie jest dzieckiem. Ma dwadzieścia pięć lat. A teraz zamknij te cholerne drzwi, zanim usłyszy, że tu stoimy i wykrzykujemy coś przed jej domem.

Jack siedział przez chwilę bez ruchu, wyraźnie zбитy z tropu.

- Jego tu nie ma, Jock - odezwała się znowu Lisa. - W przeciwnym razie stałby tu ten dziwny samochód, który pożyczył od Davida. Chyba nie sądzisz, że zaparkował w mieście i przyszedł na piechotę?

Po długim, pełnym napięcia milczeniu Jack zatrząsnął wreszcie drzwi i nie patrząc na Lisę, uruchomił silnik. Wrzucił bieg, ruszył, a ona dopiero teraz cofnęła rękę i odetchnęła z ulgą. Jeżeli corvette stała ukryta gdzieś za ogrodzeniem, tylko łut szczęścia uchronił Annę przed wtargnięciem brata i potworną awanturą.

Żadne z nich nie odezwało się słowem aż do chwili, gdy Jack zatrzymał samochód przed domem wynajmowanym przez Lisę. Wyłączył silnik i siedzieli przez moment w milczeniu.

- Nie możesz porównywać Anny do innych kobiet w jej wieku - odezwał się w końcu. - Wiem, że ma dwadzieścia pięć lat, ale bardzo długo była... pod naszą wyłączną opieką.

- Powinieneś raczej powiedzieć, że była stłamszona przez tę „opiekę”.

Znów zapadła cisza. Jack ściągnął usta i niechętnie przyznał:

- Może. Może rzeczywiście byliśmy wobec niej zbyt opiekuńczy. Ale jakiegokolwiek są powody, Anna psychicznie jest ciągle naiwną, młodą dziewczyną. Jest niesamodzielna, słaba. Nie chciałbym być świadkiem tego, jak ktoś ją wykorzystuje. Poza tym nie lubię tego Devlina. Co my w ogóle o nim wiemy?

- Wiemy, że sama jego obecność powoduje, że Anna wygląda na szczęśliwą.

- Szczęśliwą? - Jack powtórzył to słowo, spoglądając na Lisę z ironią, jakby był zdumiony jej naiwnością. - Widziałem już nieraz ten rozanielony wyraz na twarzach rozmaitych pańienek. Tylko co się stanie z tym uśmiechem, kiedy ten drań zniknie stąd za dwa dni?

- Nie wiem, czy zniknie, czy nie. Jedno, co wiem, to że Anna bardzo zmieniła się przez ostatnie dwa tygodnie. Nie pamiętam jej tak pogodnej i radosnej, odkąd wróciłam do Loving. Powiedz, Jack, czy ty kiedykolwiek przyjrzałeś się jej uważnie? Czy zastanawiałeś się, jak naprawdę wygląda jej życie? Co czeka ją w przyszłości? A może po prostu zbyłeś to wszystko wygodnym stwierdzeniem, że sprawy „jakoś się ułożą”? Tak, najlepiej by było, gdyby Anna żyła sobie w swoim małym domku, otoczona różami, bezpieczna, szczęśliwa pod waszą baczną opieką... No właśnie, tylko czy ona jest szczęśliwa? Powiedz uczciwie.

- Lepsze takie życie niż to, co spotkało...

- Przestań - przerwała mu. - Nie można ciągle żyć

tak, jakby historia z Brooke miała się powtórzyć. - Jej głos załamał się nieco, gdy wymawiała to imię. Jack poruszył się niespokojnie w fotelu i wyciągnął w jej kierunku rękę, jakby chciał ją uciszyć. To dodało jej sił. - Zrozumcie wreszcie, że życie Anny nie ma nic wspólnego z Brooke! - krzyknęła. - Przestańcie kłaść jej na grzbiet ten ciężar!

- Jaki ciężar? O czym ty, do diabła, mówisz?

- O Annie. Mówię o Annie. I o tym, jak cała wasza rodzina... mało - całe to miasteczko!... traktuje ją jak figurkę z porcelany, jak nie pozwala jej na prawdziwe życie. Twoja siostra jest kobietą z krwi i kości, Jack, dorosłą kobietą, która chce normalnie żyć, kochać, cieszyć się młodością. Uświadom to sobie wreszcie.

- Wiem o tym.

Jack cofnął się w fotelu i przywarł plecami do oparcia. Czuł się wytrącony z równowagi. Jak w ogóle doszło do tej absurdalnej rozmowy? Czy musieli zająć tak daleko, zaczynając od prostego stwierdzenia, że Anna ma kochankę? Na myśl o tym draniu znowu zagotowała się w nim krew.

- I dlatego właśnie zadaje się z tym Devlinem? Co ona sobie w ogóle wyobraża? - wyrzucił z siebie, uderzając dłonią w kierownicę. - Czy zastanowiła się choć przez chwilę, co może wyniknąć z takich spotkań, z takich...?

- Zaręczam cię, że się zastanowiła. Wasza porce-

lanowa figurka odważyła się pomyśleć przez chwilę o sobie, zdobyła się na samodzielność. Czy wyobrażałeś sobie, że pozostanie dziewicą do końca życia?

- Nie - znów poruszył się w fotelu. Nie chciał o tym mówić. Właściwie nie chciał nawet o tym myśleć. - Myślałem jednak, że zainteresuje się kimś innym. Że wyjdzie za mąż za jakiegoś porządnego faceta.

- Za kogo? - spytała przymilnie Lisa. - Za Franka Millera? Czy to właśnie dla niej zaplanowałeś? Chcesz ją wydać za faceta, o którym sam kiedyś powiedziałaś, że jest potwornym nudziarzem i że można by go używać zamiast tabletek nasennych?

- Frank jest w porządku - zaprotestował bez przekonania. - Jest porządny i solidny. Anna byłaby przy nim bezpieczna.

- A przed jakimi to niebezpieczeństwami miałyby ją chronić? Przed kontaktem z ludźmi, z którymi można prowadzić ciekawe rozmowy? Przed tym, żeby czasami pośmiać się i pożartować? Przed prawdziwym życiem? Czy bezpieczeństwo jest jedyną rzeczą, która się liczy? A co ze szczęściem, Jack? Nie chcesz, żeby twoja siostra była szczęśliwa?

- Oczywiście, że chcę!

- Więc nie zamykaj jej pod kloszem. Chowaliście ją pod nim przez całe życie. Nigdy nie pozwoliliście jej zapomnieć o śmierci Brooke i ta śmierć wisi nad nią jak cień. Tak naprawdę przez piętnaście lat kazaliście tkwić jej w żałobie.

- Przesadzasz - zachnął się Jack.

- Nie, nie przesadzam. W żałobie i w strachu. Nawet jeżeli ten Devlin złamie jej serce, to co? A przecież wcale tak nie musi być. A jeśli nawet będzie, jeśli on albo ktoś inny ją zrani, wierz mi, lepsze to niż życie pozbawione jakichkolwiek emocji. Czy naprawdę chcesz, żeby związała się z Frankiem? Naprawdę tego chcesz?

Jack nerwowo wyjął kluczyki ze stacyjki i bawił się nimi przez chwilę, po czym włożył je z powrotem.

- Zgoda, jestem nadopiekuńczy - wyrzucił w końcu z siebie. - Ale po tym, co stało się z Brooke, zawsze czułem, że teraz muszę dopilnować Anny. Chciałem odpokutować za to, że nie było mnie wtedy...

- To nie była twoja wina. - Lisa wyciągnęła rękę i przesunęła palcami po jego policzku. - To, co stało się z Brooke, nie było twoją winą - powtórzyła.

- Naprawdę tak myślisz? - rzucił niepewnie.

Lisa spostrzegła, jak napięty się mięśnie na jego twarzy. Zapadła cisza, przerwana dopiero po dłuższej chwili szczekaniem psa dobiegającym z oddali.

- Spóźniłem się - powiedział Jack z ciężkim westchnieniem. - Miałem zabrać ją wtedy ze szkoły i spóźniłem się o całe pół godziny. Powiedziałem rodzicom, że zapomniałem, że straciłem rachubę czasu, ale naprawdę było inaczej. Grałem z kumplami w kosza. Dokładnie wiedziałem, że się spóźnię, ale postanowiłem dotrzeć do końca meczu. Pomyślałem, że nic

się nie stanie, jeśli Brooke trochę poczeka, a w ostateczności przejdzie ten kilometr na piechotę. I tak zrobiła. Ktoś zabrał ją po drodze.

Siedział napięty jak struna. Cisza, która zapadła po tych słowach, była tak głęboka, że Lisa słyszała niemal, jak pulsuje krew w jej żyłach. Czuła, że nabierał się w nim ból, którego Jack nie mógł wyrzucić z siebie przez całe lata i który, nie mogąc znaleźć ujścia, zżerał go od środka.

- Brooke setki razy wracała do domu na piechotę - odezwała się cicho. - Wiesz przecież o tym. Czy mogłeś przypuszczać, że akurat tym razem spotka ją nieszczęście?

- To wszystko nie zmienia faktu, że zginęła, bo nie chciało mi się przerwać głupiego meczu.

Chciała objąć go ramieniem, ale intuicja podpowiedziała jej, że Jack nie tego teraz potrzebuje. Spokojnie, starając się pozbawić głos osobistego tonu, powiedziała:

- Brooke nie żyje od piętnastu lat, Jack. Jak długo chcesz jeszcze rozczulać się nad sobą?

Podskoczył w fotelu, jakby wymierzyła mu policzek. I nawet w skąpym świetle, które sączyło się z latarni, dostrzegła na jego twarzy wyraz zdumienia i oburzenia.

- Nie rozczulam się nad sobą, do cholery!

- Robisz to. Zrezygnowałeś z medycyny, żeby zostać szeryfem. Zacząłeś pić. Och, oczywiście, nie jesteś

jeszcze alkoholikiem, ale wszystko zmierza w tym kierunku. Znam te symptomy, uwierz mi. Nie jesteś w stanie się określić, powiedzcie, czy chcesz się ożenić. Boisz się założyć rodzinę... - Jej głos załamał się na ostatnich słowach, ale uspokoiła się i mówiła dalej, głośniejszym i szybciej, jakby obawiała się, że nie zdąży powiedzieć wszystkiego. - Twoja siostra umarła, a ty spędziłeś piętnaście lat, odgrywając rolę męczennika, który nie może uwolnić się od jej śmierci. A przecież już nawet nie pamiętasz Brooke. Twoja rodzina stworzyła z niej obiekt kultu, ideał, świętą figurkę, do której można się modlić. Przykro mi, ale mam już tego dosyć. Mam dosyć tego miasta i mam dosyć ciebie. Wyjeżdżam stąd, jak tylko uda mi się pozatratwić wszystkie sprawy. I mam nadzieję, że Neill Devlin ma dość rozsądku, żeby zabrać stąd Annę, zanim zniszczycie jej życie - niemal wykrzyczała ostatnie słowa, po czym pchnęła z impetem drzwi samochodu.

- Lisa! - Jack wyciągnął rękę, ale odtrąciła ją i ukryła twarz w dłoniach.

- Zostaw mnie w spokoju - wydusiła i zaniósła się płaczem.

Całe jej ciało drżało wstrząsane szlochem i dopiero po dłuższej chwili uniosła się z fotela, spojrzała na niego i bez słowa wyszła na zewnątrz. Potknęła się na chodniku i lekko zataczając się, ruszyła w kierunku drzwi.

- Lisa...

Jack wyrósł za nią jak spod ziemi. Położył rękę na jej ramieniu, nie pozwolił się odepchnąć.

- Nie płacz, proszę. Nie chcę, żebyś płakała przeze mnie. Nie jestem tego warty.

- Fakt - wyszłochała, zachłystując się łzami. - Nie płaczę przez ciebie. Płaczę, bo nie mogę znaleźć kluczy.

- Jeśli chcesz... to wybiję okno - wymamrotał zdenerwowany. Przyciągnął ją do siebie i przytrzymał ramieniem, mimo że próbowała się wyrwać. - Nigdy nie chciałem cię zranić, Liso. Ja po prostu... Ja po prostu od dawna myślałem, że... że nie zasługuję na ciebie.

- Masz rację, nie zasługujesz - wyrzuciła z siebie, pozostawiając jednak policzek przy jego piersi.

- Ja... no tak, pewnie masz rację. Może rzeczywiście zacząłem rozczulać się nad sobą. Sam nie wiem - westchnął. - Tak długo czułem się winny za to wszystko... Może chciałem znaleźć winnego, nawet jeśli tym winnym miałbym być ja sam. Kiedy zamordowano Brooke, jedną z rzeczy, z którymi najtrudniej było nam się pogodzić, była... przypadkowość tej śmierci, jej bezsens. Bo to przecież nie było tak, że ktoś chciał zabić właśnie ją. Zginęła, bo akurat była pod ręką, nawinęła się. Trudno się pogodzić z taką absurdalną śmiercią. A przecież gdybym się nie spóźnił... Czy naprawdę to takie dziwne, że żre mnie to do dzisiaj?

Lisa zamknęła oczy.

- Miałeś wtedy dwadzieścia lat. Ilu znasz dwudziestolatków, którzy poświęciliby mecz koszykówki, żeby

odwieźć siostrę do domu? Okay, to nieładnie, że kazałeś jej czekać. Ale to nie znaczy, że ty ją zabiłeś. Nikt nie wciągnął jej siłą do samochodu. Ktoś zaproponował, że ją podrzuci, a ona dała się na to nabrać. To nawet nie była jej wina.

Uniosła głowę znad jego piersi i spojrzała mu w oczy. Jego twarz była smutna, w żółtawym świetle lampy wyglądała ponuro i posepnie.

- Czy pamiętasz jeszcze w ogóle, jaka była Brooke, Jack? Czy pamiętasz, jak lubiła różne małe, niewinne gierki, jak często robiła coś tylko po to, żeby kogoś podrażnić albo zagrać mu na nosie? Jeżeli ktoś - powiedzmy, jakiś nieznajomy o miłym wyglądzie - zatrzymał się i zaproponował jej podrzucenie do domu albo gdziekolwiek indziej, nawet do sąsiedniego miasteczka, a Brooke była zła na ciebie za to, że się nie pojawiłeś, to przecież mogła skorzystać z okazji i pojechać na przejażdżkę tylko po to, żebyś mógł pomartwić się o nią trochę i mieć wyrzuty sumienia. No powiedz, czy to nie byłoby do niej podobne?

- Wiedziała przecież dobrze, że...

- ..małe dziewczynki nie biorą cukierków od obcych panów? - Usta Lisy wykrzywiły się w ironicznym uśmiechu. - Oczywiście, wiedziała, ale przecież i ty wiesz, że nie było rzeczy, którą Brooke lubiłaby bardziej od robienia na przekór i wkładania kija w mrowisko. Znałam ją, była moją przyjaciółką. I wiem doskonale, że uznałaby to za świetny numer,

gdyby zadzwoniła do domu z miasteczka odległego o, dajmy na to, pięćdziesiąt kilometrów i powiedziała matce, że pojechała tam autostopem. To, że Olivia zdarłaby z ciebie skórę, byłoby tylko małą satysfakcją. Główna bowiem polegałaby na pokazaniu matce, że jej zapędy, by ją kontrolować, nie zdadzą się na nic.

Lisa uniosła ręce i ujęła jego twarz w obie dłonie.

- A jeżeli nawet tak było - dodała - jeżeli Brooke weszła do tego samochodu tylko po to, żeby zagrać wam na nosie, jeżeli zrobiła coś tak głupiego i lekkomyślnego, to czy można ją winić, że doprowadziła do własnej śmierci?

- Oczywiście, że nie.

- Dlaczego więc siebie chcesz traktować inaczej?

Jack pokręcił głową, ale nie towarzyszyła temu żadna odpowiedź. Lisa westchnęła ciężko, cofnęła się o krok i dokończyła:

- Kocham cię, Jack, ale nie zamierzam stać się częścią gmatwaniny, w którą się wplątałeś. Nie chcę snuć się wokół was i przyglądać, jak powoli stajesz się alkohikiem. I nie zamierzam spędzić reszty życia na oczekiwaniu, aż rozstrzygniesz, czy ukarałeś się już wystarczająco i czy stać cię na to, by pozwolić sobie i innym na odrobinę szczęścia. Ja chcę mieć dom. Dom i dzieci. I nie zamierzam czekać, aż się zestarzeję i nie będę mogła cieszyć się tym wszystkim. Chciałam, żeby to były również twoje dzieci, ale jeżeli ty masz inny pomysł na życie, znajdę kogoś innego i spróbuję z nim być szczęśliwa.

Jack wciąż stał przed nią w milczeniu, więc po chwili oczekiwania Lisa opuściła głowę i zaczęła przeszukiwać torebkę. Znalazła klucze, otworzyła zamek, weszła do środka i powoli zamknęła za sobą drzwi. Przywarła do nich plecami, zamknęła oczy. Stała tak z odchyłoną do tyłu głową, czekając, aż usłyszy kroki Jacka oddalające się z chrzęstem po żwirowej alejce. Wiedziała, że odgłos ten zapamięta na zawsze.

Cisza wydłużała się coraz bardziej, a ona wciąż czekała, czując, jak serce tłucze się w jej piersi. Nagle zamiast kroków usłyszała stukanie. Jej oddech przyspieszył gwałtownie, odwróciła się i po chwili wahania nacisnęła klamkę.

Jack patrzył jej prosto w oczy.

- Ile? - spytał konkretnie.

- Co takiego? - Spojrzała na niego, nie rozumiejąc pytania. - Ile... czego?

- Ile dzieci? - uśmiechnął się niepewnie. - Nie starczy nam już czasu na więcej niż sześcioro. Chyba że zmajstrujemy jakieś bliźniaki.

- Sześcioro? - Lisa z trudem zdołała opanować emocje. - Myślałam raczej... o najwyżej dwojgu.

- Może zaczniemy od razu i zobaczymy, jak nam idzie?

Wyciągnął do niej ramiona i przycisnął do siebie tak mocno, że niemal zatrzeszczały jej żebra.

- Wybacz mi, Liso. Mogę ci tylko obiecać, że zrobię wszystko, co w mojej mocy...

- Ciii... - uciszyła go. - Nikt nie może obiecać więcej. - Zanurzyła palce w jego włosach, czując, jak wzbiera w niej miłość. -I nikt nie może o więcej prosić.

- Chciałbym, żebyś była szczęśliwa. Pobierzemy się tak szybko, jak się da - mówił, ujmując jej dłoń i schylając głowę, by ją pocałować. - Możemy zostać tu albo wyjechać, jak chcesz. Znajdę pracę wszędzie. Jest mi wszystko jedno, gdzie będziemy mieszkać, tylko proszę... nie opuszczaj mnie.

- Nie opuszczę. - Lisa uśmiechnęła się przez łzy.
- Potrzebuję przecież tatusia dla naszych brzdąków.

Jack odpowiedział jej uśmiechem i po raz pierwszy tego wieczoru z jego oczu zniknął smutny cień.

- No to zabierajmy się do roboty. Nikt nie powiedział, że od razu się uda. Potrzebujemy dużo praktyki, żeby nabrać wprawy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Neill zamknął za sobą furtkę i ruszył wąską alejką w kierunku domku. W ciepłym, wieczornym powietrzu unosił się zapach róż, a z ogrodu dochodziło leniwe buczenie ostatnich pszczół, zbierających się do odlotu na noc do ula. Spojrzał przed siebie i pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział tak „kobiecego” domu. Wąska wypielegnowana alejka, kapryśne kolory, mały, przytulny ganek z różami wspinającymi się po kolumnkach. Zupełnie jakby przekraczał jakieś zakłętą wrota, za którymi roztaczał się bajkowy, czarodziejski świat.

Nie minęły dwadzieścia cztery godziny, odkąd widział Annę po raz ostatni, a już pogrążony był w bolesnym, nerwowym oczekiwaniu, przypominającym roztrzęsienie młokosa wybierającego się na pierwszą randkę. Mógł przecież zostać z nią poprzedniej nocy. Gdyby poprosił ją, zgodziłaby się na pewno. Ale nie zrobił tego, doszedłszy do wniosku, że po tak intensywnym weekendzie oboje potrzebują trochę oddechu. Skutkiem tego było spędzenie dosyć smętnej, samotnej

nocy w motelu, gdzie pocieszać mógł się jedynie tym, że i Anna zapewne męczy się bez niego.

Spojrzał spode łba na kwiatki, które ścisnął w dłoni. Ciekawe, po co komu stokrotki, skoro hoduje w ogrodzie tyle pięknych róż? A może Anna lubi stokrotki?

Obiecał sobie, że tym razem nie odłoży już swojej spowiedzi. Im dłużej z tym zwlekał, tym trudniej było mu podjąć tę decyzję. Pomyślał, że być może Anna za pół godziny wyrzuci go ze swego różanego domku razem ze stokrotkami. Trudno, musi wyznać jej prawdę. Może zresztą nie będzie tak źle? W końcu nie okłamał jej. To było tylko... drobne przemilczenie.

Nabrał głęboko powietrza i nacisnął dzwonek. Otworzyła drzwi, zanim zdążył jeszcze przebrzmieć jego pogłos, a gdy stanęła przed nim, znów poczuł, jak serce topnieje mu na jej widok. Miała na sobie dzinsy i koszulę w brzoskwińowym kolorze, a odgarnięte do tyłu włosy spadały swobodnie na ramiona. Jak ona to robi, że zawsze wygląda tak ślicznie?

- Cześć - powiedziała, uśmiechając się do niego radośnie.

Bez słowa przekroczył próg, objął ją dłonią za szyję i zbliżył usta do jej warg. Trwał przez chwilę w tym zbliżeniu, czując, jak ręka Anny przesuwają się po jego piersi i tarmosi w roztargnieniu koszulkę. Po chwili jej wargi rozchyliły się i spotkały z jego ustami. Gdy skończyli pocałunek, Neill odchylił głowę i z przyje-

mnością spostrzegł w jej oczach oszołomienie. Wciąż oszołomiona, pomyślał. Wciąż szczęśliwa i ufna. Jak długo jeszcze?

- Cześć - odpowiedział dopiero teraz. - Przyniosłem ci kwiaty.

- Och...

Spojrzała na bukiet, który trzymał w dłoni. W jej głowie wciąż kręciło się od pocałunku, a kolana były miękkie jak wata. Wzięła od niego kwiaty i pomyślała, że powinna coś powiedzieć. Ale co? „Dziękuję”? Tylko tyle?

- To wspaniale, że przyniosłeś kwiaty - wydobyła z siebie, z trudem znajdując słowa.

- Wstawienie ich do wody nie byłoby głupim pomysłem - podpowiedział, widząc, że stoi niezdecydowana. - Moja matka ma specjalny przepis na długi żywot stokrotek. Wrzuca się do wody aspirynę - dodał tonem znawcy.

Położył rękę na jej ramieniu i ruszył razem z nią do kuchni.

- Mmm... czuję jakieś smakowite zapachy.

- Kurczak - wyjaśniła Anna. - Zrobiłam potrawkę z kurczaka. Nie wiedziałam, co lubisz, a kurczak jest zawsze bezpieczny.

Wstawiła bukiet do zlewu i otworzyła kredens, żeby wyjąć wazonik.

- Z tobą mógłbym zjeść niemal wszystko - powiedział Neill, pochylając się z ciekawością nad stojącym

na blacie deserem. - Nie wiedziałem, że lubisz gotować.

- Czasami sprawia mi to przyjemność - powiedziała, wyjmując z szuflady nożyce, żeby przyciąć łożdgi przed wstawieniem kwiatów do wazonu. - Ale nie zawsze. Gotowanie dla siebie bywa trochę nudne. Jeszcze nudniejsze jest jednak jedzenie mrożonek, więc zwykle zdobywam się na jakiś wysiłek.

- Ciasto z czekoladową polewą? - spytał, pochylając się nad formą.

- Tak - potwierdziła, choć nie była pewna, czy gdyby spytał ją o jego nazwę, potrafiłaby znaleźć odpowiednie słowo wśród rozbieganych myśli.

- Boże, uwielbiam czekoladowe ciasto...

W głosie Neilla pojawiło się takie rozmarzenie, że omal nie wybuchnęła śmiechem. Nie zastanawiając się, co robi, odchyliła plastikową pokrywę i zgarnęła palcem trochę masy. Dopiero w momencie, gdy podsunęła mu palec do ust, uświadomiła sobie, jak śmiały i prowokujący jest jej gest, i zakłopotana cofnęła rękę. Neill chwycił ją jednak za nadgarstek i przyciągnął dłoń z powrotem.

Powoli oblizał umoczony w czekoladzie palec. Anna z wrażenia oparła się o szafkę. Neill wciągnął palec jeszcze głębiej i zaczął ssać go delikatnie. Nie odrywając spojrzenia od jej oczu, przyglądał się, jak pojawia się w nich rozkoszne upojenie. Westchnęła lekko i wtedy pochylił się do jej warg. One też smakowały czekoladą.

- Czy kolacja może zaczekać? - spytał, przerywając na chwilę pocałunek i przesuwając wargami po miękkiej, rozkosznie pachnącej skórze jej szyi.

- Może... - wyszeptała, wiedząc, że odpowiedziałyby to samo, nawet gdyby w piekarniku zaczynała właśnie przypalać się pieczeń.

- To dobrze - zamruczał namiętnie. - Bo ja nie mogę.

Kurczak był już niemal wyschnięty na wiór, a makaron całkiem się rozgotował, ale nie miało to żadnego znaczenia. Zjedli wszystko w mgnieniu oka, jakby chcieli dowieść słuszności teorii głoszącej, iż seks zaostrza apetyt.

- Jeżeli będziesz zmuszać mnie do takiego wysiłku, nie pozostanie mi nic innego, jak zjadać codziennie podwójne porcje - powiedział Neill, pałaszując ze smakiem ostatki, które udało się wygrzebać z garnka.

Jej twarz zapłonęła, ale zaraz pomyślała, że nie może tak śmiesznie rumienić się za każdym razem, gdy Neill przypomina jej, że jest kobietą. Zwłaszcza że jedynym okryciem, które miała teraz na sobie, była jego luźna koszula narzucona niedbale na ramiona. Ale wciąż było coś niezwykłego w tym, że pożąda jej tak bardzo. Nigdy nie myślała o sobie jak o kobiecie pełnej, atrakcyjnej, kobiecie, która może pobudzać męską wyobraźnię i rozpalać męskie zmysły. Czyżby się myliła? Czyżby była kim innym, niż sądziła?

Po kolacji Neill pozwolił wypchnąć się z kuchni, a Anna zajęła się przygotowaniem deseru. W ostatniej chwili ugryzł się w język, gdy przyszło mu do głowy, że polewa czekoladowa może służyć do bardziej ekscytujących zajęć niż polewanie nią ciasta. Cóż, chyba za wcześnie na takie swawole. To prawda, Anna w cudowny sposób łączyła w sobie nieśmiałość i zmysłowy erotyzm. Nie przypominała w tym kobiet, z którymi Neill się spotykał. Lubił je, czasem pożądał, ale żadna nie działała na niego tak bardzo. A jednak nie mógł sobie z nią pozwolić na wszystko. Był jej coś winien. I to nie byle co - prawdę.

Ociągając się, powędrował do jadalni. W przytulnym mieszkaniu Anny czuł się wyjątkowo dobrze, właściwie jak u siebie. Żeby poczuć się jak we własnym domu brakowało mu chyba tylko miękkich pantofli, fajki, z którą mógłby zagłębić się w fotelu, no i... koszuli, pomyślał, ocierając dłonie o nagą pierś.

Podszedł do półki z książkami i zmarszczył brwi, zaintrygowany, co też na nich znajdzie. Kilkanaście powieści - trochę romansów, parę, jak to kiedyś określiła, powieści z kluczem. Poza tym przewodniki, książki o podróżach: Europa, Zachodnie Wybrzeże Pacyfiku, Ameryka Południowa, Australia.

Przeglądając tytuły, Neill poczuł się nieswojo. Zebrała tutaj całą turystyczną bibliotekę, a tymczasem miniony weekend był jej pierwszą wyprawą do Chicago - miasta leżącego od Loving o parę godzin jazdy

samochodem. Od jak dawna rozczytywała się o miejscach, do których nigdy nie miała pojechać? Jak długo marzyła o cudach świata, których nigdy nie miała zobaczyć? Wybrał na chybił trafił książkę, otworzył ją i zobaczył, jak pozaznaczała na czerwono miejsca, które ją zaciekały - Luwr, Champs Elysees, piekarnię, w której można kupić najlepsze croissanty w całym Paryżu.

Usłyszał, jak wchodzi do pokoju, i odwrócił się do niej, nie odstawiając książki na półkę.

- Widzę, że zaplanowałaś już podróż do Paryża?

Anna postawiła na stole filiżanki i zarumieniła się lekko.

- „Zaplanowałam” to za dużo powiedziane. Lubię czytać o dalekich krajach.

- Dlaczego więc tam nie pojechać?

- Hm... no cóż, nigdy nie myślałam... chciałam powiedzieć, że tak naprawdę nigdy nie podróżowałam.

Zaczęła z roztargnieniem bawić się kołnierzykiem koszuli. W sposobie, w jaki na nią teraz patrzył, było coś, co wyprowadziło ją z równowagi. Nie wiedziała, jak to nazwać, ale gdy spojrzała na niego, wydało się jej, że jest trochę zły.

- Nic cię przecież tu nie trzyma, prawda? - Zreflektował się i dodał łagodniejszym tonem: - Chciałem powiedzieć, że nic nas nie trzyma. Czy są jakieś przeszkody, które nie pozwalałyby nam pojechać w te wspaniałe miejsca?

- Chyba nie. Nie jestem tylko pewna, jak czułabym się tak... daleko od domu.

- Całkiem nieźle poradziłaś sobie w ten weekend.

- Ale... przecież ty byłeś ze mną. - Spuściła oczy na tacę z filiżankami i zaczęła je przestawiać, tak by stały w idealnym porządku. - Pewnie pomyślisz, że to głupie - odezwała się znowu - ale po tym, jak zdarzyła się ta historia z Brooke, zaczęłam bać się podróży. Mama zawsze reagowała na nie nerwowo. Po skończeniu szkoły średniej wybierałam się do college'u, nic jednak z tego nie wyszło. Mama bała się, że coś mi się stanie.

Przesunęła filiżanki o kolejne pół centymetra, nie zauważając, jak w spojrzeniu Neilla zaczynają się iskrzyć błyski prawdziwej złości.

- To zresztą zrozumiałe - dodała. - To znaczy... po tym, co stało się z Brooke. Nie można winić matki, że martwi się o córkę.

- Brooke zginęła tu, w Loving - powiedział łagodnie Neill. - Jeżeli matka obawiała się o twoje bezpieczeństwo, nie byłaś tu bardziej bezpieczna niż gdziekolwiek indziej.

Przestraszona tym, dokąd zaczyna zmierzać ta rozmowa, bojaźliwie uniosła na niego oczy.

- Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób. Choć wydaje się to logiczne. - Niepewnie pokręciła w palcach kołnierzyk. - Ale emocje nie są logiczne, wiesz przecież o tym... - Wzruszyła ramionami.

- Tak czy inaczej, może zadziwię jeszcze wszystkich, kiedy któregoś dnia sama wyruszę na jakąś wielką wyprawę. Czy jesteś gotowy do deseru? - zapytała, chcąc wreszcie zmieniać temat.

- Oczywiście. Połknę całe ciasto - przytaknął skwapliwie, czując, że gdyby ta rozmowa potrwała chwilę dłużej, mógłby niechcący powiedzieć rzeczy, których by potem żałował.

Gdy Anna wyszła do kuchni, odwrócił się z powrotem do półki i odłożył książkę na miejsce. Miesiąc miodowy w Paryżu? Hm, niezły pomysł. Może jednak powinni spędzić miesiąc lub dwa, podróżując po Stanach, by Anna mogła zobaczyć, jak wygląda kraj, w którym się urodziła?

Zanim jednak nadejdzie miesiąc miodowy, trzeba wykonać kilka kroków. Najpierw powiedzieć „Kocham cię” i spytać: „Czy wyjdiesz za mnie?”. Potem zaś dodać przy okazji: „Wiesz, najdroższa, zapomniałem ci powiedzieć, ale moja praca polega na zupełnie czymś innym...”.

- Nigdy jeszcze nie robiłam ciasta według tego przepisu - usłyszał jej głos i znów się odwrócił. Anna niosła z kuchni deserowe talerzyki, wyraźnie zaangażowana i przejęta rolą gospodyni. - W książce napisali, że to klasyczny przepis. Pewnie mają rację. Przepis, który przetrwał pół wieku, miał dosyć czasu, żeby się sprawdzić, prawda?

Ustawiła talerzyki, spojrzała na niego i serce zabiło

jej z trwogi. Neill siedział przy stole z poważną, wręcz ponurą miną.

- Musimy poważnie porozmawiać, Aniu - odezwał się po chwili.

- Oho, zawsze, kiedy ludzie mówią to zdanie, mają zamiar oznajmić coś niemiłego - odparła, nie wiadomo jakim cudem zdobywając się na lekki ton. - Czy chcesz mi powiedzieć, że jesteś żonaty i masz trójkę dzieci?

Na ustach Neilla pojawił się zagadkowy uśmiezek.

- Nie jestem żonaty - odpowiedział lakonicznie.

- Och, jaka ulga. Czułabym się trochę rozczarowana, gdyby po tylu latach czekania na pierwszy prawdziwy romans okazało się, że podkradam komuś męża.

Szczebiotała z uśmiechem i patrzyła mu śmiało w oczy, ale on wiedział, że ten jej szczebiot, ten uśmiech i to spojrzenie nie są szczerze. Zachowywała się, jakby jej było wszystko jedno, a przecież czuła się całkiem inaczej. Próbowwała ukryć zdenerwowanie, lecz Neill dobrze wiedział, że ze strachu przed tym, co usłyszy, ściska ją w żołądku.

- Anno...

- Wiesz co? Chyba nie mam ochoty na poważne rozmowy tego wieczoru - powiedziała, zbliżając się do niego i kładąc mu rękę na piersi.

Przeorała palcami jego włosy i spojrzała na niego spod roztrzepotanych rzęs. Nie dzisiaj, pomyślała. Jeśli

ma jej powiedzieć, że mają się rozstać, chciała zostawić sobie jeszcze ten jeden wieczór, tę jedną noc, w czasie której będzie mogła łudzić się, że szczęście, które pojawiło się w jej życiu wraz z jego nadejściem, trwa.

- Czy nie możemy udawać, że wciąż mamy weekend? - spytała. - W czasie weekendu nie prowadzi się poważnych rozmów.

- Takie są zasady? - spytał na wpół rozbawiony, na wpół zirytowany.

Ale złościć się mógł wyłącznie na siebie. To on nie był z nią szczery. To on rozdmuchał całą tę sprawę. Nic dziwnego, że Anna przestraszyła się po takim wstępie. Poza tym trudno mu było spokojnie zebrać myśli, kiedy stała obok niego na wpół rozebrana, a on wiedział, że pod zarzuconą na ramiona koszulą kryje się rozkoszne nagie ciało. Wyciągnął rękę i zaczął bawić się górnym guziczkiem koszuli.

- Tak, takie rozporządzenie wydała tutejsza rada miejska - odpowiedziała Anna z udawaną powagą.

- No cóż, nie mam odwagi łamać prawa - odparł, rozpinając guzik i zabierając się do następnego. Jej oddech zamarł na chwilę, gdy poczuła rękę nakrywającą pierś. - Jak więc twoim zdaniem powinniśmy spędzić resztę tego weekendu?

- Jestem pewna, że... że coś wymyślisz - zdążyła wyszeptać, zanim zabrakło jej słów.

Był poranek. Anna wsypywała właśnie kawę do filtra, gdy usłyszała nagły dzwonek u drzwi. Podskoczyła przestraszona i wysypała połowę kawy na blat. Jediną osobą, która mogła przyjść o tej porze, była matka. Olivia nie mogła oczywiście nie zauważyć samochodu Neilla zaparkowanego przed domem i bez wątpienia wyciągnęła prawidłowe wnioski. Nikt zresztą nie miałby wątpliwości, co oznacza obecność mężczyzny w domu samotnej kobiety podczas śniadania o siódmej nad ranem.

Jesteś dorosła, powtarzała sobie, maszerując w kierunku holu, żeby otworzyć wejściowe drzwi. Obciągnęła drżącymi palcami kusą koszulkę, żałując, że nie zdążyła się przebrać. Gdyby Neill nie wyłączył oszalałego budzika o wpół do siódmej, gdyby ona wstała o kwadrans wcześniej...

Ale przecież nie żałowała wcale, że Neill został z nią na noc. I wiedziała, że nie ma powodu, żeby czuła się za cokolwiek winna. Powtarzając to w myślach niczym zaklęcie, otworzyła drzwi - i przygroźdzona spojrzeniem matki, natychmiast zalała się rumieńcem.

- Widzę, że wcześniej zaczęłaś dzień - przywitała się z Olivia, starając się zdobyć na przyjacielski ton.

- Właśnie robiłam kawę. Napijesz się ze mną?

- Nie, dziękuję. - Olivia zmierzyła ją chłodnym wzrokiem, zatrzymując go dłużej na bosych stopach i potarganych włosach.

Anna zdawała sobie sprawę, jak wygląda. Chciała iść pod prysznic zaraz po zrobieniu kawy, ale teraz nie miało to już znaczenia. Cóż, nawet w chwilach, gdy była zadowolona ze swojego wyglądu, czuła się przy matce jak Kopciuszek. Jak można tak wyglądać o siódmej nad ranem, zapytała się ze zdumieniem. Odprasowane spodnie, świeża koszula, fryzura jakby wprost od fryzjera, nienaganny makijaż... Olivia wglądała jak żywcem przeniesiona ze stron żurnala.

- Czyj samochód stoi przed domem? - zapytała pozornie obojętnym tonem. - A może powinnam sama się tego domyśleć?

Zanim Anna zdążyła odpowiedzieć, na szczycie schodów rozległy się kroki Neilla. Najwyraźniej nie usłyszał dzwonka, bo mówił podniesionym głosem, by mogła usłyszeć go na dole:

- Słuchaj, a może mogłabyś dzisiaj zachorować i nie pójść do pracy? Zrobiłbym pyszne śniadanie, a potem wrócilibyśmy do... - urwał nagle, spostrzegłszy, że Anna nie jest sama. Przygwożdżony parą spojrzeń, zatrzymał się z wahaniem. - Pani Moore? Dzień dobry... - powiedział po chwili, grzecznie skłaniając głowę. - Anna nic nie mówiła, że spodziewa się pani wizyty.

To była świadoma prowokacja. Jeżeli Olivia miała wybuchnąć gniewem, wołał, żeby skierował się on przeciwko niemu. Przez moment wydawało się, że tak

właśnie się stanie, lecz po chwili zabójcze ostrze w jej oczach cofnęło się. Olivia opanowała się nieco i odparła:

- Ja też nie spodziewałam się tu pana zastać. Ale może dobrze się składa, że jest pan obecny, bo to, co chciałam powiedzieć Annie, dotyczy również pana.

- Mamo... - Anna zrobiła kilka kroków i znalazła się między nim a matką, jakby chciała nie dopuścić do konfrontacji. Schowała ręce za plecami, żeby ukryć ich drzenie, i powiedziała zadziwiająco spokojnym głosem: - Mamo, to co się tu dzieje, naprawdę nie powinno cię interesować.

W sekundę później poczuła, jak Neill, wspierając ją milczącym gestem, kładzie rękę na jej ramieniu.

- Wiem, że troszczysz się o mnie - mówiła dalej - ale ja nie jestem już dzieckiem. Nie ma potrzeby, żebyś...

- Czy pan Devlin powiedział ci, po co tu przyjechał?

- Jak to? - Spojrzała na matkę, zbita z tropu.
- On... popsuł mu się motocykl.

- To był wygodny pretekst, prawda, panie Devlin?

- Nieszczerólnie - odpowiedział, zatrzymując spojrzenie na książce, którą Olivia trzymała w dłoni.

Niestety, wiedział już, co nastąpi. Ale była to tylko i wyłącznie jego wina. Powinien był od razu powiedzieć Annie o wszystkim, ale odkładał to z dnia na

dzień. Teraz więc Anna pozna prawdę od matki i nie-trudno wyobrazić sobie, jak tę prawdę zinterpretuje.

Zdjął rękę z jej ramienia i spojrzął z niechęcią na panią Moore.

- Czy pan Devlin powiedział ci już, że przyjechał tutaj zbierać materiały?

- To nieprawda! - zaprotestował gwałtownie.

- Chodziło o motocykl. Tylko on... - Pokręcił głową.

- Motocykl. To wyczerpuje całą sprawę.

- Zdumiewający zbieg okoliczności - Olivia niemal parsknęła mu w twarz.

- O czym wy mówicie? - Anna przeniosła wzrok z matki na Neilla. Nigdy jeszcze nie widziała go takim bladym. Nie widziała też matki wyrzucającej z siebie słowa z takim triumfem.

- Okazuje się, że pan Devlin odnosi dużo większe sukcesy, niż myślałaś - powiedziała Olivia, wyciągając do Anny rękę z książką.

Wzięła ją od niej automatycznym ruchem i nic nie rozumiejąc, wpatrywała się w nią jak w jakiś dziwny, tajemniczy przedmiot. Duże czerwone litery krzyczały z okładki: Neill Devlin, „Zabójca z sąsiedztwa”. Obróciła książkę w rękę i ujrzała zdjęcie, które nie pozostawiało żadnych wątpliwości: z tylnej okładki spoglądała na nią znajoma twarz Neilla. Ubrany w czarną skórzaną kurtkę i dżinsy, stał na tle jesiennych drzew zwieńczonych błękitem nieba. Piękne zdjęcie, pomyślała, czując w głowie kompletną pustkę.

- Myślałam, że... pisujesz artykuły - powiedziała, unosząc na niego zdeorientowany wzrok.

- Pisałem. To znaczy... ciągle piszę. - Zdenerwowany wcisnął ręce do kieszeni, jakby chciał powstrzymać je przed zaciśnięciem się na szyi Olivii. - Zaczynałem jako wolny strzelec. Potem wydali mi książkę, potem następne... Zdarza się czasem, że napiszę jeszcze jakiś artykuł.

- Ale... ale piszą tu - zajrzała na tylną okładkę - że twoje książki trafiały na listę bestsellerów „New York Timesa”. Więc nie jesteś... nie byłeś... nie jesteś nieznanym pisarzem.

Wzruszył ramionami, jakby chciał zbyć jakąś insynuację.

- Udało mi się raz czy dwa.

- Och, jest pan zbyt skromny - skontrowała Olivia.

- Nas jednak najbardziej interesują nie pana sukcesy, ale tematy, o których pan pisze.

- Jakie tematy? - Anna czuła się, jakby występowała w przedstawieniu, w którym jako jedyny z aktorów nie zna partii tekstu.

- Pan Devlin specjalizuje się w książkach dokumentalnych. Najchętniej pisze o morderstwach - wyjaśniła matka. - Szczegółowo relacjonuje krwawe zbrodnie i ich skutki, skupia się nie tylko na ofiarach, ale też na ich bliskich. Odsłania rany, jakie powstały w ich psychice. Czy teraz rozumiesz, moje dziecko?

Anna spoglądała na nią niezbyt rozumnie, więc Olivia dodała, wykrzywiając usta w bolesnym uśmiechu:

- Czy teraz już rozumiesz, po co on tu przyjechał? I dlaczego tak czule się tobą zajął?

- Jestem tutaj, ponieważ popsuł mi się motocykl, a interesuję się pani córką, bo zakochałem się w niej!

Bezkompromisowa deklaracja zbiła ją nieco z tropu, ale już po chwili starsza pani atakowała dalej:

- Oczywiście, to wspaniałe wytłumaczenie. Domyślałam się, że rozwinie pan za chwilę fascynujący wątek o tym, jak to zakochał się pan w siostrze kolejnej ofiary. Jest pan w końcu pisarzem, umie pan układać słówka. Niech pan mi powie, czy zawsze stosuje pan podobne metody?

Neill zrobił krok w jej kierunku, czując, że traci panowanie. Olivia stała wyprężona jak struna, lecz w jej oczach pojawiła się na moment iskierka strachu.

- Mam tego dosyć! - Głos Anny niespodziewanie przerwał tężejące z każdą sekundą napięcie. - Dosyć was obojga! Dłużej tego nie zniosę!

Wpatrywała się przez moment w książkę, po czym podeszła do stołu i odłożyła ją spokojnie na blat. Gdy odwróciła się do nich, jej twarz była blada, lecz obojętna. Tylko w oczach krył się wyraz zawodu i smutku.

- Chciałabym, żebyś już poszła - powiedziała do matki.

- Ja? Ja mam odejść? - Olivia nie byłaby bardziej

zdumiona, gdyby Anna uderzyła ją w twarz. - Dlaczego miałabym pójść, skoro to on jest...

- Chcę porozmawiać z Neillem - przerwała jej dobitnie Anna. - I chciałabym, żebyś zostawiła nas samych. Proszę.

- Jeżeli... jeżeli jesteś tego pewna... Ale wiedz, że nie powinnaś...

Po raz pierwszy Anna usłyszała, jak jej matka się jąka. Tak, chyba nigdy nie widziała jej w takim stanie. Nawet WTEDY.

- Powinnam. Wiem, że powinnam z nim porozmawiać.

- No cóż, oczywiście. Jeśli tego właśnie chcesz...

- Olivia odwróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku drzwi. Kładąc rękę na klamce, zawahała się jeszcze.

- Gdybyś jednak potrzebowała...

- Nie potrzebuję - ucięła krótko Anna i matka bez słowa wyszła z domu.

Anna zatrasnęła za nią drzwi. Stała przez chwilę bez ruchu, przysłuchując się krokom skrzypiącym na żwirowej alejce, które ucichły zakończone płaczącym zgrzytem zawiasów przy furtce. Czuła na plecach wzrok Neilla, który czekał na nią w milczeniu, jakby to do niej właśnie należał następny ruch.

Kiedyś była tylko matka, pomyślała. Teraz ma już ich dwoje. Z trudem stłumiła histeryczny śmiech. Nie wiedziała już nawet, co teraz czuje, ani co jest gorsze - to że Neill wykorzystał ją tak perfidnie, czy to że

właśnie matka oznajmiła jej o tym wszystkim i że jak zwykle miała rację.

Matka już poszła, pozostało więc teraz wyjaśnić sprawę do końca. Anna zacisnęła dłonie. Odetchnęła głęboko i uniosła wzrok.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Czy sądzisz, że naprawdę o to mi chodziło?
- spytał Neill, przerywając trwającą kilkanaście sekund ciszę.

- Nie wiem - odpowiedziała, obciągając brzeg nocnej koszuli. Żałowała, że nie zdążyła przebrać się w sukienkę. Łatwiej byłoby jej rozmawiać, łatwiej się skupić. Zwłaszcza gdyby i on zapiął przynajmniej kilka guzików koszuli.

- Czy myślisz, że w jakiś przedziwny sposób udało mi się zaplanować nasze spotkanie w warsztacie? Zaraz pierwszego dnia? Sądzisz, że uknułem cały spisek, żeby zbliżyć się do ciebie i wyciągnąć z ciebie jakieś sekrety?

Neill był wściekły i zdeterminowany. Atakował ją pytaniami, lecz gdy Anna spojrzała na niego tym niewinnym, zalęknionym spojrzeniem szarych oczu, poczuł, jak złość zamienia się w strach. Bał się, że mogła rzeczywiście tak pomyśleć i że teraz może ją stracić.

- Nie jestem kimś, kto podstępnie węszy, kto stara się wkraść w łaski po to, żeby żerować na cudzym: nieszczęściu - tłumaczył dalej, uspokoiwszy nieco

głos. - Nigdy nie kłamałem, nie ukrywałem faktu, że pisze książkę. Nie byłbym w stanie. A na pewno nie wtedy, gdy chciałem dotrzeć do sedna jakiejś sprawy.

- Do sedna sprawy? - powtórzyła, wpatrując się w niego zagubionym wzrokiem. - Co jest dla ciebie sednem sprawy? O jakie „sedno” może chodzić, jeśli ktoś posiekał osiemnastoletnią dziewczynę na kawałki i porzucił je jak śmieci wzdłuż drogi?

Jej głos załamał się. Neill poczuł bolesne ukłucie w sercu i zrobił krok w jej kierunku. Ale Anna uniosła rękę, zatrzymując go w miejscu.

- Nie! Proszę, nie rób tego.

Przykryła dłonią usta, chcąc uspokoić oddech.

- Anno, przecież ja... - urwał i odwrócił się w bezsilnej złości. Nie wiedział, co ma powiedzieć, nie wiedział, co zrobić. Jej ból rozdzierał mu duszę, a świadomość, że to on był przyczyną tego bólu, czyniła jego cierpienie jeszcze dotkliwszym. Nie miał już nawet pretensji do Olivii. To ona wystrzeliła zdradziecki pocisk, ale on dostarczył amunicję.

- Staram się z tego coś zrozumieć - odezwała się znów prawie spokojnym głosem. - Pragnęłabym zrozumieć, ale nie umiem. Nie pojmuję, dlaczego kłamałeś...

- Nie kłamałem - zaprotestował słabo. - Ja tylko... ech, do diabła!

Westchnął ciężko i spojrzał na nią proszącym wzrokiem. Nie powiedziała nic ani nie zrobiła żadnego gestu, więc zaczął ponownie:

- Pozwoliłem ci sądzić, że jestem początkującym literatem, bo... tak było łatwiej. Na początku myślałem, że to bez znaczenia, skoro zabawię tu tylko parę dni. Jaka sprawiłoby ci różnicę, gdybyś wiedziała, że napisałem kilka bestsellerów? Nie lubię sławy. Sława odbiera ludziom rozum. Nie tylko zmienia idola, ale także rozmaitych ludzi wokół niego. Kiedy moja pierwsza książka znalazła się na liście bestsellerów, zaczęli dzwonić do mnie ludzie, których widziałem po raz ostatni na obozie skautów w wieku dwunastu lat. Proponowali, bym zainwestował w ich obiecujące interesy albo ofiarował jakiś datek dla szlachetnej fundacji, którą prowadzą. Zaczęto mnie nagle traktować jak milionera, który wygrał na loterii.

Zirytowany wstrząsnął ramionami, jakby chciał zrzucić z siebie jakiś ciężar.

- Nie pozbawiło mnie to co prawda żadnych złudzeń - mówił dalej. - Jeśli ktoś pisze książki takie jak ja, nie ma na ogół tych złudzeń zbyt wiele. Ale to wszystko było piekielnie irytujące. Domaganie się pieniędzy to zresztą tylko część tego piekła. Kiedy przychodziłem na jakieś przyjęcie i nieopatrznie wyrwało mi się, że jestem pisarzem, zaczynała się litania pytań. „O czym piszesz? A skąd bierzesz pomysły? Jak udaje ci się zebrać tak ciekawy materiał?” Po pół godzinie czułem się jak małpa w zoo. A jeżeli ktoś w dodatku znał już moje nazwisko, zaczynało się najgorsze. Ludzie pytali, jak zachowuje się Oprah Winfrey lub jaka

jest prywatnie Julia Roberts, zupełnie jakby autor, któremu udało się napisać bestseller, musiał znać wszystkie gwiazdy filmowe i sławnych ludzi na całej planecie.

Przeczesując palcami zmierzwiłone włosy, oddalił się od niej o kilka kroków i zaczął wpatrywać niewidzącym wzrokiem w porcelanowe figurki stojące na kominku.

- Nie skarzę się przed tobą. Lubię to, co robię. Kłamałbym też, gdybym stwierdził, że nie sprawia mi przyjemności, kiedy widzę swoje nazwisko w gazecie albo gdy słyszę, że dwie wytwórnie starają się o prawa do sfilmowania mojej najnowszej książki. I naprawdę cieszę się, że mam z tego pieniądze, chociaż nim zacząłem pisać, ich brak nie był jakąś wielką tragedią. Ale nie cierpię tego, że kiedy ludzie dowiadują się o tym wszystkim, nagle zaczynają mnie traktować inaczej, zupełnie inaczej...

Odwrócił się do niej, a wtedy Anna zobaczyła w jego oczach spojrzenie skrzywdzonego chłopca. Spojrzenie to było szczere, więc szybko odwróciła wzrok.

- Gdy się spotkaliśmy, jedyną rzeczą, o której naprawdę myślałem, było to, jak bardzo jesteś piękna i jak bardzo chciałbym... do ciebie się dobrać.

Ich oczy znów spotkały się na chwilę. Anna poczuła, że się czerwieni.

- Wybacz - uśmiechnął się nieznacznie - ale o tym właśnie myślą mężczyźni przy pierwszym spot-

kaniu. Kiedy jednak zacząłem poznawać cię bliżej, zobaczyłem, jak wspaniała jesteś kobietą. Szczerą, bezpośrednią, mądrą. Słodką. Zrozumiałem też, że nie chcesz ode mnie nic z wyjątkiem mnie samego. To było ujmujące, niezwykle. Nie chciałem tego zepsuć. Czy to rozumiesz?

- Rozumiem.

Zagięła rąbek koszuli, rozprostowała go i wygładziła starannie. Rozumiała to wszystko lepiej, niż mógł przypuszczać. Czy ona sama nie bała się panicznie, że kiedy Neill dowie się prawdy o Brooke, zacznie patrzeć na nią zupełnie innymi oczyma? Najwspanialsze w tym ich spotkaniu było przecież właśnie to, że i on, i ona mieli wrażenie, że gdy są razem, stają się inni. Inni niż dotychczas.

- Jestem w stanie to zrozumieć - powtórzyła.
- Ale to wszystko było na początku. A później? Kiedy już ty i ja... - Nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa, rozłożyła bezradnie ręce. - Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym później?

- Później wiedziałem już o Brooke - odpowiedział bez namysłu. - Jak mogłem powiedzieć ci, że wszystkie książki, które napisałem, mówiły o podobnych sprawach? Nie byłoby to łatwe...

- Zrozumiałabym.

- Jesteś pewna? Anno, nie wiesz nawet, jak niszczące potrafią być uwolnione tak nagle emocje. Złe emocje, nagromadzone przez tyle lat, nigdy nie wy-

powiedziane i nie do końca przeżyte. Twoja rodzina tkwiła przez piętnaście lat w jakiejś straszliwej psychicznej pułapce. Z jednej strony zachowywaliście się tak, jakby Brooke nigdy nie istniała. Z drugiej zamieniliście ją w idola, uosobienie piękna i doskonałości. Nie mówiłaś prawie o niej, ale ja wiedziałem, że ona tkwi w tobie głęboko. Przez całe piętnaście lat żyłaś jak osaczona. Mieszkałaś w tym małym miasteczku, gdzie wszyscy cię znają, i gdzie wmówiono ci, że wszystko co nieznane kryje w sobie niebezpieczeństwo. Uwierzyłaś w to. Przyzwyczyłaś się nie podejmować żadnego ryzyka...

Jego ton był łagodny, ale słowa wbijały się w nią jak noże. Znowu straciła panowanie nad sobą. Odwróciła się i zrobiła niepewnie kilka kroków.

- Czy możesz mnie za to winić? - wyrzuciła z siebie, przerywając jego wypowiedź. - Czy możesz winić mnie za to, że się bałam, że myślałam, iż skoro coś takiego wydarzyło się mojej siostrze, może przydarzyć się mnie?

- Nie winię cię za to. - Zbliżył się do niej i wyciągnął rękę, ale opuścił ją zaraz z rezygnacją, gdy spostrzegł, jak naprężyła się w obronnym geście.

Przypominała mu schwytaną w sidła łanię, która wpatruje się szeroko otwartymi, przestraszonymi oczami w oprawcę i z wylęknieniem obserwuje każdy jego ruch. Świadomość, że to on jest przyczyną tego lęku, była jak wbity w serce nóż. Wiedział, że przypała jej

stare, niezaleczone rany, ale wiedział też, że ból, który temu towarzyszy, nie pójdzie na marne.

- To, co zdarzyło się Brooke, było straszne i okrutne. Wiem, że nigdy o tym nie zapomnisz. Nie o to zresztą chodzi, że powinnaś zapomnieć. Zapewne w ogóle nie jest to możliwe. Ale nie ma też powodu, żeby to zdarzenie zapanowało nad resztą twojego życia i spowodowało, że nie będziesz w stanie nim pokierować.

- Nie zapanuje - zaprotestowała. - Mam własne życie. Mam przyjaciół. Nie muszę opuszczać tego miasteczka. Po co? Jestem tu szczęśliwa.

- Naprawdę?

Podszedł do półki i wyciągnął na chybił trafił jakąś książkę.

- „Przewodnik po Grecji” - odczytał tytuł, a potem sięgnął po następne. - „Pociągiem przez Europę”, „Historyczny Manhattan”... Co znaczą te tytuły?
- Spojrzał na nią pytająco.

- Lubię książki o podróżach. Wielu ludzi je lubi.

- I tyle? Przecież nie chcesz tylko oglądać tych miejsc na obrazkach. Chcesz je zobaczyć naprawdę.

Czuła się, jakby Neill zdzierał z niej jakiś pancerz, pozostawiając ją nagą, bez żadnej osłony, za którą mogłaby się schować. Odwróciła oczy i zgarbiła się, czekając na kolejny cios.

- Przyjdzie na to czas. Kiedyś tam pojedę.

- Kiedy? - Odłożył stos książek na stół. - Kiedy

przyjdzie ten magiczny moment, gdy wszystko zmieni się nagle jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki? Na co czekasz, Anno? Że świat podaruje ci wszystko w prezencie? Niestety, musisz sama po to sięgnąć.

- Wiem o tym! Nie jestem przecież... dzieckiem!

Nie, nie była dzieckiem. Ale tak właśnie żyła do tej pory.

Jeśli tak jednak było, to dlatego że to dziecko nie było kochane. Kto kochał Annę Moore? Kto w nią wierzył i jej ufał? Kto pragnął jej szczęścia? Czy kochała ją matka? Może, ale dziwna była to miłość. Wystarczyło przypomnieć sobie mściwy triumf, z jakim Olivia wypowiadała swoje słowa kilkanaście minut temu - słowa, o których wiedziała, że zranią nie tylko Neilla, ale i Annę.

Nie, Olivia Moore nie trzymała córki pod kloszem z nadmiaru miłości, ale z potrzeby kontroli. Musiała mieć kogoś, kto będzie od niej zależny. Może miał na to wpływ ból spowodowany śmiercią starszej córki. Może to on wypaczył jej psychikę. Tak czy inaczej, Olivia nie pomogła Annie wkroczyć w dorosłe życie i nie przygotowała jej do niego.

Odwrócił się gwałtownie i niemal uderzył o krawędź kominka. Gdyby zrobił równie gwałtowny ruch w drugą stronę, wpadłby na parapet okna. W tym domku nie było chyba na tyle dużego pokoju, by zrobić w nim swobodnie pięć kroków.

Domek pod różą - zdaje się, że tak go nazywała.

Malutki, przytulny, słodziutki. Otoczony różami dom lalek. Idealne miejsce, żeby zamknąć ją tu na następnych pięćdziesiąt lat i pilnować, żeby nie obudziła się ze snu do prawdziwego życia.

- Jak można pisać o takich rzeczach? - usłyszał nagle za sobą jej głos. Obejrzał się i zobaczył, jak obraca w rękę jego książkę, przyglądając się okładce. Po chwili odłożyła ją z powrotem na stół i uniosła oczy. Było w nich zmieszanie i żal. - Co cię w tym pociąga? - pytała. - Czy nie jest dość straszne, że ta czy inna zbrodnia w ogóle miała miejsce? Po co jeszcze w tym grzebać?

- Żeby zrozumieć.

- Co zrozumieć?

- Dlaczego takie rzeczy się zdarzają. - Wsunął rękę do kieszeni i zgarbił się, jakby ktoś położył mu na plecach jakiś ciężar. - Kiedy miałem piętnaście lat, mieszkaliśmy w Saginaw. Ojciec prowadził wtedy pralnię, a mama pracowała na pół etatu w bibliotece. Byliśmy sąsiadami Kensingtonów. Mieli troje dzieci - dwóch chłopaków i dziewczynkę. Lacey była ode mnie tylko o kilka miesięcy młodsza i zachowywała się zupełnie jak chłopak. Kiedy się tam wprowadziliśmy, miałem trzynaście lat, a ona, w tym samym wieku, potrafiła biegać szybciej ode mnie i grała nie gorzej w piłkę. Bardzo lubiła się tym popisywać, a ja nie cierpiałem jej za to.

Urwał na chwilę, podszedł do okna i zaczął wpatrywać się w zalany słońcem parkan.

- Unikałem jej jak zarazy, co nie było takie proste, bo ich drzwi były pięć metrów od naszych. Ale ona nie lubiła mnie tak samo jak ja jej, więc udawało nam się trzymać od siebie z daleka. Wychodziło to na tyle dobrze, że mogłem udawać przed samym sobą, że Lacey w ogóle nie istnieje, dopóki nie zaczęliśmy chodzić do szkoły średniej. Pamiętam szkolną zabawę, gdzieś w okolicach Święta Dziękczynienia, i pamiętam tę jej sukienkę. Włożyła na siebie różową sukienkę, bardzo krótką i obcisłą, jakąś taką... pomarszczoną. Była plisowana, czy jak to się tam nazywa... - Machnął z lekceważeniem ręką, nie mogąc odnaleźć w pamięci właściwego słowa. - Nigdy wcześniej nie zauważyłem, żeby Lacey miała piersi. Nie przychodziło mi to nawet do głowy. I nagle zobaczyłem, jak wchodzi na salę gimnastyczną, i pomyślałem: „Jezu, Lacey Kensington ma prawdziwe cycki!”... - Zaśmiał się nerwowo i spojrzał na nią ze skruchą. - Wybacz, piętnastoletni chłopcy nie posługują się językiem poetów. No więc zaprosiłem ją wtedy do tańca, potem jeszcze raz i znowu. W końcu odprowadziłem ją do domu. Nie pamiętam nawet, czy przyszła wtedy na zabawę z jakimś chłopakiem, czy sama, ale jeśli nawet przyszła, to właśnie ja ją odprowadziłem. I pocałowałem na pożegnanie.

Odetchnął głęboko i utkwiał martwy wzrok w jednym punkcie, jakby widział tam wyraźnie sceny sprzed dwudziestu lat.

- Nie mówię, że zakochałem się w niej wtedy, ani kiedykolwiek później, ale przez cały następny tydzień czekałem na nią codziennie rano i szliśmy razem do szkoły. Nigdy wcześniej nie robiłem takich rzeczy. Ona... właściwie nie była ładna. Po prostu fajna, wesoła, dobrze się z nią rozmawiało. Nie tylko miała te swoje piersi, ale lubiła sport. Całkiem niespodziewanie znalazłem w niej kumpla w spódnicy.

- I co się z nią stało? - spytała Anna, gdy Neill zamilkł na dłuższą chwilę.

Spojrzał na nią posepnie.

- Mniej więcej tydzień później ich ojciec zebrał w łazience całą rodzinę i rozstrzelał wszystkich z pistoletu maszynowego: Lacey, jej braci, swoją żonę... Zabił nawet psa. A potem wyszedł z domu, wsiadł do samochodu i odjechał. Miał już spakowaną walizkę, którą włożył wcześniej do bagażnika.

- Mój Boże... - Anna zakryła usta, czując, jak żołądek podchodzi jej do gardła. - Dlaczego?

- Kiedy policja zatrzymała go parę dni później, przyznał się do wszystkiego i nie próbował niczemu zaprzeczać. Było chyba tak, że żona chciała rozwodu, a on stwierdził, że alimenty i inne wydatki pochłoną prawie całe jego zarobki. - Usta Neilla wykrzywiły się w gorzkim uśmiechu. - Wygląda więc na to, że zrobił rachunek kosztów.

- Niepojęte.

- Tak, bardzo dziwne. Byłem w domu, kiedy to

wszystko się zdarzyło. Słyszałem huk, ale nie pomyślałem, że to mogą być prawdziwe strzały. Później widziałem, jak wynoszono ciała zawinięte w czarne worki. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego to zrobił. Też myślałem: niepojęte. Nawet jak go złapali i dowiedziałem się, że nie chciał płacić alimentów, nie mogłem w to uwierzyć. Wiedziałem, że za faktem, iż czterdziestoletni spawacz o nieposzlakowanej opinii zamordował swoją żonę i dzieci, musi stać coś więcej. O tym właśnie była moja pierwsza książka, którą napisałem dwaście lat później.

- Dowiedziałeś się, dlaczego to zrobił?

Neill zgarbił się lekko.

- Szukałem racjonalnych powodów, szukałem szaleństwa, ale w końcu doszedłem do wniosku, że jedynym wyjaśnieniem jest stwierdzenie, że istnieje coś takiego jak zło. Wtedy właśnie przemówiło zło.

Wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

- Wiem, brzmi to jak słowa nawiedzonego kaznodziei, ale nie widzę innego sposobu wyjaśnienia pewnych rzeczy.

Anna pomyślała o siostrze i o swojej własnej, nieustępującej przez lata potrzebie, by dowiedzieć się, dlaczego zginęła. To było jedną z rzeczy, z którymi najtrudniej było się pogodzić - fakt, że coś tak strasznego zdarzyło się właściwie bez żadnego powodu. A jeśli nawet miało jakiś powód, nie było im dane go poznać.

- Anno? - Neill patrzył na nią, czekając, aż zwróci

ku niemu oczy. - To, co powiedziałem twojej matce... to prawda. Kocham cię.

Po raz pierwszy tego ranka łzy napłynęły jej do oczu. Potrząsnęła bezradnie głową i odwróciła się, kryjąc w dłoniach twarz.

- Czy wierzysz mi? - Neill nie ruszył się z miejsca, ale jego głos był natarczywy i nieustępliwy. - Czy wierzysz mi, że cię kocham?

- Nie wiem - wydusiła w końcu. - Sama nie wiem, co mam myśleć. - Siłą woli powstrzymała płacz, lecz gdy spojrzała na niego, jej oczy wciąż były wilgotne. - Proszę... - westchnęła. - Nie mam pojęcia, co robić. Potrzebuję trochę czasu, żeby... żeby przemyśleć to wszystko.

- Dobrze. Dam ci tyle czasu, ile będziesz chciała. Ale nie wyjeżdżam stąd, Anno. Zostanę tu tak długo, aż będziesz gotowa przyznać, że my... że należymy do siebie.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i wszedł na schody. Kiedy kilka minut później wrócił na dół, już w butach i zapiętej koszuli, Anna stała dokładnie tam, gdzie ją zostawił. Wyglądała na zrezygnowaną. Poddała się, pomyślał. Straciła wiarę i nigdy już się nie podniesie. Poczul gwałtowny gniew - na siebie i na jej matkę. To oni odebrali jej nadzieję na lepsze życie.

- Wiesz, gdzie mnie znaleźć - powiedział, zatrzymując się przy niej na chwilę.

Kiedy skinęła głową, nie odwracając się do niego,

ścisnęło go ze strachu w gardle. Boże, a jeśli naprawdę się nie podniesie i pograży na zawsze w rozpacz? Albo zdecyduje, że powinna się z nim rozstać?

Wsunął dłoń pod jej opuszczony podbródek i unióś jej głowę. Gdy pocałował ją w usta, nie uniosła tym razem ręk, by go objąć, choć jej wargi zdawały się reagować na pieszczotę. Natchnęło go to otuchą.

- Nie zastanawiaj się zbyt długo, Anno.

Anna stała, nie ruszając się z miejsca, i słuchała, jak trzaskają drzwi, chrzęszczą kroki na alejce, jak z jękiem otwiera się furtka i warczy silnik. Jeszcze chwila i po Neillu zostało tylko wspomnienie.

To wszystko zajęło mniej niż godzinę, pomyślała, spoglądając na zegar. Godzinę temu wsypywała kawę do ekspresu i rozmyślała o przyszłości, niezbyt jasnej, ale widzianej w różowych kolorach. Wiedziała, że Neill ma jej coś ważnego do powiedzenia. Spodziewała się, że nie musi to być miłe. Ale po tym, jak ją obejmował, jak kochał się z nią czule i z miłością patrzył jej w oczy, wiedziała też, że nie będą to słowa o rozstaniu. Owszem, można by się tego spodziewać po pewnych mężczyznach, ale nie po nim. Cokolwiek więc miał jej do powiedzenia, nie mogło to być nic naprawdę strasznego.

I naprawdę nie było - wiedziała to już teraz. Wiedziała, z czym zwlekał przez tyle dni, czekając na moment, kiedy uwierzy, że warto jej powiedzieć całą prawdę.

Podeszła do stołu i spojrzała w zamyśleniu na książkę. Nie przyjechał tu przecież, żeby zbierać materiały o Brooke, jak sądziła matka. Kłamał, mówiąc o sobie, to prawda, albo przynajmniej nie mówił całej prawdy. Ale wydawało się jej, że jest w stanie to zrozumieć. Być może miał rację, że patrzyłaby na niego inaczej, gdyby wiedziała, że jest znanym pisarzem i że być może jest bogaty. A na pewno czułaby się stremowana w obecności kogoś, kto napisał cztery bestsellery.

W czym więc problem? Dlaczego nie rzuci mu się w ramiona i nie powie mu, że go kocha? On wyznał jej miłość i uwierzyła mu. Czy jest jeszcze coś, czego trzeba się bać?

Spojrzała na stół i wyciągnęła z wahaniem rękę. Wzięła książkę i otworzywszy ją na pierwszej stronie, zaczęła czytać.

Anna dokładnie wiedziała, co robi matka o tej porze dnia - w każdy wtorek po południu przycinała kwiaty i przygotowywała świeże bukiety do wazonów, co oznaczało, że można ją znaleźć w kuchni. Wchodząc do domu rodziców, nieoczekiwanie pomyślała, że Olivia musi być bardzo samotną osobą. Nigdy nie zrobiła żadnego wysiłku, żeby stać się częścią tutejszego towarzystwa, nie nawiązała bliższych związków, nie miała przyjaciół. Naprawdę była sama.

A przecież kiedyś było inaczej. Anna pamiętała, jak

przed śmiercią Brooke przyjeżdżali do nich przyjaciele Olivii z Atlanty, owi „bywalcy z Południa”, jak ich nazywała. Matka serwowała im miętowy aperitif w altance, w pokoju gościnnym rozbrzmiewały śmiechy i głośne rozmowy. I oto z jakiegoś powodu po zabójstwie Brooke wizyty stały się rzadsze, aż w końcu ustały zupełnie. Zastanawiała się nieraz, czy była to decyzja matki, czy też znajomi po prostu nie wiedzieli, jak traktować przygniecioną nieszczęściem przyjaciółkę i nie potrafili pozbyć się skrupowania, które z czasem stało się coraz większe.

Otworzyła drzwi i zobaczyła matkę, ta zaś uniosła głowę i rzuciła jej zdziwione spojrzenie, z którego trudno było wyczytać jakiegokolwiek emocje. Na wielkim stole leżały kwiaty: róże, anturie, lilie i inne, których nazw Anna nie potrafiłaby wymienić. Były to bardzo drogie dostawy, które przybywały do domu w każdy wtorek. Matka rozwijała je delikatnie z folii, rozkładała starannie na stole, a następnie z prawdziwą przyjemnością komponowała bukiety do wazonów, ustawianych potem w pokojach w całym domu. Piękne kwiaty do pięknego domu, pomyślała Anna.

Do pustego domu. Do martwego domu. Do domu, w którym nie bywał nikt poza najbliższą rodziną.

- Spodziewałam się, że przyjdiesz, ale o tej porze jesteś zwykle w pracy - powiedziała Olivia jakby na zaprzeczenie zdziwionego spojrzenia, które rzuciła jej na powitanie.

- Wzięłam dzisiaj wolny dzień - odparła Anna. - Mam niewykorzystany ubiegłoroczny urlop, więc mogę sobie na to pozwolić.

- Nie wiem, po co w ogóle jeszcze myślisz o jakiejś pracy.

- Ponieważ nie mam ochoty spędzać całych dni na układaniu kwiatów.

Palce Olivii zawisły na chwilę w powietrzu, ale przełknęła bez słowa złośliwość i po chwili spytała:

- Czy on już wyjechał?

- Nie.

Anna położyła książkę, którą przyniosła, na kuchennym blacie i przyglądała się przez chwilę pracy matki.

- Poprosiłam go, żeby dał mi trochę czasu. Zgodził się na to.

- Trochę czasu? - Olivia uniosła brwi z gniewnym zdziwieniem. - A na co potrzebny ci czas? Ten mężczyzna okłamywał cię i cynicznie wykorzystał.

Anna postanowiła zignorować tę uwagę. Zabębniła palcami o książkę i spytała:

- Powiedz mi, mamu, czy kiedy przyszedłaś do mnie wczoraj rano, to... chciałaś mnie zranić?

- Jak możesz tak myśleć! - zniecierpliwiony głos matki zbył pytanie jak zwykłą insynuację. - Sądziłam, że powinnaś się dowiedzieć, czego naprawdę chce od ciebie ten mężczyzna.

- A czy w ogóle pomyślałaś o tym, że mogłabyś mnie zranić?

- Jestem twoją matką. Oczywiście, że myślę o tobie. I nigdy nie chciałam cię zranić.

Olivia zacisnęła ostrożnie palce na łodydze róży i wsunęła ją z trudem do ciasnego bukietu, przesuując lekko w prawo i w lewo, a następnie cofnęła się o krok, żeby ocenić efekt. Zadowolona, wzięła następny kwiat i sięgnęła po ogrodowe nożyce.

- A dlaczego tak ci zależało, żebyśmy ze sobą zerwali? - nie ustępowała Anna. - Powiedz, co sprawiło, że zadałeś sobie tyle trudu, żeby sprowadzić jego książki?

- Od samego początku było dla mnie jasne, że nie można się po nim spodziewać niczego dobrego. Mężczyzna wyruszający w podróż na rozklekotanym motocyklu... Z góry wiadomo, że ktoś taki nie ma przy duszy ani... - urwała w pół słowa, lecz Anna bez trudu dokończyła za nią:

- ...ani grosza? Chodziło ci o to, że nie ma pieniędzy? Ale przecież potem odkryłaś, że je ma, a mimo to ciągle chciałaś się go pozbyć. Dlaczego?

Olivia wzruszyła lekko ramionami.

- Kiedy zobaczyłam, jakie książki pisze, stało się dla mnie oczywiste, że chce cię wykorzystać.

- Dlaczego było to takie oczywiste?

Olivia, najwyraźniej zirytowana, odłożyła różę i spojrzała z wyrzutem na Annę.

- A co taki mężczyzna mógł w tobie widzieć?

Przez twarz córki przebiegł bolesny skurcz, więc cmoknęła z rozdrażnieniem i zaczęła się tłumaczyć:

- Och, dziecko, nie chcę wcale być niemiła, ale musisz przyznać, że nie masz zbyt wiele do zaoferowania komuś, kto połowę życia spędził, podróżując po świecie. Ty nie wystawiłaś nosa poza to miasteczko. Och, nie rób takiej miny. To, co mówię, nie ma nic wspólnego z twoim wyglądem, bo jesteś przecież naprawdę ładną i miłą dziewczyną. Może nie tak piękną jak... Nieważne, jesteś bardzo miłą i bardzo ładną dziewczyną.

„Nie tak piękną jak Brooke” - to właśnie chciała powiedzieć, pomyślała Anna. „I nie dość piękną, żeby zainteresować takiego mężczyznę jak Neill.”

Nieprawda! Zainteresował się mną, pomyślała w nagłym sprzecznie urażonej kobiecej dumy. Właśnie mną, Anną Moore!

Odetchnęła, by uspokoić rozbiegane myśli.

- Neill powiedział, że mnie kocha.

- Wcale się nie dziwię - odpowiedziała spokojnie Olivia. - Mężczyźni powiedzą ci wszystko, żeby dostać to, czego chcą.

- Ale ja mu wierzę.

- Przypuszczam, że wymyśliłaś sobie, że on ożeni się z tobą i zabierze cię stąd, czy tak?

- Mam nadzieję - odpowiedziała spokojnie Anna. - I jeżeli mi to zaproponuje, zgodzę się. To ty wybrałaś dla siebie i dla nas to miejsce, mamo. Nienawidziłaś Loving, ale zdecydowałaś się tu zostać, pokazując jednocześnie na każdym kroku całemu światu, jak bardzo

cierpisz z tego powodu. Nie rozumiem tego i chyba nigdy nie zrozumie. Ja wcale nie nienawidzę tego miasta, myślę jednak, że jestem tego bliska. I właśnie dlatego wyjadę. Nie chcę powtórzyć twojego losu. Nie chcę stać się taka jak ty.

Po tych słowach wzięła ze stołu książkę, odwróciła się i bez słowa wyszła, pozostawiając matkę zastygłą w bezruchu, z popielatą twarzą i spojrzeniem utkwionym nieruchomo w drzwiach.

- Szukasz kogoś?

Neill odwrócił się od drzwi garażu i marszcząc czoło, spojrzał na Davida. Ten skończył właśnie wymianę oleju w starym fordzie i starał się wyczyścić ręce z tłustych plam.

- Co? - spytał, jakby nie rozumiał pytania.

- Już piąty czy szósty raz podchodzisz do drzwi. Zastanawiałem się, czy nie czekasz tu na kogoś.

- Nie - uciał krótko.

Nie miał ochoty na rozmowę. Gdy Anna mówiła, że musi wszystko przemyśleć, uznał, że zajmie jej to najwyżej kilka godzin. Teraz wiedział już, że będzie musiał uzbroić się w cierpliwość i poczekać dzień lub dwa. A może jeszcze dłużej.

Trudno, pomyślał. Musi nauczyć się czekać.

Zdając sobie sprawę, że David go obserwuje, podszedł do stołu w rogu warsztatu i wziął do ręki jeden z kluczy. Obrócił go kilka razy w dłoniach i zaczął

uważnie oglądać. Jego myśli popłynęły jednak gdzie indziej - zastanawiał się, co robi i o czym myśli Anna? Może powinien sprowokować ją do dalszej rozmowy, wydobyć z niej zwierzenia, nakłonić, by powiedziała mu, co czuje. Może powinien wyjaśnić jej więcej, tłumaczyć staranniej i przeprosić w bardziej oczywisty sposób, niż zrobił to rano.

Rzucił okiem na zegar wiszący na ścianie i zastanowił się, jak to możliwe, że wskazówki prawie zupełnie przestały się poruszać. Nie było nawet czwartej. Przed nim kilka godzin wieczoru, a potem bezmiernie długa noc. Próbował wcześniej pisać, ale słowa tańczyły na ekranie komputera i po pół godzinie bezużytecznych zmagania z klawiaturą i z samym sobą zamknął pokrywę laptopa i wyruszył do miasteczka.

- Zamierzasz sprawdzić, czy uda ci się zgiąć to żelastwo gołymi rękami? - spytał z tyłu David i Neill zdał sobie sprawę, że ciągle obraca w palcach nasadkowy klucz od samochodu. Odłożył go na stół i wcisnął dłonie do kieszeni. Po chwili jego spojrzenie zawędrowało na motocykl, stojący w tym samym miejscu co zawsze - przy tylnej ścianie warsztatu.

- Czy wiesz już, kiedy części do tej przeklętej maszyny dotrą wreszcie na miejsce? - spytał, żeby powiedzieć cokolwiek.

David sięgnął po szmatę i zaczął wycierać do sucha ręce.

- Dotarły jakiś tydzień temu - odparł spokojnie,

nie podnosząc oczu. - Zamontowałem je i wypróbowałem ten twój motocykl. Chodzi niezłe.

- Zreperowałeś go? W ubiegłym tygodniu? - Neill przyjrzał mu się podejrzliwie.

- Mhm.

- To... to dlaczego mi nie powiedziałaś? - Przeniósł wzrok z motocykla na Davida i z powrotem.

- Myślałem, że ciągle czekasz na części.

- Mam przyjaciela w Kalifornii, który specjalizuje się w takich maszynach. Zadzwoiłem do niego i okazało się, że wszystko ma. Wysłał je następnego dnia.

- David skończył wreszcie czyścić ręce i cisnął brudną szmatę do kosza. Spojrzał na Neilla spod oka. - Miałem ci o tym powiedzieć już wtedy, w Luanne. Pamiętasz, jak przyszedłem, kiedy jadłeś lunch z Anną?

Nie mogąc otrząsnąć się ze zdumienia, Neill przytaknął skinieniem głowy.

- No więc wszedłem wtedy do Luanne i zobaczyłem, jak Anna się śmieje. - David pokręcił w zamyśleniu głową. - O, bracie, znam ją całe życie, ale nigdy wcześniej nie widziałem dziewczyny w takim stanie. Nigdy nie śmiała się tak swobodnie i nie wyglądała tak radośnie. Wiesz, jak wyglądała? Jasne, ty pewnie wiesz i nie zrobiło to na tobie takiego wrażenia. Ale ja nie mogłem się nadziwić, że Anna wygląda tak... młodo. A kiedy zobaczyłem, jak ty na nią patrzysz, pomyślałem, że wasze zainteresowanie jest wzajemne.

- Więc chcesz mi powiedzieć, że przetrzymałeś

mnie tu przez tydzień, żeby... - Neill zamilkł i zmarszczył czoło. Spojrzał uważnie na Davida, nie mogąc uwierzyć, że czterdziestoletni mechanik zachował się jak swatka. - Nie wyglądasz na dobrą ciocię, która postanowiła wyswatać wszystkie panny w okolicy.

- I nie lubię takich babskich intryg - dodał David z rozbrajającą szczerością. - To był impuls. Sam się sobie potem dziwiłem. Właściwie to czułem się jak idiota. - Spojrzał na Neilla i zapytał: - Dowiedziałeś się już wszystkiego o Brooke?

- Tak... wiem, co się stało. I wiem, jak to wszystko odbiło się na życiu Anny. Przynajmniej do pewnego stopnia.

- Wiesz, Neill, ja... umawiałem się z Brooke. Mówiliśmy nawet o tym, że moglibyśmy się pobrać. - Zamilkł na chwilę, zwiężając oczy, jakby chciał jeszcze raz zobaczyć jakiś obraz sprzed lat. - Ale nie wiem, czy by do tego doszło. Tak czy inaczej, nie doszło. Wiadomo dlaczego.

Wstrząsnął ramionami, jakby chciał zrzucić z siebie wspomnienia. Odetchnął i zaczął mówić dalej:

- Byłem zdruzgotany, kiedy dowiedziałem się o jej śmierci. Całe miasto było wstrząśnięte. Takie rzeczy nigdy wcześniej się tu nie zdarzały. Ani potem. Kto by to pojął, no nie?

- Tak - westchnął Neill. - Coś takiego nie mieści się w głowie.

- Każdy chciał coś zrobić, jakoś im pomóc. Ale

pani Moore była taka wyniosła, taka nieufna. Wszyscy bali się do niej zbliżyć. A doktor chyba właśnie wtedy się załamał i zamknął w swoim świecie. Jack opuścił miasto miesiąc później i pojechał do college'u. Została Anna. Była wtedy jeszcze dzieckiem, z tymi swoimi wielkimi oczami i nogami jak patyki. Więc wszyscy zaczęli się nią opiekować. A kiedy podrosła, cała ta historia odstraszała od niej chłopaków. Nie umieli traktować jej jak zwykłej dziewczyny. Ona była... naznaczona, a oni bali się tego naznaczenia. No i nie umawiała się na randki, nie chodziła na tańce. Po szkole nie wyjechała do college'u i cały czas była jak...

- Śpiąca Królowna - wymamrotał Neill, przypominając sobie bajkowe wrażenie, jakie zrobił na nim jej domek.

- Tak...- David uderzył kilka razy czubkiem buta w stojącą obok oponę. - Była jak Śpiąca Królowna. Nie wyglądało na to, że jest nieszczęśliwa, po prostu żyła sobie po swojemu, jakby w półśnie, w zamyśleniu. No więc wtedy, gdy zobaczyłem ją w Luanne, śmiejącą się razem z tobą, to pomyślałem... do diabła, sam już nie wiem, co pomyślałem.

Wsadził ręce do kieszeni i zakończył, nieco zmieszany:

- Dlatego nie powiedziałem ci o motocyklu.

- Uznałeś, że na przebudzenie królowny potrzeba trochę więcej czasu? - zażartował Neill i chciał jeszcze coś dodać, kiedy zobaczył, że spojrzenie Davida po-

wędrowało nagle nad jego ramieniem w kierunku drzwi.

Wiedział od razu, kto pojawił się w garażu, zanim jeszcze zdążył się obrócić. Kiedy zaś to zrobił, ujrzał Annę. Wyglądała prawie tak samo, jak wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy: zagładającą do zacienionego warsztatu z zalanej światłem ulicy, ze słońcem we włosach i schowaną w cieniu twarzą.

David mruknął coś o pilnym telefonie i wycofał się po schodkach do mieszczącego się na zapleczu biura, jednak Neill prawie nie zauważył jego zniknięcia. Patrzył jak zahipnotyzowany na Annę, ubraną w jedną z tych prostych, zwiewnych sukienek, które doprowadzały go do szaleństwa. Tym razem sukienka była w malinowym odcieniu i na tyle krótka, że znów odsłaniała jej cudowne długie nogi. Włosy miała rozpuszczone i musiał niemal zacisnąć pięści w kieszeniach, żeby powstrzymać się przed wyciągnięciem ku niej ręki i zagłębieniem palców w lśniących pasmach.

- Wybierałam się do motelu, ale zobaczyłam samochód przed warsztatem - oznajmiła. - Pomyślałam, że jesteś w środku.

Zrobiła ku niemu nieśmiały krok i zatrzymała się nagle, splatając przed sobą dłonie.

- Przeczytałam kawałek twojej książki. Jakbym miała to przed oczami: Lacey, całą jej rodzinę, krew. A kiedy to przeczytałam, pomyślałam, że chyba jednak zrobiłeś coś dla nich. Zachowałeś coś z tego koszmaru

i uchroniłeś od zapomnienia. Ciągle nie wiem, czy można tak po prostu pisać o czyimś bólu, ale wydaje mi się, że może w tym być także coś dobrego.

- Nie jestem pewny, czy napiszę jeszcze tego typu książkę.

Neill poczuł, jak powoli wraca mu nadzieja. Wszystko będzie dobrze, pomyślał. Wydało mu się nagle oczywiste, że ta rozmowa odbywa się właśnie tutaj, w miejscu, gdzie wszystko się zaczęło. Chociaż może właściwy początek był dopiero przed nimi.

- I nie jest to jedyna rzecz, którą zmienił w moim życiu przyjazd do Loving - dodał.

Anna skinęła głową. W jej życiu zaszło tyle zmian, że nie zdawała sobie sprawy, że ostatnie tygodnie zmieniły również jego życie. Spojrzała mu ukradkiem w oczy i natychmiast odwróciła wzrok. Chciała, żeby teraz po prostu podszedł do niej, wziął ją w ramiona i powiedział jeszcze raz, że ją kocha. Ale przecież to ona poprosiła go o czas do namysłu. Następny krok należał do niej.

- Spotkałam się z matką - odchrząknęła, z trudem wydobywając słowa. Podniosła na niego oczy i dodała mocniejszym głosem: - Powiedziałam jej, że wyjeżdżam. Że wyjeżdżam z tobą, Neill. Czy skłamałam?

Przez moment panowała martwa cisza. Zaraz potem Neill uśmiechnął się z radością i chwycił ją w ramiona, przyciskając do siebie z taką siłą, że z trudem łapała oddech.

- Zastanawiałem się już, czy do końca życia nie będę błędnym rycerzem - wyszeptał jej do ucha.

- Uratowałaś mnie od tego, Anno. W tym klimacie jest zresztą za gorąco, żeby chodzić na co dzień w zbroi.

- W zbroi? - spojrzała na niego pytająco, jakby prosiła, by wyjaśnił jej tę metaforę.

- Nieważne - znów uśmiechnął się radośnie i zanurzył dłonie w jej włosach. Zajrzał w lśniące szczęściem szare oczy i wyszeptał: - Żaden rycerz nie był nigdy tak szczęśliwy jak ja.

KONIEC